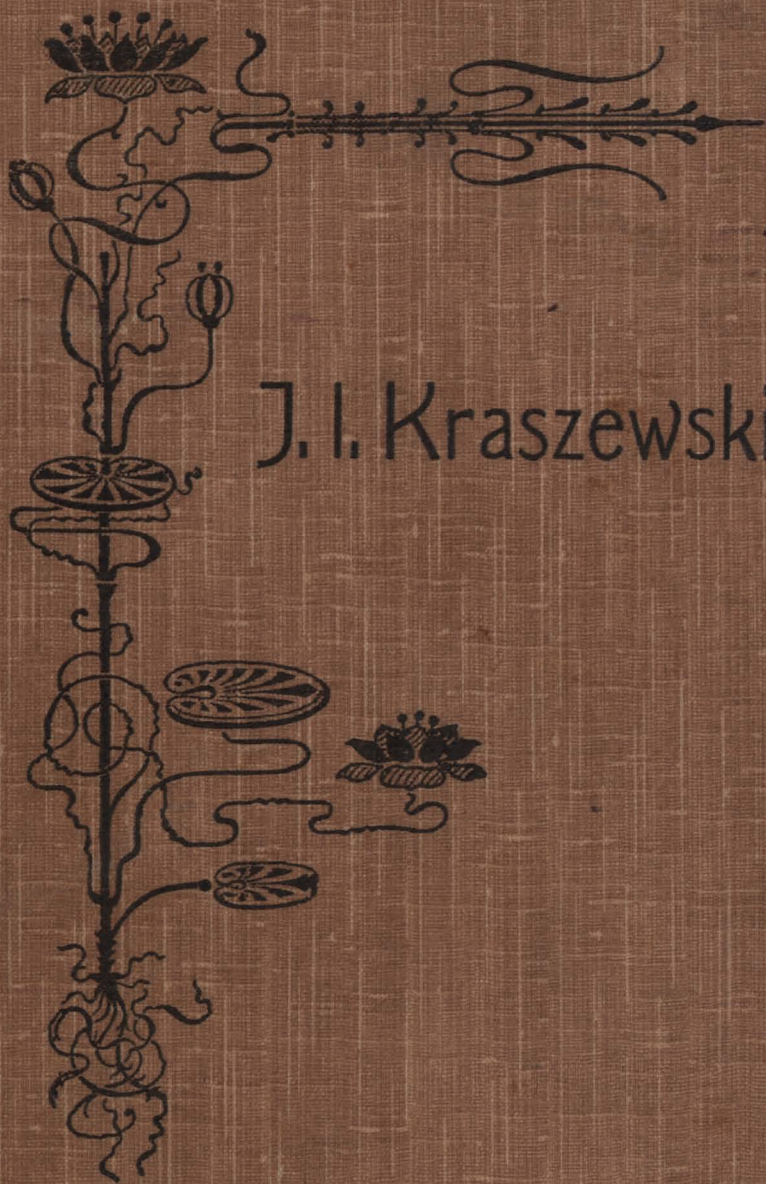




J. I. Kraszewski

tentent koni powolny oznajmił, że jeźdźcy dalej ciągnęli w mileczeniu.

— Nieboszczyk mąż pięknej Krysty! On sam! poznałem go zdala!... — odezwał się Borzywój. — On sam!

— On! on! — potwierdzili inni — ale jakże zastarzał.

— Słyszę, teraz dopiero żonę kochać strasznie poczał, gdy mu ją król wziął — mówił Dobrogost — rady sobie po niej dać nie może...

— A tybys lepszy był, gdybys ją miał i wzięto by ci ją? — rzekł Zbilut.

Zapytany nie odpowiedział.

— Zważaliście — rzekł Borzywój — wszakci księdza z sobą miał! Ani ruszy teraz bez nich. Ten co z nim jechał, przy biskupie jest w Krakowie. Mściśław też teraz u biskupa pierwszy sługa, popycha go gdzie zechce.

— Jać bo mówiłem — powtórzył Zbilut — komu by taką żonkę wzięto, ten szukając ratunku, nie z biskupem, a z dyabłemby gotów się pokumać!

Ofuknął nań Borzywój, oglądając się.

— Cichobys był, w drodze pod noc takie lichu wspominać!

— Sam sobie winien, głupi człek! — dodał Ziema — nie przyszło by do tego, żeby rozum miał...

— Cóżby mu rozum pomógł? — odezwał się drugi.

— Nie zaszkodziłby — mówił Dobrogost. — Tyś na to nie patrzył jak my, a gadasz; myśmy świadkami byli, wiemy jak sprawa szła; nam nie tobie sądzić o tem. Tyś jeszcze podówczas, czy w Jakuszowicach czy w Zborowie za łaniami latał...

— A nauczcież miłościwie, jak to było? — rzekł młodszy — ciekawym.

— Naprzód głupi człek — mówił starszy — że taką śliczną, młodą żonkę, wystroiwszy jak latkę, przywiózł na okaz na dwór królowej, jakby mu pilno się

nią pochwalić było. Doma ją trzymać winien był za zasuwą i nie pokazywać nawet rodzonemu bratu.

Toć śliczność jest, jakiej drugiej niema.

— Prawda! — potwierdził Zbilut gorąco — dziś na zamku ona królową, i gdzie się pokaże królowa... Człękby za nią w ogień i wodę skoczyć gotów!

— Król też nie mnich, — mówił pierwszy — aby sobie oczy zakrywał, gdy mu hoże liczko wpadnie do oka. Jak ją raz zobaczył spokoju nie miał, póki znowu jej nie widział. Mnie dziw tylko, że ją pierwszego dnia puścili z zamku! Ile nas było wówczas, szeptaliśmy sobie — król ją weźmie. — A co za dziw? Królowa nie młoda, zajęta synkiem, a hożą taką nigdy nie była jak ta... Czy to królowi nie należy się piękniejsza w królestwie niewiasta, jak na wsi panu?

Mściśław zmiarkował od pierwszego razu, że król mu się coś do żony bardzo swatał, bo od niej cały dzień nie odstał. A i Krysta nie była od tego; co król, to król, lepiej być królewską kochanką, niż ziemianina żoną. Wywiózł ją mąż do Bużenina, toć przecie nie za światem. Pojechaliśmy w tamtą stronę na łowy, dobrawszy taką porę, kiedy pana doma nie było. Zmiarkowali zaraz wszyscy, o co królowi szło. Byłem z nim gdy do dworu przyciągnął, musiała żona wyjść przeciw, bo gospodarza nie było. Król się nam obozem kazał rozłożyć w podwórzu, a sam do dworca szedł i został tam dzień jeden i drugi. Drugiego dnia już wszyscy wiedzieli, że ją z sobą wywieziemy. Młodziutkie stworzenie dało się wziąć jak kuropatwa, kiedy jastrząb nad nią zawisł. Płakała niby i opierała się wrzekomo, a śmiała drugim oczkiem i szła bez przymusu. Trzeciego dnia jechaliśmy do Krakowa, upolowawszy jeno Krystę, ale ta nam za najlepszą stała zwierzynę. Król ją na zamku we dworcu posadził osobnym i pilnuje jak oka w głowie.

Stał się dopiero srogi krzyk i wrzask a gwałt!
Boleszyczce T. I.

MUSEUM
KRAKOWIE
2
264

Jakby królowi nie wolno było mieć miłośnic?—jakby to ich Mieszkowi broniła Dubrawka, albo Bolko Chrobry nie chował ich we dworze, ile mu się chciało?—jakby to cesarze i panowie tego samego nie czynili co dnia?

— Tać — rzekł drugi cicho — niechby był brał jaką chciał, tylko nie ziemianinowi żonę. Drudzy tego nie czynili.

— Kto tam wiel! — ciągnął dalej opowiadający — bywało różnie, wrzawy takiej dla jednej niewiasty nie podnoszono. Biskupowi, co do króla ząb miał, było to na rękę. Wziął się sam za tę sprawę i począł grozić.

Ale król się z niego i z grózb tych śmieje — a Krysta na dworze została i siedzi.

— Czego bo od niego chcą i biskup i królowa — przerwał Ziemia — albowy lepiej było, żeby królowę odprawił, a drugą sobie wziął natomiast? Przecie się matce Mieszkowej krzywda nie dzieje, bo jej, wszyscy cześć oddają.

— Dość bo już tego mlewa, z którego tylko otręby — krzyknął Borzywój, ruszając się. — Na konie czas siadać! — mała rzecz a gadania bez miary. Biskup z tego straszne rzeczy robi, bo mu tak trzeba; przez Mścislawa wszystkich władków i ziemian burzy, że już żon i córek swych nie są bezpieczni. — Jak królowi doje, to co się dziś śmieje, burknie, nie daj Boże z nim wówczas rozprawy, nie daj!

— Gdyby biskup nie był biskupem — dodał Ziemia cicho.

— Jakby to biskup nie był człowiekiem, jako my? — odparł Borzywój.

— I tej ziemi ojczycem, a nie żadnym Włochem lub Francuzem, jak inni, bo co do tamtych, co ich Papież z Rzymu przysyła — król takiego prawa nie ma — rzekł Zbilut.

— Pewnie! — potwierdzili inni — toć ze Szczepanowa jest rodem.

Po chwili Zbilut w oczy starszemu spojrzawszy, szepnął mu ciszej:

— Nie godzi się to może panu bratu starszemu przymawiać, ani go drażnić — anobym rzekł; że sprawy królewskiej tak broni; ho i jemu Kryście w oczy zaglądaćby się chciało! Ej! ej!

Borzywój namarszczył się i pięść mu ściśniętą pokazał.

— Milczałbyś ty, gołowasio jakiś, co mleko masz pod nosem! Dam ja ci! dam!

Zbilut pokorną zrobił minę, głowę w ramiona schował, a z podełba uśmiechał się do braci — tylko starszemu w oczy spojrzeć nie śmiał.

Drudzy też na starszego spoglądając, wszyscy się po trosze śmieli i poprychiwali.

Borzywój, choć tak srogą twarz był przybrał zrazu, sam też nieco usta krzywił i nie mówiąc, zbierał się do drogi.

Podawano konie, które czeladź już dawno w pogotowiu trzymała pokielzane, popodpinane.

Wszyscy ujmując się grzyw, skakali na nie razno, choć im nikt ręki nie podawał. — Żwawe wierzchowce rwały się zaraz z miejsca, tak, że je ledwie utrzymać było można.

Czeladź pościągawszy reszty sakw podróżnych i przyborów, natychmiast dosiadła swoich mierzynów, puszczając się za panami, tą samą drogą, którą jechał niedawno Mścislaw z Bużenina, ale w stronę przeciwną.

Słońce, chociaż już dawno było z południa, jeszcze na niebie kawał przebieżdż miało do zachodu — ale już upał wiosenny się zmniejszył — chmurki je przyćmiewały i powietrze było do oddychania lepsze.

Aż miło jechać było, i Boleszyce nie śpiesząc, przebywali skraje puszczy, pod sam już wieczór wydobywając się z niej w żyzny kraj ku Krakowu. Tu też ruch na gościńcu zaczynał być znaczniejszy coraz, spotykali więcej wozów, konnych i pieszych ludzi.

Wszystko to na widok jadących, którzy z czeladzią, psami i ptakami, całą szerokość drogi zajmowali, zdala już ustępowało przed nimi, zsuwało się na kraje, piesi stawali, kłaniając się do ziemi, bo w nich królewską drużynę poznawano.

Boleszczyce, jakby byli w swoim prawie, nie myśleli ustępować ani się ścisnąć dla nikogo—wozy nawet musiały przed nimi zjeżdżać na role. Psy uganiały się swobodnie za owcami w polu, a odpędzić ich nie śmieli pastusi. Była to królewska drużyna.

Ludzie i niewiasty niewolne, zdala na pole zbiegali, by się z nią nie spotykać.

Nad wieczorem już za lasem byli w otwartym miejscu, gdy zdala ukazał się naprzeciw nich jezdny orszak, który też zajmował drogę całą. Borzywój, gdy się nieco zbliżyli, wpatrzywszy się weń, oczyma dał znak swoim braciom i czeladzi, ażeby nie ustępowali.

Zdala widać już było ludzi konnych i zbrojnych, skromnie poodziewanych z cudzoziemska.—Liczba ich nie przechodziła gromadki Boleszczyców z ich czeladzią.

— To biskupi dwór i słudzy—odezwał się Borzywój półgłosem — ja ich znam, musi ktoś jechać z jego pobocznych, jeśli nie on sam... dokąd? kto wie. A no, mniejsza o to, choćby i sam biskup był, czego mamy mu ustępować! albo nie jesteśmy królewską drużyną?

Nie ustąpić pewnie—zawołał Dobrogost.

— A no, nie! nie! — zaczęli powtarzać inni, mając się już do oręży. — Oczy się im zapalać zaczęły.

— Nie przepuścimy—powtarzali.

Dwa orszaki coraz się ku sobie zbliżały. Z drugiej też strony musiano poznać, z kim miano do czynienia; ludzie się nieco zatrzymali, zwalniając kroku jakby dla narady, co począć mieli.

Tylko jeden przodem jadący na nie się nie zdawał uważać, wyprzedzając tych, co mu towarzyszyli.

W mileczeniu, ścisnięci, ławą jechali Boleszczyce, oszczepy trzymając w ręku, ramię do ramienia, w bok się biorąc, i butę okazując straszliwą.

Jeden drugiemu oczyma odwagi dodawał—spoglądali na czeladź, aby ją utrzymać w porządku. Borzywój niby wódz zajął miejsce w pośrodku i postępowali zwolna, ale tak, jakby na nieprzyjaciela uderzyć mieli.

Z tamtej strony ciszej, spokojniej szli ludzie, jakby pewni byli, że się im nic stać nie może. Patrzeni przed siebie nieulęknięci wcale, nie okazując żadnego wrażenia.

W pośrodku ich jechał na koniu kapą okrytym mężczyzna lat średnich, pięknej postawy, wspaniałego oblicza. Wierzchowiec jego spokojny, nie świecił żadnymi ozdobnymi rzędami, ani wisiadły, na sukni też czarnej, którą on sam był odziany, oprócz krzyża na piersi nic więcej widać nie było. Twarz nie potrzebując oznak innych dostojności, znamionowała męża co się czuł silnym i nad pospolity tłum wzniesionym wysoko.

Wejrzenie miał, które raz zwrócone na człowieka, zmuszało do poszanowania i trwogi, nie żeby gniewne było, albo surowością zaprawne, ale majestat z niego płomieniał i siła jakaś niewyciężona. Piękne rysy osłaniał pokój niewzruszony.

Jechał zwolna powstrzymując konia, jakby chciał dać czasu do namysłu tym, co mu drogę zastępowali. Czelaź otaczająca go, choć zbrojna, nie śpieszyła z żadną oznaką, jakoby gościniec sobie miała torować siłą; jak on sam, zdala się pewną, iż broni użyć nie będzie potrzebowała.

Borzywój mocno się nasrożywszy, gdy oko w oko stanął z jadącym naprzeciw, widocznie się zawahał, rzucił wejrzeniem gniewnem, lecz—stało się

to sam nie wiedział jak—ustąpił w bok, konia ścignawszy gwałtownie i szparko, tak, że na tylnych osadził się nogach. Inni też zobaczywszy to, ruszyli nieco z miejsc, tak, że, dla orszaku biskupiego pozostał wolny wązki przesmyk, między dwiema kupkami ściśniętych Boleszczyców, jakby go między siebie wziąć i osaczyć chcieli.

Nieulekniony biskup, konia potracił nogą i wjechał w tę gromadkę zwolna, nie śpiesząc wcale, ani się troszcząc o to, co się z ludźmi jego stanie. Ci za przykładem pana jechać środkiem chcieli, gdy biskupa przepuściwszy, Boleszczyce się ścisnęli gromnie i pozostała czeladź musiała, pana samego zostawiwszy, zjechać na bok z gościńca w pole, przyspieszając kroku, jakby uchodziła.— Młodszy Boleszczyce na widok nieładu, który powstał między orszakiem biskupa, w głos szydzić i śmiać się zaczęli.

Po twarzach ludzi towarzyszących biskupowi, widać było złość i oburzenie, nikt się z nich jednak porwać pierwszy nie ważył na królewską drużynę, a biskup wolnym krokiem przejechał przez rozstępujących się, i głowy nawet nie zwrócił, aby zobaczyć, co się po za nim działo, tak się zdał pewnym, iż się ani jemu ani czeladzi nic złego stać nie może.

Tą powagą i wejrzeniem pełnem ufności w swą siłę, zmusił on królewską drużynę do cofnięcia się przed sobą. Borzywój i oni wszyscy ani wiedzieli jak się to stało, iż ustąpili. Sami na siebie gniewni byli, a czuli, że ich do tego skłoniła jakaś potęga, którą uczyli spotykając ten wzrok królewskim majestatem zbrojny.

Zaledwie się to stało, Boleszczyce ochłonawszy obejrzeli się za siebie naśmiewając i szydząc, a w istocie chcąc pokryć wrazenie, którego doznali, niektórzy ręce zbrojne popodnosili do góry. Biskup nie widział tego, gdyż wzroku nie zwrócił ku nim, towarzysze tylko ze szmerem oburzenia dogнали go, oburzeni

i gniewni, ale wkrótce na zakręcie drogi znikł im z oczów poczet cały.

— Czegóżes mu z drogi ustąpił!—zawołał Dobrogost do Borzywoja—byłoby mu stanawszy zaprzec gościć, a nie zjeżdżać w bok... niechby on był zmuszony cofnąć się przed nami, a nie my przed nim!

— Albo ja wiem, co się z moim koniem stało!—odparł Borzywój—uląkł się i w bok zachnął, nie pospiałem go wstrzymać. Zresztą biskupem ci jest! a nie ustąpiłem się dla niego... tylko...

— Tylko dlaczego?—roześmiał się Dobrogost.

— Aby ludzi mu wprawić w zamieszanie.—Na gościńcu się z nim rozprawiać nie nasza rzecz.

— Spojrzałeś ty mu w oczy? — odezwał się Zbilut.

— Cóż myślisz? — pewnie — wzrokubym się nie uląkł niczyjego! wołał Borzywój.

— Ale srogo patrzy jakoś, aż mrozem ścina — wtrącił Ziema.—Ciarki po mnie poszły, gdy mijając go, oczy spotkałem!

Inni się nie przyznawali, starając pokryć wrazenie żartami i szyderstwami. Oglądano się jeszcze, ale już tylko tuman kurzawy widać było za niemi.

Słońce zapadało wśród wesółych chmur, pomalowanych dziwnie czerwono, złocisto, pomarańczowo i fioleto. W górze obłoczki, jakby fręzlami oszyte, rozpiwały się po niebieskim tle niebios. Ptastwo uwijało się gromadami w powietrzu, zabierając pospiesznie do spoczynku — mrok już z drugiej strony niebios nadchodził,

Jechali jakiś czas w milczeniu posępnem.

— Wyznaj Borzywój—szepnął Ziema—i tyś go się uląkł jak ja! Ani ci się dziwię. Ten ci to sam co Piotrowia z martwych wskrzesił na świadectwo, nie trudnoby mu więc było żywych martwami uczynić, gdyby chciał. Ja wołałbym go ani widzieć, ni zacząć.

— Pewnie—szepnął starszy po długim przestan-

ku.—Jam mam przeciw sobie żelazo i strzały, wiem z kim walczę i co mi grozi, a z temi co niewidzialną siłą mogą zabić lub wskrzesić — jak tu wojować! Wolałbym, żeby i król z nim pokój zawarł, ale pono po czasie o tem myśleć. Biskup srodze rozjątrzony, odgraża się na pana, iż go precz wyżenie.

Wszyscy księża mówią teraz że do tego doprowadzą króla, iż jak cesarz Papieża niedawno, on biskupa w nogę będzie musiał całować.

— Cesarza ja nie znam — dodał pomileczawszy Borzywój — ale króla do tego zmusić — bodaj ciężko będzie.

Spojrzeni po sobie głowami potrząsając Boleszczyce i westchnęli.

— Co o cesarzu prawią, że mu Papież nogę na karku postawił — przebąknął Zbilut — to tam baśnie być muszą, które klechy roznoszą, aby straszyć świeckich ludzi.

— Nie bajki — zaprzeczył Borzywój — słyszałem o tem od króla nieraz. Śmiał się z cesarza mówiąc:

— Gdyby ja cesarzem był, rychlejby koronę postradał, niż cześć moją.

Gwarzyli tak jeszcze jadąc, gdy się w dali na boku od gościńca pokazał dworzec znaczny, ostrokolami i drzewy otoczony. Na wyjaśnionych niebiosach drzewa i zabudowania ciemną się masą malowały, wśród której otwarte okna i drzwi silnie oświecone błyskały jak ogniska, w podwórzu zaś smolne stosy i beczki pozapalane, łuną szeroką ulicę zalewały. Zdawało się jakby gorejące drzew wierzchołki i unoszące się w górę krwawe od płomieni dymy, iskrami natykane.

— Hej! hej! — zawołał wesoło Dobrogost — wszak ci to chyba się król tu zabawia, na swym wiejskim dworze, bo któżby inny!

Ruszyli wszyscy ochoczo pokrzykując:

— Król nasz! król!... dobrze się nam go spotkało! A no żywiej!

Kłusem puściła się cała gromadka, przyspieszwszy kroku.

Im się bardziej zbliżali, tem światło większą łuną na nich biło; wrzawę, śpiewy, gęśle słysząc było coraz donośniejsze

— Król bezwątpienia... — powtarzano.

— I wesoło tam około pana naszego — mówili — w dobry czas ku wieczery przybywamy. Ani chybi też z królem Krysta być musi, a kto rad się jej uśmiecha, choć w oczy jej zajrzy.

Z wesołemi śmiechy i okrzyki, Boleszczyce się ku wrotom zbliżyli, gdzie czeladź stała liczna, dalej konie powiązane do żłobów, stojących w dziedzińcu rzędami, — inna czeladź w rękę oprowadzała.

Przez okna, których otwarte okiennice na oścież stały, w środku widać było pochodniami oświecone izby, z których wesołe śpiewy i brzęczenie muzyki dochodziło.

Zaledwie Boleszczyce w dziedziniec wjechali, zewsząd ich półgłosami witać poczęto. Tu też dla czeladzi prawdziwie królewską ucztę zastawiono. Bezczyki stały gęsto, kubki i czerpaki przy nich, chleb leżał stosami, sery bielały na słomianych matach i woń pieczonego mięsiwa rozchodziła się dokoła.

Drzwi i okna oblegała czeladź i dwór strojny i zbrojny bogato, ludzie orężni w pięknych sukniach.

Tuż pod złocistem okryciem, aż do ziemi spadającym, dwóch ludzi zwolna przeprowadzało piękną klacz ulubioną królewską, którą Orlicą zwano. Około niej z wielką pieczą i troskliwością kręcili się ludzie, chleb jej z rąk podając, to podstawując napój, ale ona obojętnie gardzić się zdawała.

Niewielkiej miary, siwo-jabłkowita, z połyskującą sukienką, czarnemi kopyty, nozdrzami różowemi rozdartemi, czarnemi wielkiemi oczyma, długą grzywą jedwabną i ogonem jak kosa zaplecionym wstęgami złotemi, królewska faworyta zdawała się widzieć do kogo należała. Szła dumnie, nie dając się pociągnąć,

zatrzymując ludzi, podnosząc głowę czasem i rżeniem zdając się okazywać niepokój i znużenie.

Gdy się ten głos ozwał w dziedzińcu, naówczas konie, które u żłobów stały, rwały się, rżały, mieszały i całe podwórze rozlegało się temi końskimi rozhowory, które śpiewy i gędbę głużyły.

Orlicę, jak królowę tego stada, otaczał dwór jej własny; miała nawet namiot osobny, w którym spocząć mogła, gdy chciała, na świeżo podesłanej słomie, wśród kubłów z wodą, naczyń z owsem i wonnego siana.

Boleszczyce, witani wesoło, pozasiadali z koni, pościągali suknie, pozapinali kaftany, pooddawali części uzbrojenia czeladzi, i wprzód nim weszli do środka, przez okna starali się przypatrzeć obrazowi, który ztąd wewnątrz dworu przedstawiało.

W izbie długiej, niskiej, a niezbyt szerokiej, którą stojący przy ścianach pachółkowie oświecali—widać było ustawiony stół długi, okryty obrusami, szytymi na Rusi wzorzysto, zastawiony naczyniami srebrnymi i złotymi. Konwie, dzbany, kubki, misy, wszystko było z tych kruszców grubo kute i świeciło a lśniło się w ogniu blasku. Mnogość tych naczyń prawdziwie królewska, dziwiła ciekawy tłum, który cisnąć się do okien, przypatrywał pańskiej biesiedzie.

Nie odpychano gawiedzi, bo król łaskaw był dla prostych ludzi, niekiedy aż do zbytku, tak, że ziemianie i rycerstwo za złe mu mieli, iż więcej niemi się opiekował, niż temi, co z nim i za niego krew przelewali. Widać było ze swobodnych śmiechów i ruchów tych gromad, że się tu czuły jakby u siebie, wcale królewskiego dworu, jego ciwunów i sotników nie lękały.

Na szerokiej z poręczem ławie, obwieszonej suknem bogato, siedział na podwyższeniu lat średnich mężczyzna, ciemnych oczów, włosa i brody, którą nieco postrzyżoną nosił, w sukni z jedwabiu złotem szytej, ze sznury i kutasy złotymi, bramowanej bo-

gato. Na szyi miał gruby łańcuch, pas na biodrach szeroki i mieczyk przy nim kamieniami sadzony. Na głowie przechylony siedział szłyk szkarlatny z futerkiem. Nogi miał obcisło suknem okryte, z niechcenia założone, jedna na drugą, ozute butami czerwonymi ze złotymi skówkami na nosach... Siedział rozparty wygodnie, rękę jedną na poręcz trzymając, drugą wyciągnawszy ku pięknej niewieście, którą miał obok siebie.

Twarz jego choć zmęczona, piękną jeszcze była, nadewszystko dumy, siły, namiętności i ufności w siebie pełną. Króla w nim znać było zdala, nie nawykłego ustępować nikomu. Gorzały ogniem jakimś wewnętrznym rozplomienione, żywo biegające oczy, usta wydatne, wydęte były i mięsiste, policzki okrywały rumieńce silne, czoło miał wyniosłe, nos orli z nozdrzami rozdętymi... Po twarzy widać było gnienie gdzie krwią wzdęte żyły, zdające się skórę podnosić, jakby im pod nią ciasno było. Z królewską dumą na twarzy tej łączyły się królewska ludzi pogarda i pycha niezmierzona. Młode i zdrowe lice, życie i trudy jego już pofałdowały były i zmięły, wyciskając na niem ślady burz, przez które przeszło zwyciężko.

Oczy czarne czasami zmrużał dziwnie, niekiedy usta odymał, srożył się i marszczył, na chwilę prawie spokoju nie dając obliczu swemu. Biegały po niem prądy różne i widome dla wszystkich, bo się z niemi ukrywać nie chciał i nie potrzebował.

Gniewy, radość, szyderstwo, oburzenie, zniecierpliwienie, przelatywały jak chmury po niebiosach, mieniały się, nikły, wracały, tak, że kto chciał czytał w tej twarzy na oścież stojącej, co się działo w duszy pana.

A twarz to była, jak kwietniowych dni niebo zmienna, błękitem naprzemiany, obłokami czarnymi, chmurkami białymi, oponami szaremi, słońcem wesołym i złocistym malowana, której poranek nie ręczył

za wieczór, a burza nie trwała dłużej pogody. Piorun mógł z niej uderzyć niespodziany, a w chwilę potem mogły się otworzyć spokojne błękity...

Od dziecka niemal pan, żołnierz, wódz, zwycięzca, co rozdawał trony, był nieuleknionym i nie rozumiał może, iżby dlań co niepodobnem być mogło.

Niewiasta siedząca przy nim, piękna i młoda, na twarzyczce niemal dziecinniej miała wyraz zalotności wyzywającej, śmiałej, nie wstydzącej się wcale, naiwnej.

Białej płci, z małym rumieńcem, nieco błada, czarnymi, wielkimi, wesołemi oczyma z pod ciemnych łuków brwi, patrzała w króla, jak w tęczę. Małenkie jej usteczka uśmiechały mu się lubieżnie, a w uśmiechu białe pasek ząbków śnieżnych prześladła. Ciemny włos rozpuszczony miała na ramiona, które się od niego bielsze jeszcze wydawały.

Niebieska sukienka ze złotem szyciem, ciasno obejmująca kształty ciała, pokryta była drugą szkarłatną, w fałdach bogatych osłaniającą ją, od niechcenia rzuconą... Na piersiach, głowie, ramionach, rękach, u pasa, złote ozdoby świeciły i wyglądały, gdzie tylko się mogły umieścić. Stojną była do zbytku, chciała być piękną i wyglądać po królewsku, choć na to się tak bardzo stroić nie potrzebowała. Młodość jej była pełną uroku, świeżość wdzięku, który gasił wszelką urodę niewieścią, coby z nią chciała wystąpić do walki.

Król jedną ręką opierał się na białem jej ramieniu i z rozkoszą patrzył w czarne jej oczy, rozjaśnione weselem dziecinnem... Śmiała się jemu, światu, życiu, wszystkiemu na co patrzała, mężczyznom co przechodzili, złotym dzbanom, pochodniom i nocy pogodnej, która oknami zaglądała. Ani wstydu, ani uczucia innego nad to roztrzępitanie wesele nie widać w niej było. Smutnemu panu ten uśmiech perłowy musiał serce zastygłe rozgrzewać.

Tuż za tą królewską parą stało kilka niewiast

młodych pięknych, strojnych, wesołych także, szepczących poufnie między sobą, śmiejących się i chichoczących ciągle, spoglądających śmiało po mężczyznach którzy króla otaczali.

Piękne te niewiasty zdawały się dobrane, aby i wesołość pani i jej wdzięczną twarzyczkę, jeszcze weselszą i wdzięczniejszą czyniły. Przy niej wydawały się tak gminne, pospolite, jakby z innego pochodziły świata.

Ich srom nawet był od jej zalotności bezwstydniejszym.

Dwór męzki, który króla otaczał, składał się z samych młodych i rycerskich postaci. Niektóre z nich ledwie się zdawały wychodzić z dzieciństwa i puszek ledwie im na brodzie i na policzkach wysypywać zaczynał. Wszyscy oni błyszczeli od złota i bławatów, przepysznie strojni — i znać lubujący się w wytwornej odzieży — wszyscy mieli twarze wesołe, usta uśmiechnięte, trochę pańskiej dumy na lieu i buty dworaczek.

Ani jednej siwej głowy, ni jednego starca poważniejszego w całym tem okoleniu nie było. Król się wydawał najstarszym ze wszystkich i najbardziej uwiedłym.

Wszyscy stojący około pana, czekali, patrzali rozkazu i skinienia, zdając się chcieć odgadnąć z oczów króla, jakiej może zapragnąć usługi. Nawet mieniając wejrzenia, z niewiastami, co ich oczyma i ruchami wyzywały na psoty, młodzież ta ciągle ku panu jednym okiem spoglądała.

Jak żadnej starej, tak też i posępnej nie widać było twarzy. Królowało wesele, pan smutku w tych godzinach nie lubił.

Na ławie w głębi siedziała gędzba, pobrzękując w struny, a gdy się ozwała, niewiasty za królem stojące, nucić poczynąły z cicha. Spiew ich, z razu nieśmiały, wzmagał się potem coraz silniej, łączyły się z nim głosy nowe, i pieśń wesoła, swa-

wolna, przerywana śmiechami, rozbrzmiewała po kominacie, wylewając się na podwórze, gdzie jej zdala wtórowano.

Śpiewające dziewczuchy, gdy przyszło coś zbyt surowego w pieśni, zakrywały sobie oczy, odwracały głowy, osłaniały się rękami, zarzucały fartuszkami, ale śpiewały ochotczo.

W chwilę potem opadały ręce, odgarniano zasłony, błyskały oczy śmiechu pełne i usta różowe.

Piękna czarnobrewa, swobodnie się opierając na poręczu siedzenia, przechylała się w takt pieśni, kołysała, jakby giętką kibić i kształty toczące chcąc ukazać. Czasem podnosiła rączki białe, klaskała w nie zlekka, to spuszczała na kolana, niekiedy szybkim, ukradkowym wejrzeniem przelatywała po izbie i twarzach, po drodze zawadzając swawolnie o gorące oczy młodzieży.

Każdy, na którego padł wzrok ten czarodziejki, mimowolnie drgnął, jakby go kto mieczem przebił, ale nim pogonił za nim, już on gdzieś odleciał daleko. Król na nią tylko patrzył, czasem usta zwiliżył trochę w złotym kubku, który stał przed nim, i znowu go postawił przed sobą zamyślony. Dwór, czatujący na pańskie wejrzenie, dzisiaj go nie mógł pochwycić.

Boleszcyce, popatrzywszy przez okna, poszeptawszy w progu, pośmiawszy się z przyjaciółmi u wnijsia, wreszcie się do izby skierowali. Rozstąpiły się im strażę, zaczęli głośno witać znajomi — usuwali się wszyscy. Szmer się stał; król odwrócił głowę, brew zrazu zmarszczył, lecz obaczywszy swą wierną drużynę, uśmiechał się im, znak dając, aby szli do napitku i jadła.

Za królewskim wzrokiem poszły oczy czarnobrewy, spotkały się z wejrzeniami, które ich już szukały; zarumieniała się mocno, niby zadąsana odwróciła szybko głowę, wnet spojrzała powtórnie i pokrasniała mocniej jeszcze... Borzywój i Zbilut szcze-

gólniej ścigali go wzrokiem zuchwałym. Wszedłszy Boleszcyce stanęli nieco zdala między swemi.

Król za chwilę skinął, aby się zbliżyli. Podszedł Borzywój, jako starszy.

— Cóż tam wasze łowy? — zapytał król obojętnym głosem.

— O mało się nam bardzo nie udały — odezwał się Borzywój — bośmy spotkali na drodze straszną zwierzynę.

— A cóżecie z nią poczęli? — rzekł król — zabijaliście?

— Al! nie — mówił starszy z Boleszyczów — nie wiedzieć jak się to stało. Stado poszło w rozsypkę, a zwierz nas rozpędził.

Król spoglądał ciągle, niewiele wagi przywiązuując do opowiadania, jakby o czem innem myślał. W tem Zbilut podszedłszy, dodał za brata:

— Nie udały się nam łowy, miłościwy panie, bo biskup Stanka drogą nam przejechał.

Posłyszawszy to imię, król się zachnął i zmarszczył nie nie odpowiadając. Nawet w żarcie wspomnienie o biskupie przykrem mu było.

— Dziś bo zgoła szczęścia nie było w lesie — mówił dalej Borzywój, oczyma strzelając ku pięknej czarnobrewie — wszakci to i pana z Bóženina spotkalismy na gościńcu w lesie.

Twarz niewiasty oblała się cała krwią, pokrasniały nawet białe ramiona, odwróciła głowę przelekła, jakby na padalca nastąpiła.

— Byłoby go tu zabrać z sobą — przemówił król obojętnie a szydersko — niechby się napił i poweselił, bo zły słyszę chodzi i gniewny.

— O! jechał smętny jak post — odezwał się Borzywój — kędy? Bóg go wiedzieć raczy, i z księdzem jakby się na śmierć gotował.

Król usta odął, uśmiechnął się wzgardliwie i odwrócił żywo do siedzącej przy sobie, Boleszyczów już jakby nie widząc, zapomniawszy o nich.

Ci też, wyczekawszy mało, ustąpili z przed króla, wmieszali między dwór, a młodsi po za niewiasty wszedłszy, gzić się z niemi i zaczepiać je ostrożnie zaczęli; towarzyszek czarnobrewę nie zdążyli się im tego brać za złe, srożyły się w prawdzie, ale w tak dziwny sposób, jakby wyzywać chciały. Ręce co innego, oczy co innego mówiły, co innego usta.—Król choć słyszał chichotanie i szept, wcale się nie odwrócił nawet, bo znać tak zawsze bywało.

Czarnobrewa tylko spozierała surowo, nie na swe niewiasty, ale na tych niewiernych, co na inne twarze w jej obecności patrzeć mogli.

Parę razy wzrok jej pobiegł za Borzywojem i Zbilutem, na każdego z nich spoglądając inaczej. Śledzić się zdawała pierwszego, drugiego szukać niepokojnie, jednego obawiać, drugiego pożądać, jak dziecię zabawki...

Właśnie się krótka rozmowa Boleszczyców z królem skończyła, gdy gęslarze, którzy byli umilkli trochę i spoczywali, brząknęli w struny; szmer ucichł, piosnka cicho i nieśmiało poczęła się odzywać, jakby z dali.

Stara to była pieśń miłosna:

„Stanę się, stanę siwym kaczorem...”

.

Niewiasty, jakby urokiem jej porwane, rozśpiewały się na dobre, zapomniały o wszystkim, prześcigały głosami, i pieśń rozlegała znowu po izbie, w podwórzu, kołysząc jak fala, aż póki z ostatnią nie umarła zwrotką.

Westchnęła czarnobrewa — może się jej dawne jakie przypomniały czasy; inne głowy pospuszczały. Nie wiadomo co pieśń niesie, za słowami jej kryje się tyle widm i upiórów.

Długo tak w noc król śpiewać kazał i przysłuchiwał pieśniom, w oczy patrzył pięknej Kryście, to

z nią żartował, to się zasępił i na służbę gniewał, to śmiał do rozpuku, a za nim tłumy nie wiedząc czego się śmiały — aż po północy gęslarze na ławie, przy miodzie się pospali, król i czarnobrewa gdzieś znikli, dwór się, gdzie kto mógł i chciał do snu rozłożył i zwolna we dworcu ucichło. W podwórcach tylko u koni czaty chodziły i u drzwi pańskich mieniali się ludzie, by ich miał król na zawołanie.

Bywało tak czasem, któż mógł przewidzieć? że się Bolesław zerwał wśród nocy i rozkazał na łowy, na Wawel, na wojnę na drugi państwa koniec, gdzie się myśli pańskiej pobiedz zachciało. Czasem obozem leżał miesiąc, niekiedy spoczynku nie dał jednej nocy — przebiegały w nim zachcenia różne, których hamować nie chciał i nie umiał. Tak samo dobrym był i okrutnym, szyderskim i litościwym bez miary. Ci, co z nim żyli, w oczy mu patrzeli, nigdy powiedzieć nie mogli, co wieczór, noc i poranek przyniesie. Na wszystko gotowi być musieli.

II.

Gdy Bolesław zabawiał się tak na królewskim dworcu, o kilka mil ztamtąd ścigało się po cichu rycerstwo, zwołane na radę przez Mściława z Bużenina i innych ziemian, którzy od króla odeszli. Na ten zбір jechał i Biskup krakowski Stanisław ze Szczepanowa, którego Boleszczycy z małym orszakiem na drodze spotkali.

Zwołano radę jakby ów stary wiec, który wprzód wiciami rozsyłanemi gromadzono, ale potajemnie i cicho. Teraz już starych tych obyczajów porzucono

wiele, nie godziły się już one z nowym ładem i składem.— Gromady nie miały głosu jakbywało. Od czasów Mieszka panowali knezie a królowie; oni sami tylko zwoływać wiece mieli prawo, a szli na nie ci, których pozwano i przypuszczono, kogo pan zażądał.

Pod żelazną dłonią Chrobrego, ziemianie i rycerstwo starych swych praw wyrzec się i zapomnieć musieli, nikt do nich odwołać się nieśmiały, choć żyły jeszcze w starych ludzi pamięci. Gdy potem Mieszko Bolesławów syn z Ryksą objęli rządy, podniosła nieco głowę dawna swoboda słowiańska, ale się to nieładem, burzą i zniszczeniem skończyło. Za Kazimierza wrócił dawny królewski porządek i posłuszeństwo, a gdy rządy po nim objął rycerskiego ducha Bolko Szczodry, nikomu też z sobą władzy dzielić nie dawał.

Od początku niemal panowania, wojował bezustanku, rycerstwo wodził za sobą to do Węgier, to na Ruś, spoczywać mu nie dając. Ziemian innych znać nie chciał, oprócz tych co mu służyli.— Głowy podnosić zbyt wysoko nie pozwolił nikomu.

Urodzony z matki rusinki Dobrogniewy, ożeniony z ruską księżniczką, z Rusią związany ciąglemi wojny i brataniem, Bolko jak wojak krajem rządził, jak wódz i pan, a u siebie doma tak chciał mieć jak w zawojowanym kraju, i jak bywało na kijowskiej Rusi.

Musiąco mu służyć na skinienie wojsko, ziemianie, lud, nawet duchowieństwo, które on sam sadzał na biskupich stolicach i chciał je mieć sobie posłusznem. Wolał przeto polskich mieć biskupów, niż Włochów i Francuzów, których mu z Rzymu stręczono.

Z duchowieństwem szło opornie; czuło się ono nadto silnie związanem z całą potęgą kościoła na Zachodzie — by mu ulegać miało nie broniąc swej niezależności, gdy gdzieindziej albo władzę ze świeckimi dzieliło lub nad niemi brało górę.

Była to w całej Europie chwila przełomu, która

o losach kościoła stanowić miała,—miałci on, wedle wyrażenia Hildebranda, być słońcem, a królowie i panujący księżycami, czyli przy słońcu cesarskiem, jak skromny stanąć satelita.

Cesarstwo wprowadzie wassalów mnogich liczyło, siły wielkie, ale czemże one były obok potęgi duchowieństwa, rozsianego po świecie całym, skupionej w ognisku z którego płynęły rozkazy; dzierżącego w ręku najpotężniejszy oręż kłatwy i wyłączenia ze społeczności, równającej się śmierci i nad samą nawet śmierć straszniejszej.

Piętnastu biskupów polskich otaczało tron Bolesława Szczodrego, w czasie koronacji jego w Gnieźnie;—byli to jakby piętnastu wojewodowie potężnego zastępu, który władzy królewskiej albo mógł iść w pomoc, lub z nią walczyć.

Bolko ani znać od nich nie innego nie chciał nad posłuszeństwo i poddanie się rozkazom. Spotykał opór bierny, choć mu się otwarcie jeszcze sprzeciwić nie śmiano, czuł że tu miłości nie miał — zastraszyć nawet nie potrafił.

On też na czele rycerstwa swojego nie lękał się żadnej wojny.

Tymczasem duchowieństwu wypadki w pomoc przywiodły część tej siły, którą król za swoją rachował.

Mściśław z Bużenina, którego młodą żonę wziął Bolesław z mężowskiego domu, wrzał chęcią zemsty przeciw niemu, mieli też i inni ziemianie niechęci powody; zwołano więc w pewnem uroczysku niedostępnem, zwanem „dziewiezy łąn“, wiec, który miał stanowić, jak sobie dalej poczynać miano.

Był to początek zмовy przeciw królowi, który wielu już dorobił się nieprzyjaciół w domu.

Mściśław nie naznaczył na ów zbór, miejsca, ani we dworze, ni we wsi, ani na oczach ludzi, bo wiedział że to by się prędko doniosło do uszu króla, który pospolity lud miał za sobą.—Obawiano się zdrady,

BOLESZCZYCE

BOLESZCZYCE.

naprowadzenia i napaści—bo choć ziemianie i część rycerstwa na króla sarkają, zniechęconą będąc do niego — miał on z sobą drużynę swoją, swych Boleszczyców i żołnierzy, którzyby zań życie dali i poszli choćby na rodzonych braci.

Obesłali się więc starsi, uproszeni przez Mściśława, głowy rodów znaczniejszych: Toporeczycy, Sreńniawy, Doliwy, Lisy i inni, po cichu a ostrożnie, na dzień ów stawić mając na dziewiczym łąnie w lesie, sami bez czeladzi, bo tej nieufano.—Jeździł pan z Bużenina sam od dworu do dworu i nie żałując trudu, aby na swem postawił.

On był duszą tego zboru przeciw królowi, a wiedząc iż biskup krakowski mu był niechętnym — narzekając i bolejąc nad jego swawolą, — także go na radę zaprosił. Nie pierwszy to raz Mściśław się do niego udawał, znał go już dawniej Biskup, rodzinie też nie będąc obcy, więc gdy przybył na zbor go prosząc, miejsce i czas oznajmując, rzekł mu pasterz:

— Nie przystało mi, słudze Chrystusowemu i kapłanowi jego, potajemne czynić zmowy, i kryć się z tem co czynię. Czyny moje i słowa jawne są, nie lękam się ich ani światu ni królowi na oczy postawić. Nie żądajcie więc po mnie tego abym z wami był.

Ale Mściśław, do rąk jego przypadłszy, całować je począł i błagać aby dla nich to uczynił i przybyć raczył, bez czego, jak powiadał, gorszy nieład i zaburzenie przypaść mogło.

A tak Biskup Stanko, po długim namyśle i pilnem rozpytaniu, gdy się przekonał, iż skuteczną być może bytność jego, przyjechać wreszcie obiecał, zapobiegając, aby niesforne umysły rozjątrzonych ludzi, szkodliwego co nie postanowiły.

Pod wieczór dnia tego widok dziwny przedstawiała dolina wśród lasów, zwana „Dziewiczym łąnem“—oddalona od osad i wsi, odosobniona i w koło ścianą drzew i gąszczy objęta.

Była to łąka i pola część dość rozległa, zdawna odłogująca. — U stóp wzgórza na którym się rozpościerała, ku jednej ławie puszczy zlekka skłaniając, płynął strumień leśny po brzegach gdzieś kamieniami usłany...

W samym środku pola onego stał odwieczny dąb rozłożysty, ogromny, tak jeszcze żyw i zdrów jakby kilkuset lat i niezliczonych burz i zim nie przeżył.

Niegdyś tu wedle podań, odbywały się Sobótki, schadzały czasem wiece, a nieopodal miało być cmentarzysko pogańskie i zgliszcze. Pod lasem widać było zielonym darniem okrytą mogiłę, zwaną Kurową, od imienia wodza jakiegoś, który tu zginął przed wieki. Lud dotąd w pewne dni zbierał się nocami nad strumień, na uroczysko, pieśni śpiewał i obrzędy pogańskie odprawiał. Dla tego proboszcz wystawił tu był krzyż drewniany, na którym, jak dawniej na drzewach, zawieszano płachty chorych, a pod nim stawiano obiady.

Przed zachodem słońca, przybyło już pod dąb jezdnych kilku, a choć nikogo nie znaleźli, powoli się rozkładać zaczęli.

Ponieważ, dla bezpieczeństwa, nikt z sobą czeladzi nie prowadził, sami panowie około koni swych staranie mieć musieli, i sami też sobie posługiwali. Niektórzy, co synów i młodzież zabrali na radę, nią się wyręczać mogli. Wszyscy też naówczas nawykli byli do najtwardszej pracy i nikt się od niej nie wymawiał, a chlubę z tego ciągnął, gdy sam sobie we wszystkim dawał radę.

Trzech Toporów, którzy tu przybyli pierwsi, bracia Starżowie, nie długo pozostali sami, zjawilo się wnet dwu innego rodu, a po nich pięciu Toporów, których Kołkami zwano. Witali się jedni, drudzy mniej znani sobie, bliżej dopiero zapoznawali.

Wszyscy podesławszy opony z koni zdjęte na ziemi się porozkładali, bo jak czeladzi i wozów, tak

namiotów też nikt nie brał z sobą, trzeba było pod dębem się chronić...

Obojętna poczęła się rozmowa eo i gdzie się w okolicach działo, jak stało we dworach, osobliwie tych, które jeszcze po kijowskiej wyprawie i swawoli służebnych, do ładu przyjść nie mogły.

Posępni byli wszyscy, i nie zbyt radzi wiecowi; nie małą bowiem rzeczą było na owe czasy, zjeżdżać się niechętnym i poróżnionym z królem, który o zdjęcie głowy z karku ziemianinowi nikogo nie pytał, nikogo się nie zwykł był radzić, a gdy ukarać postanowił, sądów nie zbierał, posyłał siepaczy swych i ścinać kazał, tak dobrze prostego człeka jak najmożliwszego władykę.

Choć ze zgromadzonych tu, mało komu co na sercu nie leżało, nie spieszyli ze skargami i żałami. czekano aż się zbierze więcej ludzi i Mściśław zagai, Niektórzy zapewniali że i Biskupa z Krakowa spodziewać się było można, lecz temu nie bardzo dawano wiarę. Znano go jako męża co otwarcie zawsze występować był nawykły, a po królu największą miał powagę.

Z każdą chwilą powiększał się ów zbór u staro-
rego dębu, i o słońca zachodzie już z pół seciny, po większej części mężów statecznych i podżytych naliczyć było można. Wielu z nich siwy włos okrywał, a młódź ściągnięta starszym ku posłudze, nieco się opodał trzymała. Po uzbrojeniu i szatach rozpoznać było można zamożnych władyków i ziemian dostatnich, u niektórych nawet oręż i sprzęt złotem obficie połyskiwał. — Konie też, które młódź na łąkę, splatawszy puściła, piękne były i dobrane, a pieszczono snąć chowane, jak u rycerzy zwyczajnie. Boć pieszy człek naówczas nie wiele był wart, i wojak nie stąpił bez konia.

Zebrani gwarzyli głosy stłumionemi, gdy naostatku z lasu pokazał się Mściśław, duchownego pana mając u boku, sam jeden z nim, bo czeladź swą

i brata młodszego opodał zostawił. Obaczywszy go niektórzy zdala rękami witać poczęli, inni wołać ku niemu:

— Bywaj!

Mściśław żywo z konia zeskokczył, księdzu, którego wiódł z sobą pomagając, i oba wierchowce, do gromady odpędziwszy, sam pospieszył do tych co nań oczekiwali.

Znani i nieznajomi mogli się teraz lepiej przypatrzyć dawno niewidzianemu panu z Bużenina, który po wzięciu mu żony, długo na świat oczów nie pokazywał. — Mąż to był lat średnich, czarno zarosły, zawczasu siwizną przypruszony, oczu bystrych, niskiego czoła, krępy i silny, w którym niepomiernej zaciętości, a zarazem żalu wielkiego, boleści głębokiej wyraz uderzał.

Szedł zwolna, z pod gęstych brwi nachmurzonych rzucając wejrzenia niespokojne na tych co go witali, z dumą jakąś i wstydem niemal. Widok tyłu ludzi przed którymi na srom swój się miał użalać, mieszał go i burzył razem. U boku jego idący bratanek, duchowny z Krakowa, przy nim się zdał wylekły i do zbytku pokorny, a spokojniejszy daleko. Szepecząc też coraz coś na ucho Mściśławowi starał się i jego ukoić.

Powstali z darni leżący pod dębem aby witać przybyłego, który ze wzruszeniem znacznem jednych obejmował, drugich w twarz i ramiona całował, innych pokłonami pozdrawiał, rozglądając się ile już ich tam było. — Tymczasem nowi przybywali coraz, rosła liczba zebranych, i gwar w kółku, a jeszcze jakby oczekiwano na kogoś, i ku lasom spoglądano.

— No—ozwał się najstarszy z Toporów, my tu sobie sami sługami dziś być musimy, gdy nam na to zeszło że własnej czeladzi wierzyć nie można.—Niechże młodzi ognia naniecą, kołem siadajmy wszyscy, a zacznijmy radzić o sobie, aby czasu nie tracić.

Tedy Mściśław, obejrzawszy się dokoła, odezwał

się głosem cichym, iż Biskupa Stanka ma nadzieję oglądać, życząc aby się z naradą wstrzymano aż przybędzie. Na to też inni godząc się zamilkli wszyscy.

Nieco na oboczu, młodzi, których myśl weselsza nie opuszczała, choć starszych twarze posępne były, wzięli się ochoczo i swawolnie do naniecenia ognia. Wieczór był piękny i spokojny, ale rosa padała tak obfita, iż ognia rozpalić nie przyszło łatwo. Namęczyli się dosyć nim go potrafili dobyć, a gdy z chrusta suchego i gałęzi płomień się ukazało, aż raźniej się zrobiło wszystkim. Ten i ów dobywać począł co przywiózł z sobą, bo każdy się po troszę opatrzył na drogę. Pokładziono na trawie co kto przywiózł, podobowano barylki podróżne, wyciągnięto z sukien kubki, i wzajem się częstując, pokrzepiać zaczęto, przyczem wrzawa i rozmowy coraz się weselsze rozlegały...

Mściśław tylko z księdzem siadłszy na uboczu, sparł się na kolanach, i ani jadł ani pił, ani się zdawał słyszeć co się wkoło niego działo, tak był w myślach zatopiony — poglądał wciąż niespokojnie w tę stronę, z której się przybycia Biskupa spodziewał...

Nikt też zbolalego człowieka nie zaczął słowem, nie drażnił wzrokiem, bo wszyscy nad nim litość mieli.

Mrok już padł był dobry, gdy z lasu ujrzano wyjeżdżających dwu mężów, a w jednym z nich poznano Biskupa Stanka, przeciw któremu, zerwawszy się z ziemi, pośpieszył zaraz Mściśław z bratankiem swym i kilku innemi.

Reszta zgromadzonych żywo wstawac i poruszać się zaczęła, gotując do wiecu, rzucając dlań jadło.

Młodzi podłożyli ognia, który jaśniej znowu gorzeć zaczął, oświecając jaskrawo dąb, dolną, gromadę zebranych ziemian, i w dali pasące się konie.

Gdyby tak stali w niemem oczekiwaniu wszyscy, ukazał się Biskup zwolna idący pieszo, z twarzą swą

poważną i pogodną, zamiast pozdrowienia błogosławiąc krzyżem na wsze strony. Głowy wszystkich skłoniły się z poszanowaniem.

U boku jego zajęli miejsca dwaj duchowni, a tuż przy nich stanął Mściśław.

Była chwila milczenia, w czasie której Biskup stanawszy, ze złożonemi rękami, zdawał się cichą odmawiać modlitwę.

Dokoła ściskając się i starając przybliżyć, stanęli ziemianie, a Biskup skinął na Mściśława. Pan z Bożenina pochylił głowę, potrzebował chwili by mu głos w piersi zastęgly powrócił, tak gniew i przypomnienie krzywdy doznanej je ucisnęło. — Nareszcie stłumionym, cichym głosem ozwał się oczy podnosząc.

— Radzić nam o sobie potrzeba — miłościwi panowie — radzić samym, bo i my się bez opieki zostali, wydani na pastwę, jakby dzikiemu zwierzowi! Radzić nam trzeba, jeśli ginąć nie mamy.

Zatrzymał się nieco, szmer poszedł koło.

— Czas o sobie myśleć — dodał — i głowę spuścił, bo znowu mu głos zabrakło. Milczeli wszyscy, czekając co dalej mówić będzie. Mściśław jakby się w nim gotowało i wrzało, bełkotał tylko, ręką po czole wodząc spotniałem, w ziemię patrząc nie na ludzi. Żal brał widząc silnego człowieka, którego boleść niemym czyniła.

— Radźmy — rzekł stłumionym głosem, jeśli ginąć nie chcemy.

— Radźmyż! podechwycił ulitowawszy się nad nim Topor, na lasce z siekierą oparty — radźmy o sobie. (Wszyscy owi Topory, Starżowie i Kolki bez siekiery nigdy nie stąpili).

— Sprawę moją znacie — odezwał się wreszcie Mściśław niepodnosząc oczów. — Srom mówić o niej, a no, gdy człeka zwierz okaleczy, ranę okazać musi, choćby sromotnie był okaleczony. Tak i ze mną. — Sromotnie okaleczony jestem przez tego, który mnie

od sromu bronić był powinien... Król, co opiekunem być miał, stał się rabusiem, żonę mi wziął...

W tem z boku mu ktoś przerwał.

— Azali białogłowa lekka nie sama go ku temu wyzwala? Sam ci pokrewnym jej, mówił dalej, a bronić nie chcę i obwinę raczej. Któraby nie dozwoliła, nie byłoby z nią tego, co się z twoją Krystą stało.

Mścisław gniewnie odwrócił się ku mówiącemu, i rzucając się niemal na niego, zawołał.

— Azali nie wiecie co niewiasta każda jest? alboli która z nich rozumu ma? Przeto gdy jedna z nich grzeszy, nie jej winą, a tego co ją przywiódł do grzechu—bo ona dzieckiem jest... Winien król co miał więcej psiej huci niż rozumu i sumienia.

Uderzył się Mścisław silnie w piersi.

— Wy ją winicie, a ja jej nie winię! Słabą była i nierozumną, a ten co ją uwiódł, silny był i podły.

Zaszemrano dokoła, a potem mileczenie się stało głucho.

W tem poruszył się jeden co stał w drugim rzędzie, mąż opalony, barczysty, wojak z postawy i twarzy; przedarł się naprzód dokoła, stał i mówić począł:

— Alboż to jedno co zrobił ten kat a nie król? alboli to jedno?

Pytacie co się u mnie stało, co u innych wielu? Trzymał nas lat tyle w Kijowie u boku swego, a doma zbytki się działy. Po co i my tam siedzieli, aby mu za straż służyć, gdy szalał? I ja tak rzeknę jak Mścisław, nie niewiasty nasze były winne, bo to są dzieci, choćby i jak stare były. — Serce się nam rwało do domów i dzieci, trzymał nas bezlitośnie za górami, a doma sługi i pacholki, widząc że nas nie stało, gwałtem sobie żony nasze pobrali.

Toć wiecie cośmy potem zastali, gdy cierpliwości zabrakło.

Jak nasz wieść doszła w Kijowie co się działo,

i ja i sotnia cała, nie pytając pana lecieliśmy na skrócenie karku, bronić tego co jak życie drogie.

Tu tłuszcza ta, właśnie nam wrota pozamykała, wiedzieli lotry z czem przybywamy. Do domów nam swoich szturmem się dobijając przyszło, siec, karać i wieszać gwałtowników.

A za kimże się król ujął?

Za nami?

Nie—za tłuszcza i gwałtownikami, za czeladzią naszą, a żonom którym niepoczciwy gwałt zadano, szczenięta do piersi przystawiać kazał, i swoją klaczkę wodząc krzycząc, że ona więcej była warta niż te żony co się przeniewierzyły...

Ścięto dziesięciu i więcej braci naszych, za to że samowolnie zbiegli z Kijowa, ja głowę musiałem ratować ucieczką, po lasach się tułam, bo i mnie miecz czekał!

Na żony nasze, na nas spadły gniewy, a niepoczciwe sługi, a motłoch i czerń niewinna, tej się nam tknąć nie godzi, choćby ludzi niewolnych!

Gdy tak coraz mocniej głos podnosił, dech mu zabiło, ustał—rękami w powietrzu rzucając, miotając się cały, potem za czoło schwytał się ręką jedną, za piersi drugą i jęknął boleśnie.

Patrzali nań wszyscy w mileczeniu, żal było wojaka mężnego, który kryć i tulać się musiał...

Tuż wystąpił drugi, odarty jak on, w resztkach zszarzanego i oszarpanego pancerza.

— To co on mówił i ja potwierdzić mogę — odezwał się schrypłym głosem. — Królowi ziemianie i rycerstwo solą w oku, nasby się wszystkich rad zbyć, a z motłochu sobie dobrać drużynę.—Rusina-mi się otacza co mu pokłony biją. Pieczyngów przy sobie chowa i niewolników. My, cośmy na tej ziemi ojczyce dawni, u niegośmy i psa warci; krom tych co jak Boleszczyce i za katów mu służą i za druhów do wszelkiego plugastwa.

Takli ma dłużej być? poginiemy wszyscy...

— Do dziś dnia — począł inny, którego głowę tylko z za stojących widać było i włosy najeżone — do dziś dnia nam żeśmy z Kijowa uszli i żonom naszym nie przebaczył. Ino się który ukaże, wołają nań, zbieg, włóczęga, na gałąź z nim, łeb mu ściąć.

A jakżeśmy nie mieli uchodzić z Kijowa, gdy nam dobro nasze czerń łupiła? Mnie, żonę i siostrę parobcy wzięli... Powiesiłem ich obu — tak należało. Baby nie winne nie...

Za tem począł się taki gwar, coraz podnoszących głosów, iż już nie posłyszeć nie było można; nikt nie chamował wrzawy, okrzyki namiętne wznosiły się ze stron wszystkich.

Nierychło poczęto syczeć, lecz gdy jedni milkli, drudzy się wyrwali z żalami i skargami, którym końca nie było...

— Chodził Tomko Swadźba do króla, chcąc go przebłagać — rzekł ktoś z tłumu — do nóg mu padł z pokorą, a nie był winien więcej tylko, że z Kijowa biegał i sześciu parobków co mu dom skazili, wieszać kazał. Ścięto go przeto bez litości...

— Nie przebaczy żadnemu! — potwierdził inny.

Stary Topor podniósł do góry siekiereę na znak iż mówić chciał, i uciszyło się jakoś powoli, zatem on zabrał głos.

— Nie tak bywało — rzekł — za Mieszka starego i za Bolka Chrobrego. Królowie surowi bywali, ale sprawiedliwi, bez rady też swej nie czynili nic. Ziemianie do nich szli jak dzieci do ojca, we wszelkiej potrzebie. Ten znać innej nie chce tylko swoją wolę, swój miecz, my u niego z czernią za jedno stoimy. Władyka, żupan, czy wojak, a rab i parobek u niego równo waży.

I zwrócił się ku przysłuchującemu Biskupowi.

— Ojcie miłościwy — odezwał się — wy znacie i wiecie, jak gdzieindziej na świecie się dzieje, wiecie co nas boli, wy nam radźcie co począć mamy.

Gdy ujrzeli wszyscy, iż na Biskupa wskazał

i spodziewali się że przemówi, ucichło wszystko nagle ciekawe głowy zwróciły się ku kapłanowi. Biskup stał poważny, zadumany, nie spiesząc ze słowem.

— Co mówicie, na co się użalacie — rzekł w końcu — jam też to widział i patrzę na to; lecz nim się co pocznie przeciw złemu, rozważy potrzeba aby większego zła nie ściągnąć.

Pamiętają z was niektórzy, jak po Mieszku i Ryksie, gdy panów nie stało wygnanych, wszystka ta ziemia zniszczoną była i w popiół obróconą. — Lepiej więc, zaprawdę próbować czy się go do opamiętania nie przywiedzie, niżeli knować na jego obalenie.

Do ostatka cierpliwości wyczerpać potrzeba.

Rozśmiał się Mścisław cicho, ale mu znak dało, aby milczał i cofnął się za Biskupa.

— Może też, da Bóg, — kończył Biskup — krew ta bujna, wojacza ostygnie w nim i uspokoi się. Gdyby gorszego nam co groziło, a król upamiętać się nie chciał, naówczas nie wam się porywać na niego i wojować z nim, ale nam — kościołowi wystąpić przyjdzie, któremu także krnąbrnie się stawi.

Po nad tą koroną, którą z Rzymu ma, od papieża, stoi Biskup rzymski, Kościół i my słudzy jego... Kościół co korony rozdaje, co rozkazuje światu i prowadzi go, Kościół słowem jednym więcej uczynić może niż wy mieczami waszemi i odgrózkami. Przed nim on ukorzyć się będzie musiał.

To mówiąc Biskup wskazał na ziemię, jakby dumną głowę ugiąć chciał ku niej. — Milczeli wszyscy. Biskup nie rzekł więcej, a Starża drugi począł.

— Tak, miłościwy ojcie — ratujecie nas chrześcian przeciw poganom, których miłuje król. Ziemianie, rycerstwo, ojczyce starzy tutejsi, na woli jego jesteśmy jako pacholki. Bywała Rada przy królu, on jej znać nie chce. — Garściami złoto rzuca i nam i czerni, ale pocziwego słowa nie da; przystępu doń innego nie ma tylko na kolanach, głową bijąc pokło-

ny. Jednemu z nas życie wziąć, majątności odebrać, cześć zbawić—toć igraszka...

Zwrócił się do stojącego nie daleko, człowieka nie wielkiego wzrostu, palcem go wytykając.

— Waszych on lubi, Kaniowy u niego w łaskach, Boleszczyców z waszego rodu najwięcej... tak, waszych... waszych...

Kaniowa ów łysy, mały człeczek, napuszył się i ostro stanął przeciw Starzy.

— Widzicie przecie, że choć tej krwi co oni, tu z wami jestem, a nie tam z niemil! Więc nie wszystkie Kaniowy z nim. A że się znalazło kilku co mu dworują, co przy nim wiszą, a co ród winien!

— Winien—przerwał Starza—ich tam najwięcej, waszych Mszczuja synów! Jakuszowieckich waszych krewniaków. Czemu tam nie ma moich, albo i drugih?

— Jako żywo—odparł rozjątrzony Kaniowa—nie sami tam nasi koło niego, są Śreniawy są Drużyny...

— A waszych najwięcej! — powtórzył Topor gniewnie.

— Każdy za siebie odpowiada — odezwał się zwadę usmierzając Biskup—nie ród winien a ludzie.

Stary Kaniowa cofnął się gniewny, pomrukuje i zapalczywe rzucając wejrzenia.

— Brat mój przecie Biskupem we Wrocławiu—krzyknął odchodząc, azali i jego winić będziecie?

— Winni ci wszyscy co królowi dopomagają do swawoli—mówił Topór. — Gdyby ich z sobą nie miał, sił by mu do znęcania się nad nami zabrakło; gdyby nie Kaniowy, Śreniawy i Drużyny owe, nie ważył by się.

— Nie byłoby ich, byłiby Rusini i Pieczyngi, coby nas gorzej jeszcze dusili — krzyknął z tłumu nieustępujący Kaniowa.

— Dusiliby a nie gorzej—zawrzał Topór.—Z cu-

dzej ręki cierpieć niczem jest, od swoich to już ostatnia zguba.

— Ani oni winni, ni ktokolwiek inny, wtrącił Doliwa, który stał milczący, oszczepem się podparłszy—winien on, on sam... Jaki pan taki sługa. Sługa pana nie czyni, a pan sobie urabia służkę, jakiego mieć chce. Winien on...

— On winien! on! zaczęto powtarzać żywo dookoła. — On winien!

— Ukojcie się, ukojcie—przerwał Biskup. Nie chronię go ani oczyszczam, do cierpliwości skłanian tylko, azali się nie upamięta. Chodziłem doń raz, gdy z Kijowa przypadł gniewny, grożąc pomstą i śmiercią — chodziłem nadaremnie, pójdę jeszcze i chodzić nie przestanę... Nie usłuchał rady i napomnienia, będzie gorzej niż jest — ujrzymy co naówczas czynić mamy.

Tak Biskup starał się niespokojne, rozgorączkowane głowy i serca skłonić do cierpliwości i pomiarowania. Miasto ukojenia jednak, zgromadzenie w którym każdy się z żalem rozwodził, coraz więcej na jaw dobywając samowoli — podrażniło wszystkich i wzburzyło.

Gniew wybuchał gwałtowniej coraz, rosnąc gniewy pokrewnemi.

Mścisław, który ziemian zwoływał, stał ponuro patrząc pod nogi.

— Ojciec wielbny—rzekł w końcu — czyńcie i rozkazujcie jako się wam zda. Cierpieliśmy dłużej, pocierpiemy jeszcze, lecz, gdyby się miłości waszej nie powiodło, a słowo nie skutkowało, my o sobie też myśleć musimy i pomyślemy.

Rzucił dokoła oczyma, szukając współników, rąk sporo wyciągnęło się ku niemu, kilka wejrzeń strzeliło, i z różnych stron poczęły się odzywać głosy.

— Pójdziemy z tobą!

— Ujmiemy się za ciebie...

Biskup tedy, widząc że noc już dość późna była,

bo przerywana rozmowa i głosy trwały długo, raz się odezwał jeszcze.

— Dla dobra waszego, proszę was, nie rwijcie się za gorąco i nieopatrzenie.—Dajcie mi czynić, nie pożałuję zdrowia ni życia, a powinność kapłańską spełnię. Pójdę doń, prawdę mu niosąc, nie ulękę się—usłyszy ją z ust moich całą.

Namaszczon jestem jako on i — jemu równy, a potęgą tego kościoła, co mnie posyła, większą jest nad wszystkich królów potęgę.

Mówiąc to, Biskup spojrział z dumą i ufnością w siebie po zgromadzeniu, które głowy w milczeniu skłaniało.

Za czym słów jeszcze dodawszy nie wiele ku pokojowi i cierpliwości, szepnął Mściśławowi, iż jechać pragnie.

Przeżegnawszy potem zgromadzonych, z których bliżsi ręce mu całowali, cofnął się Biskup z koła: Starszyzna widząc, że się do odjazdu zabiera, wyszła przeprowadzając go. A tak szedł Biskup, po bokach mając dwu duchownych i gromadę starszych za sobą, ku łące gdzie już młodzież, przodem poskoczywszy, konia mu wiodła i ramię podać do siedzenia gotowała się.

Księżyc się podniósł nad lasy, noc była jasna, spokojna i widno prawie jak we dnie, gdyż do wiosennego poranku było niedaleko.

Szli tak przy Biskupie Topor, Starża, Doliwa, dwu Śreniawów i Belina stary, ku którym, gdy się od gwarne go oddalili tłumu, zwrócił się jeszcze raz Biskup.

— Nie godzi się słów niebacznych rzucić przed tłumem — rzekł — bo się one z ust do ust szeroko przed czasem rozchodzą i tętnią daleko...

Żle jest—lecz, gdyby lepiej już być nie mogło—co myślicie czynić?

Topor długo mileżał zasepiony, ręką rzucił, głowę podniósł.

— Ojcie miły — odezwał się. — Dziadowie moi Piastom wierni byli, a co im z tego przyszło? Co nam wszystkim z Piastów?

Ród to nasz własny, nie od dziś ich znamy, — albo się z nich rodzą bohaterzy lub znoski i potwory... A czemu byśmy innego rodu panów szukać sobie nie mieli?

Śmiałe te wyrazy innym usta zamknęły, spoglądali na się z obawą, jakby myśli swe przeniknąć chcieli.

— Mieszko—mówił Topor—ostatni, na poły się Niemcem uczynił.—Kazimierz też przez Niemców był chowany. Bolko się zrusił z tamtejszym obyczajem i chce nas prowadzić—albo my to sobie innego pana znaleźć nie możemy, jak to już bywało?

Biskup położył mu rękę na ramieniu, a Topor umilkł spoglądając mu w oczy.

— Ze słowy temi nie spieszcie—odezwał się — niebezpieczne one są, a zamięszanie wzniecić mogą.

— Dla tegom ich tam nie rzekł—ciągnął Topor — a mówię to, przed wami ojcie, bo wiem, że u królowej Światawy i na dworze czeskim macie zachowanie.—Niech oni nas zabiorą, jako już byli raz zawojowali, niech nami rządzą tak jako Czechami. Siłę z nimi mieć będziemy, większą, aby się oprzeć Cesarstwu.

Biskup tylko nań spojrział.

— Zawczesne to słowa—rzekł.—Prawda to, że siostrę króla naszego Światawę szanuję, a małżonka jej mam dla siebie życzliwym — ale daleko jeszcze do tego, byśmy nowego pana i panowania szukać potrzebowali.—Nie czas jeszcze.

— Król się już nie poprawi, rychlej zepsuje, gdy go gniewy ogarną—dodał Doliwa.

Nie mówili więcej, Biskup szedł ku koniowi, którego dlań trzymano, podsadzili go starsi, ucałowali rękę, i powoli, zadumani do koła wrócili.

W kole po oddaleniu się Biskupa, którego przytomność wybuch hamowała, gwar się wszczął coraz

burzliwszy, namiętnemi mowy na króla się rzucano. Narady jednak ogólnej nie było, gdy głowy zabrakło kupkami pociągali się jedni do drugich; starzy wojacy, ziemianie, młodzież, z osobna każdy. Mścislaw bładził między niemi szukając sobie ludzi, którychby mógł też na stronę odciągnąć, bo miał na sercu niedolę własną.

Nawinał mu się Sokół Dryja i Benko z Kurowa, oba starzy druchowie. Tych wziął z sobą na bok. Inni widząc, że z narady nic już więcej nie urośnie, poczęli myśleć o powrocie do domów, dopóki by nie weszło słońce. Wielu też, zaraz po odjeździe Biskupa, po konie poszło, i nie żegnając tylko bliższych—precz ruszyło w lasy na różne strony.

Mścislaw z Dryją i Benkiem, opodał nieco odszedłszy, na ziemi przysiadł. Obu ich nie widział od czasu jak mu porwano żonę, więc począł żale rozwódzić.

— Cóż wy na tę moją nieszczęsną przygodę mówicie? — odezwał się, ręce załamane na kolanach zakładając—co myślicie o niej i o mnie? Mało ten człowiek bab miał do wyboru, żeby mu moją jedyne wziąć było potrzeba?

— A co ci ma boleć już?— odparł Dryja. — Zapomnieć trzeba i wziąć inną.

— Nie mogę! nie mogę! — krzyknął zrozpaczony Mścislaw. — Plunąłbym na nią, gdyby mi nie siedziała tu, w głowie i za pazuchą... to dziecko było! Ona niewinna, a ja ją podziśdziem miłuję jak oczy moje...

— A co ci teraz po niej! — rzekł Benko—co ci po niej!

— Jabo bez niej nie wyżyję! — jęczał Mścislaw. — Niech się ludzie ze mnie wyśmiewają kiedy chcą, byłem ja miał!!

— Człeczce począł Dryja—toć mi wstyd za cię! Gdyby cię ona miłowała, nie poszłaby za nim...

— Gwałtem mi ją wziął! gwałtem! — zakrzyczał rwąc się Mścislaw. — Ja to wiem i baby świadczą

które tam były. — Klną się, iż rzewnie płakała, gdy on śmiejąc się na koń ją sadził. — Ona! ona niewinna — biedniatko! Któż się takiemu drapieżnikowi oprzeć potrafi!

— A ty mu też jej teraz nie wydrzesz — dokończył Dryja.

— Mścislaw siedzącego przy sobie pochwycił za szyję, objął rękami i całować począł.

— Pomóście wy mi tylko! wydrę mu ją! Na to was tu ściągnąłem, abym o pomoc prosił. Swoje odebrać i od króla się godzi.

A! ja wiem, biedaczka tęsknić musi za domem i za mną jak ja za nią; ten ją w żelaznych trzymam okowach, na oczach ciągle. Ale my mu ją wydrzeć możemy, chytrością czy siłą...

Dryja ramionami ruszył.

— Szalony z ciebie człek! — odezwał się — jakim sposobem ze dworu ją mamy wziąć, gdy sam mówisz, że z oka jej nie spuszcza. Słychać że ją przy sobie na zamku posadził, strażę dzień i noc chodzą! Nadaremnieby człek karku nastawił i śmiechu tylko napytał.

Mścislaw słuchać nawet nie chciał.

— Na zamek się wkraść, gdzie wchodzi kto chce, łatwo — zawołał gorąco. — Ona, byle mnie zobaczyła, polecą za mną! Z dobrimi końmi w lasy łatwo ucieczka! a w puszczy nikt mnie nie wyszuka. Bylem się pokazał Kryście, porzuci wszystko, pomoże do ucieczki! — Na zamku samym znajdę przyjaciół i pomocników.

Mówił coraz żywiej Mścislaw, ciągle oczy zwracając to na jednego to na drugiego ze swych słuchaczy; ci mileząc, namysławiając się po sobie trwożliwie spoglądali nie kwapiąc się z obietnicą pomocy. Rzekł w końcu Bienko:

— Miarkujno, król się do niej przywiązał, pewnie też i pilnować musi tego skarbu, ludzi dużo, oczów wiele, o zdrajcę nie trudno... Ciebie czy nas

pochwyć, głowę damy, a zaprawdę, czy warto, sądzi sam? Zdala to ci się łatwym zdaje!

— Jam wszystko wyważył—odezwał się Mściśław, ani chcąc słuchać towarzyszków. — Pochwyć nas nie mogą. Król jej przecie z sobą na łowy nie wozi, a gdy zamki objeżdża, zostawia ją [w Krakowie. Dzień taki wybrać gdy go nie ma w domu, moja rzecz, ludzi kilkunastu i konie rączę.

— Królowej starej i młodszej dwór, choćby co widział, nie ruszy się, rad będzie gdy ją weźmiemy. Bylebyście pomogli.

Mimo upartego dowodzenia Mściśława, że porwanie Krystyny możliwe było i łatwe, Dryja i Beńko, głowami potrzaskali, cmokali dziwnie, i ochoty w nich widać nie było. Nie śmieli wręcz odmawiać, a przyrzekać też nie chcieli.

Mściśław ciągle nalegał.

— Dryjo, bracie, tyś mi, pomnij pobratymem poprzysiągł być, bądź że nim w złej doli. Beńku, ty mnie ratowałeś nieraz, jam ci pomagał, nie odmawiaj mi gdy proszę. Nic nie pragnę tylko ją nazad dostać. — Bylem ją miał, nie znajdą mnie, nie wytropią.—Świat szeroki, będę wiedział dokąd uciekać i zajdę na Ruś.

— Człeczce, Bolko na Rusi jak we własnym domu!—zawołał Dryja.

— To do Węgier.

— Tam ci on pan—przerwał Beńko.

— No, to do Czech, do Niemiec. Za świat! choćba do pogan na Pomorzan—krzyczał Mściśław rzucając się—bylem ją miał!

— Hej! hej!—ozwał się Dryja głową kręcąc—co za dziw, że król się w niej tak rozmiłował, kiedy oto ten jeszcze za nią szaleje. Urok na cię rzuciła, ziele ci dała pić.

— Kto ją wie! Czary nie czary! pić mi ziele dała! albo ja wiem? albo ja rozumiem!—mówił Mściśław gorączkowo—jedno znam, że mi się śni gdy

śpię, że we dnie mi się przed oczyma snuje, że głos jej w uszach słyszę, że chodzę jak skrecony.

Al! wyście bo mojej Krysty nie znali!

To mówiąc westchnął, zakrywając sobie oczy, a Beńko ramionami potrzaskł i na Dryję popatrzał, jakby mówił. — Oszałał.

— Nie innego tylko to gusła są—odezwał się głośno.—Żeby nie wiem jaką była, człekby się w nią żaden tak jak ty nie wlepił. Pamiętam ją pierwszą żonę moją,—hej! co to była za krasa! nikt jej nie zrównał! Kwiateczek był co się na niego człek dmuchnąć bał, aby nie zwiadł zaraz... Miłowałem ci ją i jak żonę i jak dziecko, a jak mi przy pierwszym synu zmarła—choć mi na kilka dni jakby czarną nocą oczy zawlekło, tociem w trzy miesiące Tacianę wziął i tak pokochał, jakby tamtej na świecie nie było...

Mściśław słuchając zżymał się ciągle.

— Co prawisz!—przerwał—twoja pierwsza! Ani ta ani żadna inna do Krysty się nie równa! Takiej jak ona drugiej nie było i nie ma jak świat szeroki. I oczy i głos i ruch i uśmiech—tylko by przy niej siedzieć, patrzeć na nią—albo umierać.

— Lubezyku mu dała i oszałał!—szepnął Dryja.—Czarownica baba

— Zwijcie mnie szalonym, a przez miłosierdzie pomóżcie!—wołał Mściśław—nie, to się gdzie na gałęzi powieszę, albo z kamieniem u szyi pójde do wody. Po co mi życie! Głowy dla mnie stawiać nie potrzebujecie, podeprzyjcie zdaleka! osłońcie! Ludzi orężnych kilkunastu dosyć... Na Kleparzu, na Wawole, na Stradomiu staniemy pod noc, gdzie ja mam gospodę pewną—ludzie też swoi, na zamku mi rękę dadzą... Pochwyciwszy ją, a wzięwszy między siebie, gdy się lasami ku Czechom rzucimy, żeby stu za nami puścił, ani wytropi, ani dogoni. Znajdą się tacy co mu fałszywą drogę skazą. Ja myślałem o wszystkim!

— A no, a no—rzekł w końcu Dryja—jakby na pocieszenie biednego człowieka, gdy na pobratym-

stwo zaklinasz, choćby karku nastawić przyszło, trudno odmawiać—myśl jeno wprzódty dobrze o sobie, bo czyja głowa najprędzej zapłaci, to twoja, jeżeli w ucieczce ulapią.

— Niech głowę moją bierz! — krzyknął Mściśław—i ona mi już i życie nie mile!

To mówiąc pochylił się Mściśław ku nim, słowami serdecznymi usiłując ich nakłonić, aby mu pomocą byli, bo na czeladź spuścić się nie mógł. Beńko i Dryja mileząc słuchali, nie przeciwni mu się, mieli może nadzieję, że rzecz sama spełźnie na niczem. Widać mu było po nich, iż przez litość tylko przystawali na to, co po nich żądał. Mściśław, cały przejęty myślą odzyskania Krysty, gdy sądził, że tych sobie pozyskał, począł innych ściągać z kupki pod dębem pozostałej. — Lecz tu już było niewielu, kilkunastu tylko znużonych, opończami się osłoniwszy na ziemi spało, dnia oczekując.

Udało się panu z Bużenina kilku najzaciętszych przeciw królowi, z tych co z pod Kijowa pouciekali i prześladowani byli za zbiegowstwo, — nie już do stracenia nie mających — namówić z sobą. Tym w zamian dach swój zaofiarował, opiekę i pomoc wszelką. — Biedny człek w przekonaniu tem, że mu Krysta jego sprzyjała, myślał tylko teraz o środkach, jakimi by jej oznajmił o sobie, aby w pierwszej chwili gdy się przed nią ukaże, z radości krzykiem ludzi nie ściągnęła. — Reszta mu się łatwą zdawała — nie wątpił, że choć u króla pieczęta, na szyję mu się rzuci i zbieży z nim na kraj świata.

Dryja i Beńko, upewniwszy go, że gdy wszystko będzie pogotowiu i oni z nim pójść nie odmówią, nad ranem koni dosiedli i do domów odjechali. — Inni też ręce mu dali na to, że go w ucieczce osłonią. Sam jeden pozostawszy, Mściśław się wreszcie znękanym na ziemi rozciągnął i usnął głęboko.

Dzień już był gorący i słońce wysoko, gdy się obudził, bo mu nad głowę kukulka śpiewała... Koń

jego sam jeden już się na łące wypasał, bo wszyscy towarzysze się rozjechali. Mściśław śnił o pięknej Krystcie, że ją królowi wydarłszy, gnał z nią w nad Łabiańskie lasy...

Zemsta, którą żył cały, rozbudziła go, — nie wiedział trudności, nie wierzył w przeszkody żadne, nie lękał się niebezpieczeństwa, dwojaka namiętność czyniła go ślepym i głuchym.

Potęga królewska, czujność straży, warowny zamek go nie ustraszał. W kilkanaście koni był pewien zwycięstwa i już mu się uśmiechało ono. — Spojrzał na słońce i pobiegł, czasu nie tracąc, po konia.

— Choćby sam jeden się miał porwać — mówił w duchu, choćby mnie oni wszyscy porzucili i nie strzymali — pójdę sam! Z gardła mu ją wydrę! Nawinie mi się, tem gorzej, nie zlekne się go; a zabije mnie — niech krew niewinna padnie na jego głowę.

Tak marząc Mściśław konia pochwycił, dosiadł i ściskając go a poganiając, jak szalony w puszczę i gęszcze się rzucił... Godziny jednej straconej żał mu było. — Krysta czekała na niego!...

III.

Królewski gród na Wawelu, nie wiele się naówczas różnił od innych zamków po kraju rozsianych; mocny położeniem swym, wałami, ostrokoły, i palami, któremi był obwarowany, we środku wspaniałością się żadną nie odznaczał. Drewnianych dworców starym obyczajem stawianych z przedsieniami w słupach rzeźbionych, więcej było niż muru, którego kawał tylko jeden, nad urwistym góry brzegiem był wzniesio-

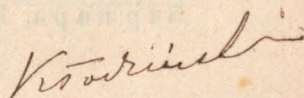
BOLESZCZYCE.

POWIEŚĆ

Z CZASÓW BOLESŁAWA SZCZODRĘGO.

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.



TOM I.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

Druk. S. Szymanowskiej, Daniłowiczowska 6.

1898.

ny. Stajnie, szopy, dwory dla wojaków i drużyny wszystkie były z drzewa, a choć okraszone malowaniem, niskie, niepokazne stały porozrzucane, na dość wielkiej przestrzeni. Pomiedzy niemi i letnich kleci, i ladajakich komor kryło się wiele.

Niedaleko od wrót kościołek nie wiele się też podnosił nad otaczające go wały; skromny był i ludu wiele nie mógł w sobie pomieścić. Pusto było około niego, natomiast w szopach, stajniach i dworach ludu się roiło mnóstwo — a wszystkich ten lud, drużyna pańska, wojacy jezdni i piesi, czeladź, pacholki, którzy się tu miescili, daleko świetniej niż same dworce wyglądali.

Dla obcych i swoich, dworu i gości pod dostatkiem było wszystkiego, czego zapragnęła dusza.

Butno też wyglądał dwór pański złożony z wszelkiego narodu. Było tam Polan i Mazurów i Rusinów i Ugrów i Pieczyngów i Jazygów i różnego plemienia mnogo, szczególnie młodzieży pięknej, dorodnej i silnej.

Niewiastami też roił się zamek, a i te rozmaicie wyglądały, jakby nie na jednej rodziły się ziemi i nie z jednej krwi pochodziły. Czarnobrewa i śniade, białe i złotowłose, kędzierzawe z czarnemi, niebieskiemi i siwemi oczyma, drobne i rosłe, z wesołemi śmiechy uwijały się wszędzie. Języków też przysłuchawszy się, wiele rozróżnić było można, bo oprócz swojego, podobny do niego czeski (który tak wówczas niemal jak i polski brzmiał), ruski, węgierski, niemiecki nawet tu owdzie się odzywał.

Ruski przecie, około dworu starej królowej matki i młodej, co z sobą dużo ludzi przyprowadziła, najgęściej słyhać było. Król też sam często się, nawykłszy doń w Kijowie, nim odzywał, a Węgrów rad ich mową zaczepiał. Z Rusi król naściagał służby wszelakiej, a ta mu była najmiłsza, bo na skinienie służyła ochoczo i zawsze z twarzą wesołą.

Lubił Bolko ślepe posłuszeństwo, bo w zawojo-

wanych państwach goszcząc długo, przywykł do niego. Gdy na Wawelu mieszkał, ten co i w Węgrzech się panem czuł i na Rusi jakby w domu; wszystko co żyło tchu jego słuchało, spoglądało trwożliwie, oprócz ulubieńców pana. Za to gdy go nie stało na grodzie, gawieź się rozpuszczała dokazując okrutnie, i na królowę nie wiele zważając cugli sobie popuszczała. Więc wrzawy i bitki powstawały ciągle, przy dostatku pokarmu i napoju, a z kobietami żarty, które czasem do późna w noc po zamku się rozlegały.

Gdzie się też i za grodem ludzie Bolesławowi pokazali samopas, strach biegł przed niemi, bo miary nie znali w niczem, a ulubieńcom wszystko uszło bezkarnie. Poskarżył się królowi skrzywdzony chłop, ubogi kmić albo osadnik, ujął się za niego często i bez miłosierdzia ukarał — gdy władyka, ziemianin użalił na drużynę, wysmiał go i z niczem odprawił. Dwory też przed królewską drużyną zamykano, gdzie się kolwiek pokazała.

Władyków i ziemian możnych nie lubił król, jakby czuł, że i oni doń serca nie mieli. Odgrązał się na nich głośno, i dawał we znaki, gdy tylko mógł. Codzień ich mniej na dworze i na grodzie widać było. Miał który sprawę, wołał ją sam sobie rozsądzić mieczem, niż po sprawiedliwość iść do pana. Dla kogo dobrym był król to bez miary. Boleszyce jego ze skarba brali co sami chcieli, ulubienicy chodzili w złocie i złotem sypali. Król wcale o nie nie dbał. Lecz kto na taką łaskę chciał zasłużyć, musiał iść na stracone imię, nie oglądając na nic i nie opierając w niczem. Zabijał porwija! Czynieć musieli co kazał. Zawahał mu się kto raz, lub odpowiedział słówkiem małym, już łaskę stracił. Bolesław nań ani spojrział więcej; precz ze dwora mógł iść kędy chciał, rad, że życie uniósł całe.

Przebaczenia u niego, posłuchu ani pomiarkowania nie było. Cóż dopiero, gdy kto mu się śmiał stać, chociażby równym mu królem był? Niezniósł ani

przebaczył oporu, czując się tak silnym, jakby mu nikt zrównać i nie go złamać nie mogło.

Poprzednicy jego wszyscy, aż do pobożnego ojca, świątobliwie kościołowi służyli, on chciał kościół mieć na rozkazy. Duchownych też nie cenił, jak ojciec, dziad i pradziad, mieniać ich urzędniki swoimi, których pod władzą chciał trzymać.

Dla tego i biskupów wolał mieć Polaków, niż Włochów i Francuzów, aby mu łatwiej posłusznymi byli i za panowania jego na gnieźnieńskiej katedrze, na wrocławskiej i w Krakowie Polacy już siedzieli, choć z Rzymu na to krzywo patrzano.

Dnia tego na zamku czuć było jakieś przygotowania niezwykłe. Król ze swemi Boleszczycami, drużyną i zwykłemi łowów i zabaw towarzyszymi, wieczora poprzedzającego wrócił był do Krakowa, gdyż na ten dzień naznaczono składanie do skarbcza danin wszelkich i podatków od wszech stanów.

Odbywało się to zwykle z obrzędem uroczystym i okazałością, którą król lubił. Zjeżdżali powołani władcy, żupanowie, ziemianie, osadnicy, wszyscy co osobiście dań do skarbu dawać byli obowiązani i przed tronem królewskim, u nóg jego ją składali. Bywało dawniej, że ci co się bogactwem pochłubić chcieli, nie tylko to co byli powinni, ale dwakroć i trzykroć więcej ofiarowali panu, aby sobie łaskę jego pozyskać. Kto nie mógł inaczej składać dań skórami, które powiązane półsiorokami i siorokami, szły do skarbu na podarki i odzież dworu.

Dnia tego na równinie u stóp Wawelu, wszystko już było do tej uroczystości przygotowanym, którą z powodu wojen i nieobecności królewskiej, przez lat kilka zaniedbywano.

Od rana widać było ciągnących zewsząd ku Krakowu i rozkładających się na łące u stóp góry jezdných, pieszych i wozy.

Rozbite tu były namioty królewskie i siedzenie dla króla szkarłatnem suknem wysłane, na kilka sto-

pni wzniesione, nad którem na pozłocistych tykach wielką od słońca rozpięto oponę.

Lubił Bolesław okazałość pańską we wszystkim a ile to razy występował przed tłumy, zwykł się nią być otaczać, naśladując cesarzów niemieckich, z którymi się równym rad mienił.

Wkrótce po wschodzie słońca, na grodzie ruch znaczny się rozpoczął, a na łące między ludem szmer powstał, iż król nadjeżdża.

Z wrot zamkowych pokazał się też zaraz orszak jego wspaniały. Było się czemu przypatrzeć, bo i ci starce co czasy Bolesława Chrobrego pamiętali, wyznawali, że za jego szczęśliwych czasów, okazalszego nie widzieli dworu. Dobór ludzi, uroda młodzieży, strój ich i zbroja, prawdziwie były królewskie; ze wschodu ściągnięte klejnoty, tkaniny, oręże poczty przystrajały.

Przodem jechali ci, co na rogach trąbiąc znaczyć dawali pospolitemu ludowi, iż pan jedzie, aby mu z drogi ustępowano i cześć oddawano należną. Ci rogi mieli złoczone i czapki bramowane złotem, opaskami, a było ich dwunastu, którzy z kolei po czterech w rogi dęli, coraz innemi głosy... Za nimi szedł poczet pieszych ludzi z toporami w rękach i tarczami, jak jeden odzianych z piórami u kołpaków, twarze ogorzałe, groźne i posępne. Tarcze, które na rękach niesli rzemykami przytwierdzone, obciążone skórą, obite blachami, całe były złoczone i kraszone oznakami różnemi. Ci byli z dalekiej północy ściągnięci i małeńkie ich oczy skośno z pod czoła patrzyły.

Po nich jechała czeladź pańska na koniach dziarskich, niebiesko odziana, pancerni wszyscy, konie na pół przykryte kropierzami, w rękach włócznie żelazem okute całe, błyszczące; na głowach też hełmy jasne z żelazami na nosy pospuszczanemi. Tu było Rusi najwięcej rumianej, zdrowej i swawolnie z po za hełmów oglądającej na ludzi... Niektórzy jadąc

włóczyniami straszili poblížszych i zamachiwali się na niewiasty, z kąd popłoch powstał. Dalej następowała królewska drużyna i sam dwór pański, na podziw wspaniałe, lecz każdy człek inaczej odziany wedle ochoty i możności, jeden nad drugiego piękniej i dostatniej.

Sadził się każdy, by towarzysza przesadził i wystąpił jak najokazalej.

Tu napatrzeć się było można wszelkiej zbroi, i starych, które przez Ruś z za morza przywożono, i nowych niemieckich, mieczów saskich, włóczyń frankońskich, misternie u końców wyrzynanych, a w kutasy przystrojonych, i żelaznych hełmów różnego kształtu, ozdobionych piórami, kitami, skrzydły ptasiemi i łańcuchami. Każdy swój oczyścił i wytarł, żeby się na słońcu błyszczał i świecił jak srebrny, u niektórych też żelazo blaszką ociągnięte złocistą, polyskiwało i gorzało, jakby się im lby paliły.

Wielu z nich mieli z ramion poprzewieszane skóry zwierząt suknem krasnem podszyte. U kilku na szyłkach widać było głowy niedźwiedzie, rogi jelenie, dzioby ptasie.

Wszyscy się znać wysadzali na pasy i łańcuchy, bo te były i kamieniami gęsto natkane i malowane po grecku i na podziw pięknie rzeźbione. Na tych wisiały miecze i mieczyki z rękojeściami bogatemi i pochwy nabijanemi gwoździemi złotemi. Niektórzy u lewej nogi przypiętą mieli długą ostrogę złożoną, u innych wędzidła, nagłówki na koniach i czuby u nich złociste świeciły. Konie, które kropierzami pokrywane były, strojno w opony wzroczyste, szyte barwnie i wspaniale, tak, że im nie jedna niewiasta tej sukni pozazdrościła. Najwięcej tu było odzianych z ruska i grecka, wedle obyczaju przywiezionego z Kijowa. Ztamtąd też bogactw tych przyszło wiele.

Wśród tego orszaku jeden wioził chorągiew pańską szkarłatną z złotemi wisiadły i sznurami, na której godła różne i postacie szyte były...

Najprzedniejsi ulubieńcy w strojach najbogatszych, przed królem postępowali, który w małym po nich odstępie, jechał na swej kłacz siwej ulubionej, złotą kapą okrytej.

Swierzopa królewska, co z nim nie jedną odbyła wyprawę, wypasiona, z grzywą długą, szła zwolna, poważnie jakby wiedziała, że pana dźwigała na sobie. Rząd cały na niej był od złota i szkarłatu, a nad głową czub się trząsł, kamieniami błyszczący.

Bolesław jechał, w bok się wzięwszy, z góry patrząc jakby nie widzieć nie chciał, nie kierując prawie koniem, gdyż u uzdy szli dwaj mali pacholki, oba miecze na ramionach niosąc ogromne.

Odziany był cały w bławat purpurowy, a na głowie czapkę miał, którą okalała szyta na niej korona królewska. Wzrok więcej niż pogardliwy i dumny, nie zdawał się nawet chcieć patrzeć na tłumy i o widzenie ich się nie troszczył. Nie się go nie zdawało obchodzić, myślał o czem innem, jadąc znudzony i obcy temu co miał przed sobą. U boku mały mieczyk tylko zawieszony był dla ozdoby. Niesiono za nim królewską tarcz złotą całą i jeden miecz jeszcze pasem obwinięty, a dalej następowali w szatach wytwornych futrami bramowanych dostojnicy dworu, urzędnicy przyboczni i panowie; z laskami w rękach, łańcuchami na szyjach, pasami na biodrach. Twarze ich, jak królewska surowe były i dumne.

Sędziwych starców prawie tu widać nie było, ani twarzy tych, na których radę widać rozumną i mężką powagę. Średnich lat ludzie, obliczów starzych, zdali się zastępować miejsca tych, którzy się stawić nie chcieli.

Na końcu biegła dworska gawiedź i służba po mniejsza, która za plecami starszyny swawolić sobie pozwalała, popychała się, rozbiegała i skupiała... Ale i na niej widać było królewski dostatek, bo niektórzy jak panowie wyglądali i nie mniej od nich buty oka-

zywali, osobiwie względem bezbronnego tłumu, który brzegi drogi zalegał..!

W zamku na górze, na wałach, za ogrodzeniami stały niewiasty rzędami, jedna koło drugiej, przypatrząc się pochodowi wspianego orszaku pańskiego, który ku namiotom zwolna, przy odgłosie trąb się posuwał. Niektóre w wiankach na głowach z włosami porozpuszczanemi, inne w białych namitkach, w krasnych chustach, w bieliźnie i kożuszkach bławatami okrytych, śmiały się, z góry sobie pokazując palcami młodzież, która ku nim zwabiona śmiechem, podnosiła głowy... Nie jeden kwiatek upadł tam z ręki i po wałach się potoczył, zawiązłszy w pół drogi.

Na dolinie pod Wawelem po za miejscem, które wbitemi żerdziami i sznurami oddzielone było, stały tłumy, bo co żyło w Krakowie na Stradomiu, Kleparzu, Piaskach, Wawole i we wsiach nawet okolicznych, na tę uroczystość się zgromadziło. W pierwszym rzędzie ciekawych, nawet duchownych rozpoznać było można, lecz ci osłaniali się, niechętnie naprzód wychodząc. Mnogo ziemian stało na koniach w bliskości, a ci, choć jadąc, na dwór po pańsku okazać się pragnęli i strojni byli, gaśli w obec królewskiego dworu. Strój ich stare przypominał czasy, i oręż był nie dzisiejszy.

Twarze ich były jakby z innego świata, a wejścia, gdy się spotkały z drużyną królewską groźno ku sobie strzelały. Bolesław nie spojrzał nawet ku gromadom.

Ciągle poprzedzany grającymi na rogach, wjechał król na plac, wśród którego siedzenie dlań przygotowane było. Piesza służba, która u namiotów czekała, przybiegła konie od pana i starszyny odbierać; drużyna nie zsiadając z nich, dokoła się ustawiła w porządku. Starsi urzędnicy stali na przodzie i zabierali się wywoływać ziemie, powiaty i grody, które z kolei dań składać miały.

A że wszyscy ci ludzie nie piśmienni byli i pa-

mięcią starczyć nie mogli. Skarbny królewski Sci-bór, do boku swego wziął dnia tego nowicjusza, młodego kleryka, który na długim zwitku pargaminu spisane miał ziemie do wywoływania.

Król zasiadł miejsce swoje, a czy był znużony bezsennością, czy znudzony tym żywotem spokojnym domowym, do którego od młodości nie nawykł — ledwie usiadłszy podparł się na łokciu, nie patrząc już na to co się działo miało, zadumał się czy zdrzemnął może. Siedział posągiem bez ruchu.

U stóp jego leżały rozesłane sukna, na których dań składano, tak, że na jednym futra i skóry na drugim złoto i srebro kładziono.

Jechali naprzód bogatsi ziemianie, żupanowie z grodów znaczniejszych, potem władcy inne i bogaci kmiecie i rycerstwo. Za innych królów bywało zwyczajem, iż przy takich zjazdach, król nie tylko ugasażał przybyłych, ale ich rozpytywał, rozmawiał i zabawiał się z niemi, żalów słuchał, rady dawał, często żartów dopuszczał i rad był, gdy śmiejące się widział twarze.

Bolko nie miał ochoty spojrzeć nawet na swych ziemian i rycerzy, z którymi od powrotu z Kijowa srodze się zdarł a powasnił. I teraz choć mu pokłony bito, nie skinął nawet, ani dał poznać, że je przyjmował. Jeśli się ozwał słowem to do swoich młodych ulubieńców i orszaku.

W milezieniu więc składał każdy co przywiózł a podkomorzowie pańscy zapraszali do namiotów, pod którymi na przybranych stołach zgotowane były mięsiwa, jadła różne, miód i piwo w beczkach i kadziach.

Kto chciał i jako chciał jadł i pił, lecz jak król nie widział swych gości, tak oni stołu pańskiego znać nie chcieli. Znaczniejsza część przesunęła się tylko przed namiotami, i chleba w nich nie rozłamawszy, na swe miejsca powracała.

Ciążba choć milczała, szmer od niej szedł głu-

chy,—słychać było chrzęst zbroi, koni rżenie, gwar stłumiony ludu i szelest opon, które lekki wiatr poruszał.

Około króla uroczyste panowało milczenie, dwór tylko pański, palcami sobie z po za tronu ukazując przybywających z daninami, urągał się im i wyśmiewał bezwstydnie. Na niektórych też Bolko spoglądał z ukosa gniewnie brwi czasem marszcząc, choć żadnemu nie odpowiedział na skłonienie, a od innych odwracał się widocznym wstrętem i wzgardą.

Z twarzy przybywających, nie tyle obawę, co niechęć i gniew widać było. Szli wszyscy jak z obowiązku, niektórzy młodszym krewnym zastępować się nakazując, aby pokłonu nie bić i czoła nie uchylić. Dań jednak była obfita, i wspaniała i na kupach gromadziło się srebro, złoto, pieniądze różne kawały kruszczu porąbane.

Bolko prawie nie patrzył na to, nie wiele się zdając cenić co mu przynoszono. Więcej oczyma śledził tych co niesli, niż to co mu oddawano. Brzęk go czasem obudził z zamyślenia, w które znowu wpadał, mrużąc oczy i jakby do snu się zabierając.

Skarbny głosem znużonym wywoływał ziemie i imiona, przez otwarte wrota wchodzili powołani, za nimi niesiono dań, i pokłon złożywwszy, ustępowali ku namiotom.

Dziwny szmer przebiegł w tłumie i dworze, zwrócili się oczy wszystkich ku wnijściu, i ujrano stojącego na koniu, w odzieży oszarpanej, ubranego nędznie, z potarganym na głowie włosem, Mściśława z Bużenina. Oczekiwać się zdawał na kolej swą, ale mu tak z oczów patrzyło, jakby tu z czem innem przybył, i króla chciał w obec mnogich świadków o krzywdę swą pozywać.

Bolesław siedzący z głową zwieszoną nie widział go jeszcze; drudzy niespokojni poruszali się przez tłum ku niemu przedzierając, aby mu wystąpienie za-

chwałę odradzić. Mściśław stał, nie chcąc się dać z miejsca swojego poruszyć.

Nadbiegł doń Dryja, który zdala go zobaczył i za cugle konie pochwycił.

— Czego stoisz! co ty tu robisz?—zapytał.

— Albo mi to stać i patrzeć nie wolno? — z uśmiechem gniewnym odparł Mściśław.

— Cóż to o wszystkim zabył i chcesz się z nim zdrzeć, aby ci prędzej głowę zdjęto?—rzekł Dryja.

— Jako żywo!—odpowiedział Mściśław — nie nie chcę więcej, tylko aby się mnie odartemu napa-trzył do syta; aby mnie miał przed oczyma, aby przeczytał z moich oczu, że mu zemstę poprzysią-głem. Wiem że mu tym widokiem dzień struję... Chcę mu struć choć godzinę...

I nie dał się odwieść Mściśław, owszem przybliżył do szranków tak, aby król widzieć go musiał.

Stało się jak życzył, bo głowę podniósłszy Bolesław, zobaczył męża Krysty, i wlepił weń oczy gniewne. Oba wyzywająco patrzyli na siebie, król wzrok odwrócił, lecz niepokoiło go to zjawisko, i co-ras w tę stronę spoglądał. Mściśław odarty stał nieruchomie.

Wszyscy na niego i na króla patrzali na przemiany, drżąc, jak się skończy ta sprawa. Lecz wkrótce Bolesław, jakby chciał okazać, iż go Mści-sław nie obchodzi wcale, na co innego wejrzenie od-wrócił. Począł się wpatrywać w kleryka, którego Skarbny wziął z sobą do wywoływania i liczby.

Był to biedny wyrostek, żółty, chudy, wynę-dzniały, z twarzą długą, oczyma niespokojnymi, rę-kami długimi, które z pod szaty nazbyt obcisłej wystawały, niepozorny i wylekły. Pełnił swoją powin-ność poddając Skarbnemu nazwiska ziem i powia-tów, ale oczy jego, co nigdy tyle złota nie widziały, cheiwie biegały po kupach tych bogactw, coraz się powiększających. Widok skarbów, które u stóp jego

leżały zrzucone jak drzewo, miewał go widocznie. Śmiał się do nich, poruszał, ciekawie wpatrując, zapominał się i ręce ku nim wyciągał, to za głowę się chwycił z podziwu i szalu; słowem, widok bogactw królewskich przytomność mu odbierał.

Skarbny widząc go tak rozgorączkowanym, parę razy za suknię pociągnął, aby się opamiętał, że przed obliczem króla stał. Nic to jednak nie pomagało.

Bolesława śmieszył ten kleryk biedny, jakby dla zabawienia go był tu ściągnięty. Oczów już z niego nie spuszczał, usta mu się do śmiechu krzywiły, a ramiona drgały, jakby go tłumił w sobie. Nagle z siedzenia zagrzmiał straszny głos pański.

— Klecho! co ci jest?

Wszyscy się ruszyli, król wskazał ręką na kleryka. Strwożył się człek biedny, ale nie wierzył, aby o niego chodziło. Skarbny za ramię go pochwyciwszy, dał mu znak, iż król go pyta.

Naówczas wyrostek ów z trwogi prawie tracąc przytomność, padł na kolana drżący i rzekł składając ręce, zwrócony ku panu:

— Paniel nie jestem winien!

Rozśmiał się król z trwogi i zawołał powtórnie:

— Co ci jest, iż tak niespokojnym się stałeś?

— Miłościwy panie — począł zawachawszy się kleryk, który i teraz oczów nie spuszczał z kup złota. — Przebacz mi miłościwy panie, widok tych skarbów i twojego majestatu, omamił mnie, iż przytomność utraciłem... Porównywałem je z moją nędzą i ubóstwem, myślałem jakby z tem złotem szczęśliwym być można.

Bolesław rozśmiał się szydersko, sparty na rękę patrzył ciągle na wylękłego, klęczącego przed sobą klechę, wszyscy milczeli, czekając jak się to zakończy.

— Cóż? Klecho? chciałbyś mieć dużo tego złota — zapytał król.

Uśmiechem jakimś rajskiego wesela, rozjaśniła

się twarz kleryka. Odpowiadać nie śmiał, oczy tylko chciwie, zarzące się pragnieniem wlepił w stos kruszcu nagromadzony u nóg pana.

— No! chcesz złota? mów! — zagrzmiał głos królewski.

— Cóż po chęci! królu wielki! — odparł kleryk głosem drżącym — co po chęci takiej, gdy pojąć nie mogę!

Rozśmiał się Bolesław.

— Bierz tego złota ile go udźwigniesz — rzekł szydersko — bierz, co uniesiesz to twoje.

Dwór i Boleszczyce stojący po za królem śmiechem wybuchli, potem patrzali wszyscy milczący i zdumieni — kleryk osłupiały niedowierzał.

— Bierz! a żywo! — zawołał król nakazująco — bierz!

Słyszając ponowiony rozkaz królewski, kleryk się rzucił jak oszalały, odgarnął naprzód poły wazkiej sukni, lecz wnet zważył, że w nie zabracby mógł mało... Szybko więc na nie się już nie oglądając, suknię zdjął całą, pod którą mało-co podartej i brudnej widać było bielizny — rozpostarł ją na ziemi, ukląkł i garnąć począł do niej, co leżało pod ręką.

Chwytał i cisnął chciwie co mu się nastęrczało, gromadził gorączkowo, spoglądając tylko kiedy niekiedy ukradkiem na króla, który z pośpiechu niezgrabności się wysmiewał.

Tłum stał w milczeniu, ziemianie mający iść z kolei oczekiwali, król okazując jawnie jak mało dbał o złoto, z pogardą patrzył, jak mu je kleryk zabierał.

Na ostatek sukni uboga była już pełną wszelkiego kruszcu i pieniędzy kleryk, co żywiej począł ją wiązać, schylił się i usiłował na plecy ująć to brzemie. Blady, zadyszany, obłany potem, słysząc do koła wybuchające śmiechy szyderskie, obawiał się może aby król nie odwołał darowizny i spieszył z pochwyceniem zdobywcy. Z wielkim wysiłkiem udało mu się

pochwyciwszy, ogromne brzemień owo zarzucić na plecy, ale natychmiast ugiął się wpół pod niezmierną jego wagą i zachwiał. Kroku dalej postąpić nie mogąc, siłił się daremnie. Widać było jak się ślaniał, ugiął, napręzał,—krok postąpił naprzód, twarz mu straszliwie pobladła, potem pokraśniała nagle, krew buchnęła ustami — i padł twarzą na ziemię złamany brzemieniem.

Milczenie straszne panowało czas jakiś. Myślano że się podniesie, drgnięcie tylko widać było, ręce mu się ścisnęły i — ciało poruszać przestało. Król wzgardliwie patrzył, nie mówiąc nic.

Dwóch z czeladzi pobiegło na dany znak ku leżącemu, jeden z nich ujął go za głowę, drugi podniósł kleryka... Oczy stały mu słupem, martwy był i wybladły, twarz miał trupią. — Nie żył.

— Miłościwy królu — odezwał się Skarbny — człek ten nie żyje — co czynić z nim?

— Ukarany za chciwość! — rozśmiał się Bolko z tronu. Bogdaj jak on wszyscy chciwi przepadli! Cisnąć trupa do Wisły, razem z tem złotem co go zabiło! Pogrzebu nie warte ciało — a co król raz dał tego nie odbiera.

Precz ze ścierwem*).

Doniosły, namiętny głos króla daleko słychać było; w milczeniu, ze zgrozą słuchano wyroku.

Czterech pacholków podeszło natychmiast spełnić rozkaz, zabierając zwłoki i węzeł co je przydusił. Wśród milczenia tego z tłumu podniósł się głos jakiś:

— Królu, niesprawiedliwe są sądy twoje,—nie chciwość go zabiła, ale miłość; albowiem rodziców ma w nędzy, dwóch braci czeka okupu w niewoli, biedak nie dla siebie skarbów tych pragnął, ale dla tych których miłował więcej niż siebie...

Czy król posłyszał i zrozumiał te wyrazy? wie-

*) Gallus.

dzieć było trudno, gdyż w rogi zatrąbiono i znowu dalej powiaty wywoływać zaczęto, a Bolko nawet nie odwrócił głowy...

Trup, któremu do szyi przywiązano złoto, poszedł z niem na dno Wisły.

Wypadek ten, który na chwilę przerwał uroczystość, uczynił na tłumach wrażenie wielkie. Wspaniałość króla, nieopatrzna chciwość biednego człowieka, sprawiedliwość Bożą, nielitościwy wyrok pana, ów głos sądzący sędziego—wszyscy brali do serca, zdumiewali się i trwożyli. Twarze oblokła powaga, smutek, bojaźń, tylko król obojętności swej nie zmienił. Spojrzał ku miejscu gdzie stał Mściśław i znalazł go tam nieruchomego z oczyma w siebie wlepionemi.

W chwilę potem znikł z tłumu Mściśław...

Drogą do zamku wiodącą, która teraz pustą była, bo nawet strażę od bram poszły się przypatrywać złotemu widowisku, — szedł wkrótce potem mężczyzna prostą odziany sukmaną, w czapce chłopskiej, z kijem w ręku. Na czoło miał nasunięte włosy ciemne i czapkę, a kołnierz odłożony tak, iż mu twarzy mało co widać było. Czarny zarost dobywał się tylko i dwoje oczu połyskujących. Szedł, ogłędając się bacznie, krokiem wolnym jakby się czegoś lękał, choć do króla małego ludowi i sukmanom zawsze przystęp był wolny, a od kijowskiej wyprawy jeszcze swobodniejszy niż kiedy.

Ci co widzieli na łące Mściśława na koniu, przypatrującego się królowi uparcie, mierzącego go zuchwałemi oczyma, po sukni i postawie w tym wieśniaku domyslećby się mogli męża Krysty. On to był w istocie. Po wyniesieniu zwłok kleryka wysunął się, konia rzucił gdzieś i pieszo starał się wkraść do zamku. Szedł ostrożnie, niekiedy głowę podnosząc, przyglądając się bacznie niewiastom, które dotąd po nad palami i ostrokołami stały gromadnie na górze.

Tak doszedł do wrót samych, a że mu nikt nie stanął do zamku na przeszkodzie, wkroczył przez bra-

mę, wciąż rozpatrując i zazierając we wszystkie kąty. Gdy się znalazł na płaszczyźnie, kędy dworce pańskie stały, a gdzie teraz pusto było, bo ledwo część psiarzy, sokolników i stajennych parobków na zamku została, zdawał się wahać dokąd dalej ma kroczyć. Obejrzał się raz jeszcze i szedł ku dalszym budowlom, które od królewskiego i królowych dworca łatwo rozeznac było. Wyglądał przebrany w tę siermięgę, z obówień nędznem, tak ubogo i odarto, że go o żebranie posądzić było można, bo od pierwszych drzwi począwszy, kroczył z kolei od sieni do sieni zaglądając wszędzie ciekawie, stojąc u drzwi i okien nasłuchując bacznie.

Nikogo tu prawie nie było, okna poodsuwane stały otworem, drzwi na oścież były odmykane. Dwoje czy troje sieni pominawszy, od mieszkań których ludność wybiegła była na wały, przypatrywać się królewskiej uroczystości, zatrzymał się nagle i drgnął Mściśław. Tu przez okno widać było wywieszoną odzież niewieścią, którą chciwemi zmierzyszy oczyma, dokoła się obejrzał i wśliznąwszy w ciemne przedsienie, zniknął.

Nikt nań nie zważał, nikt nie widział, jak się gdzieś ukrył w kącie.

W chwilę potem niewiasty czy znużone widokiem jednostajnym, czy dla słońca i wiatru, który się zrywał, poczęły z wałów schodzić i po jednej, po dwie do dworców powracać.

Ukazała się wśród nich i pańska Krysta, cała białą zasłoną obwinięta, biegnąc właśnie ku tej sieni, w której się mąż jej ukrywał. Była sama jedna, a choć ją od stóp do głowy okrywały cienkie rąbki, poznać ją mógł każdy po kibici zręcznej i ruchach pieszczonych... Żadna inna, ani tak biegać, ni tak stanąć, ni się tak wdzięcznie przegiąć i główki pochylić nie umiała.

Z wałów, szepcąc coś między sobą, odwróciły się patrząc na nią wszystkie niewiasty i ściagały ciągle

oczyma. I śmiały się, ruszały ramionami, palcami ją sobie ukazywały, a zazdrość i gniewy wybuchały w ich głosach.

Zaledwie Krysta wbiegła do dworca, po chwili krzyk się dał słyszeć, krótki, urwany, ale pełen trwogi i przerażenia.

Za tem nagle ucichło. Nikt tego rozpaczliwego nie pochwycił głosu. Izba Krysty, w której teraz nikogo nie było, bo się służba jej rozbiegła, tak złocisto i bogato przybrana świeciła, jak wszystko co króla otaczało i co mu służyło.

Krysta blada, z rękami załamanymi, z głową spuszczoną, stała w pośrodku. Opadła z niej na ziemię zasłona biała, pozostała w jednej sukience opiętej, jakby do ciała przylegającej, która sliczną jej kibici obejmowała i do stóp spadała fałdami gęstymi.

Przed nią w progu stał Mściśław w brudnej sukmanie, czapkę trzymając w ręku i oczyma gorącemi, załzawionemi pożerał żonę. Patrzył na nią, drżał mówić nie mógł, płakał jak nie mężczyzna, jak matka co dziecię straciwszy, nagle je odzyskuje. Kryście, widok męża, od którego król ją porwał, odjął przytomność na chwilę, lękała się, aby ją nie zabił. A Mściśław stał oczarowany nią, oniemiały, bezsilny, tak że choć tu życia swojego nie był pewnym, gdyby go pochwycono, choć rozmówić się z żoną pilno mu było, zapominał o wszystkim... patrzył tylko... Spoglądali tak na siebie, czytając w swych twarzach, ona szukała w nim co przyniósł z sobą zemstę czy przebaczenie, on patrzył czy w niej tę miłość znajdzie jeszcze, dla której życie ważył. Niewiasta prędkiej zrozumiała go i ochłonęła z przestachu. Swawolna była jak dziecię, ale bystra i pojętna, przez czarne jej źrenice błysk jakiś przeleciał.

— Krysto moja! Krysto! — zawołał mąż ręce ku niej wyciągając. — Nie! tyś o mnie zapomnieć nie mogła, ty tak tak tęsknisz za mną... ty do mnie powrócisz. Mów Krysto moja...

Spuściła oczy niewiasta i usta się jej zacięły; z pod brwi rzuciła oczyma wylekłemi, jakby go chciała badać jeszcze i żywo rzekła.

— A! tak! tak! Zrobię co chcesz, pójdę, ale teraz... gdyby cię tu kto zastał, gdyby sługi nadeszły. A! nieszczęścieby się stało! Król tak zazdrośny! ludzie tacy źli... Schowaj się, ukryj gdzie do nocy...

— A nocą uciekniemy! — krzyknął Mścisław ręce ku niej wyciągając.

— A! tak! uciekniemy! — prędko powtórzyła Krysta.

— Gdzież się mam skryć! mów, pokaż! — wołał Mścisław.

— Gdzie? ale ja nie wiem! — niespokojnie się poruszając odpowiedziała kobieta, głowę zwracając to ku oknu, to na drzwi komory.

— Skryć się! trzeba się skryć gdziekolwiek! Gdy nadejdą dziewczki moje, domysła się, pobiegną, wydadzą. Schowaj się co prędzej, gdzie chcesz, ale prędzej! a! prędzej!

To mówiąc Krysta zaczęła biegać po izbie, parę razy znów oknem wyjrzała, chwyciła się za serce, za głowę... nie wiedziała co począć z sobą. Gdyby Mścisław nie miłował jej tak bardzo, możeby był mógł poznać, iż więcej było trwogi w niej i gniewu, niepokoju o siebie, niż obawy o niego.

On sobie tłumaczył bojaźń tę jako oznakę miłości żony. Uradowany, zapomniawszy o wszystkim, powtarzał tylko pytanie, gdzie i jak ukryć się może.

Krysta miała się czas namyśleć, stanęła i palce na zbladłych położyła ustach.

— Idź na wyżłkil w sieniach stoi drabina, nikt tam prawie nie chodzi, nie znajdują cię tam.

Mścisław chciał natychmiast usłuchać, lecz porzucić ją żal mu się zrobiło. Stąpił krok i zawałał się.

— Mów jeszcze—zawołał—powiedz kiedy mam przyjść do ciebie... Wymknę się z zamku i powrócę...

Krysta nogą uderzyła w ziemię z niecierpliwości.

— Uciekaj—zawołała—ja nie wiem nic, ja ze strachu szaleję! jam biedna i nieszczęśliwa.

Zakryła oczy i płakać zaczęła.

Potem nagle widząc, że to nie skutkuje, jakby oczy jej oschły, odsłoniła je i zaczęła mówić pośpiesznie, na drzwi ręką wskazując.

— Powracaj, ja nie wiem, o mroku. Stanę w progu, odzieję się w chustę proste, gdy będzie można, ujdziemy.

Chciał Mścisław pytać jeszcze, gdy Krysta pobiegła do okna, wychyliła się niem, sparła i wyjrawszy daleko, wołać poczęła żywo.

— Uchodźże, a to ci życie niemiłe! Uciekaj! z wałów wracają dziewczki moje! a! uchodź co prędzej, póki czas!

— Więc o mroku! dziś! zawołał Mścisław.

— A tak! tak! dziś! o mroku! ale idź! idź! idź!

I rękami białymi na drzwi ukazując, miotając nagliła, aby wychodził co prędzej.

Mścisław ociągał się, patrząc jej w oczy, wyszedł nareszcie. Ujrawszy drzwi zamykające się za nim, Krysta pędem wpadła do sąsiedniej komory i drzwi ogromną zasuwą zarygłowała za sobą.

Mścisław jak pijany z izby się wytoczył, zachwiał, o ścianę sparł, musiał stać tak dobrą chwilę, dopóki nie oprzytomniał i nie przyszedł do siebie, bo drogi zapomniał, drzwi nie widział i nierychło ostygłszy, czapkę na oczy nacisnął, kołnierz podniósł zwolna się wytaczając na podwórze.

Co się w komorze działo?

Tam słychać było oddech ciężki; potem chód szybki, jęczenie, płacz... i wszystko zamilkło.

Odsunęła się zasuwa ostrożnie, powoli, przez szparę wyjrzała Krysta czarnemi oczyma.

Nikogo w izbie nie było, odetchnęła, wsuwając się do niej ostrożnie, na palcach.

Podeszła cicho ku drzwiom od sieni, uchyliła je bacznie, rzuciła wejrzenie w ciemną głąb, ku drabinie, nie się nie poruszało nigdzie, nie było nikogo.

Odetchnęła nieco z przerażenia. Zdawało się, że kroczącego wolno ku wrotom Mścislawa, więcej nikogo, mógł ujść bezpieczny jak przyszedł. Lżej się Kryście zrobiło. Na bladą jej twarz wróciło trochę rumieńca.

Lecz stała w progu niespokojna jeszcze, zadumana z palcem na ustach. Czy jej biegały zdając się ścian pytać i stropu: co pocniemy!

Pobiegła wewnątrz, zarzuciła białą płachtę na siebie, wyszła szybko zdworca ku wałom i rozmyślała się inaczej. Wróciła niespokojna do izby, rzuciła zasłonę, stanęła ręce łamiąc, kręcąc się, przysiadając, podrażniona, prawie gniewna.

Brwi się jej ściagnęły, usta ścięły, piękna niewiasta stała się straszną, oczy jej ciskały pioruny. Nogą biła o podłogę, ręce wyciągała ku drzwiom, kręciła się jakby w skocznem wirując kole, potem stawała skamieniona, a wzrok topiła w ziemię.

Z tych ruchów głowy, rąk i oczu, czytać było można wyrazy, które w duchu mówiła do siebie.

— Al! tak źle, tak nie można! potrzeba inaczej. Co począć! I tak straszno, i tak niedobrze! i milczeć nie mogę i mówić się boję. Al! jakżem ja nie-szczęśliwa!

Gniew w niej wzbierał, gniewała się na niego, na siebie, na króla, na swą dolę, najwięcej pono na upartego co ją tak kochał, że gotów był swe życie i jej życie poświęcić.

Pobiegła ku drzwiom, u drzwi stała srebrna konew z wodą i kubek wisiał przy niej. Napiła się wody, aby orzeźwić, paliły się usta, serce biło, w oczach to czarne płatki.

— Al! wodo moja! wodo!—wołała—wodo powiedz mi co czynić mam nie-szczęśliwa! Czy iść się utopić w tobie, czy za tym iść, któremu przysięgała, czy

za tamtym co mi jak słońko świeci! jak słońko pali! To król, to pan, a ja jego królowa, ja tu pani, nie ta stara co w kącie płacze! I wszystko porzucić, a iść gdzie smutek, gdzie żaloba. Dogonią, krew się poleje! krew! Al! ja widoku jej znieść nie mogę! Mnie zabić mogą. Jego przezemnie! krew na głowę mi spadnie! krew!

Pomyślała nieco.

— Powiem wszystko, powiem lepiej? Cóż mu się stanie? Ja mu życie wyproszę, czy mu wyproszę... posiedzi w ciemnicy. Pocałuję to wypuścić go każe... Uciekać? a nie, nie. Nie chcę! nie mogę!

Rozmyślała tak po izbie biegając, gdy za drzwiami ktoś chrząknął, nastawiła ucha i pobladła, stała milcząca, potem na palcach biegła ku komorze, kaszlnął ktoś raz drugi.

Na drzwi komory patrzyła Krysta, jakby sobie dając do wyboru uciekać czy czekać, zostać czy uchodzić, palec przycisnęła do ust, jakby z niego wyssać chciała, jak sobie radzić?

Już wchodziła po cichu do komory, stanęła w progu, zawróciła się niepewna.

Wtem i drzwi się uchyliły od sieni, w szparze ich widać było Borzywoja Boleszezyca, który śmiał się i mrugał ku pięknej niewieście. Krysta się zarumieniła. Wszedł. Obejrzał się dokoła, ona do okna pobiegła i wychyliła niem rozglądając po podwórzu a podniósłszy się pogroziła zuchwałemu.

Niby mówiła, jak śmiał przychodzić tak poufałe? ale widać było, że się wcale nie gniewała. Borzywój dnia tego nie pojechał z braćmi w orszaku, uczynił się chorym, może umyślnie, dlatego, aby chwilę upatrzawszy bezpieczną, zejść Krystę samą jedną.

I on i Zbilut i wielu innych się w niej zdawało rozmiłowało. A ona? wszystkim hołdom rada była, oczyma wabiła, ustami łajała, nie odstręczając żadnego. Była tak zalotną, że się i gołębiom na strzesze wdzięczyć była gotowa, tak ją nie-szczęśliwą stwo-

Дозволено Цензурою.
Варшара, 13 іюля 1898 г.



Ukraińskiemu Słowikowi

JÓZEFOWI BOHDANOWI ZALESKIEMU

ZE CZCIĄ SERDECZNĄ

POSYŁA

D. 3 Maja 1877.
Drezno,

AUTOR.

rzył Bóg na własne i ludzi utrapienie. Nie czuła się winną, zdawało się jej, że nie mogło być inaczej. Była tak piękną, juści wszyscy się w niej kochać musieli, a jej, ot tak, biedaków żal było.

— El ty, ty!—szepnęła niby gniewnie—po co bo ty tu? po co!

— Złoto moje, królowo moja! aby ciebie zobaczyć...

Chciał się Borzywój zbliżyć trochę, furknęła.

— Stój zdaleka, a nie to zawołam na dziewczęta...

— To co? powiem, że pańskiego dobra pilnuję!—odezwał się Borzywój wesoło—a dziewczki żadnej też niema, bo wszystkie na wałach.

Zarumieniła się Krysta i parsknęła.

— A no! stój zdala, bo oknem zakrzyczę!

Lecz mówiąc tak groźnie, rozśmiała się dziwnie głos jej dźwięczał pychą, dumą, zalotnością i niepokojem, oczy to w niego topiła, to gniewnie odwracała. Borzywój ciągle starał się przybliżyć.

— Dajże ty mi pokój, ty jakiś—wołała nań przestawszy się śmiać.—Doprawdy wydam cię przed panem, zobaczysz co będzie!

Rączką na gardło pokazała.

— Nie wydasz i nie powiesz, boś ty dobra i liściośiwa—rzekł Borzywój—zresztą niema co i gadać przed panem. Albo to on nie wie, że się wszyscy do jego Krysty palą jak pochodnie, a Krysta strzela oczyma i śmieje się ze wszystkich.

Krysta się nieco obraziła, dumną minę zrobiła.

— Albo co?—pochwyliła—strzelam oczyma? Na to je mam, abym niemi strzelała... no, i śmieję się! bo wszyscy sobie coś myślą, a to nieprawda! Patrzcie go! jakiś?

Tej wielkiej grozy Borzywój się nie uląkł wcale.

— No, jeśli na to masz oczy, abys niemi strzelała, to i usta na to są, abys całowała. Dajże mi choć raz gęby.

Posunął się zuchwale, Krysta srogą, groźną, straszliwą twarz nastroiła, tupiąc nogą.

— Stój u progu lub źle będzie!

Westchnął Borzywój, ale mu z oczów patrzyło.

— Przyjdzie chwila, że ty do mnie zagadasz inaczej.

Krysta główką potrząsając, zamyśliła się, nie mogła jeszcze swojej biedy zapomnieć.

— Ot, słuchajno—rzekła podnosząc nań oczy—wdziej suknie i zaraz odemnie idź do pana.

— Co pana? król siedzi na tronie i króluje, to nie pora!

— Co mi tam!

— Alboś się tak za nim zatęskniła!—spytał żartobliwie Borzywój.

— Pewnie! czyż niema za kim!—odparła Krysta dumnie.

— Z czemże mam iść do niego?

Na to pytanie, odpowiedź była trudną, Krysta na palcu zawijała i rozwijała chustynkę.

— Powiesz mu—rzekła—tylko tyle, że Krysta chce aby do niej co najprędzej powracał, bo, bo jej pilno, bo, ma wielkie słowo na ustach, straszne słowo, a słowa tego przez nikogo mu posłać nie może, tylko mu je sama musi powiedzieć do ucha.

Mięszała się i jąkała mówiąc, a Borzywój głową potrząsał, żartobliwie się uśmiechając ze straszego słowa, jak gdyby w nie wierzyć nie chciał.

— Gdybyście mnie do ucha dali to straszne słowo, wiernie bym mu je zaniósł i nie zgubił po drodze.

— O nie! nie! To słowo ja sama mu powie dzieć muszę.

— Abyś się mnie pozbyła, bo może czekasz na innego!—szepnął Borzywój.

Krysta oburzyła się naprawdę.

— Brzydki człowiecze!—rzekła—kiedy się klę na matusię moją, że w tem słowie śmierć lub życie być może.

— O ho!—przerwał Borzywój.

— A tak! — potwierdziła Krysta — śmierć lub życie!

— Czyje—spytał dworak.

— I czyjes i mój!—odparła Krysta brwi marszcząc.

Borzywój u drzwi stał nie ruszając się jeszcze, ciężko odejść mu było.

— No, to pójde—rzekł—ale mi choć co dajcie na drogę, jak mam iść za waszą sprawą bez gościńca? Nie pójde!

Krysta się rozśmiała zimnym śmiechem zalotnicy, która rozumieć niby nie chce tego, o czym wie doskonale, i główką pokręciła.

— Jeszcze czego!

Ale stała w miejscu i choć niby pierzchnąć się zabierała, nie uciekała. Dopiero gdy Borzywój przyskoczył chcąc ją pocałować, popchnęła go silnie od siebie pędem wpadłszy do komory, nim ją zarygłowała za sobą, główkę mu jeszcze pokazując, krzyknęła:

— Idźże mi zaraz.. wszakżeś zapłacony! idź!

Borzywój odetchnął ciężko, popatrzał groźnie, zawrócił się niechętnie i wyszedł nareszcie.

Zamkniętej w komorze niesposób było usiedzieć długo, odsunęła zasuwę, wysadziła głowę, obejrzała się i wyszła. Sama się sobie uśmiechała, ale jej było bardzo smutno. Siadła na ławie, sparała się na ręku, dumiała potrząsając głową.

— Co mi tam wszyscy oni! — mówiła sobie. — Król mnie porzucić nie może, o nie! Ile razy mnie zobaczy, zaśmieją mu się oczy, choćby z gniewu krwią zapłynęły. Królowa postarzała i wciąż płacze. Łzami ich nie przytrzymać, odpędzić chyba, wszyscy oni lez nie lubią. Im trzeba ust co się śmieją, choćby dusza płakała, o! ja to wiem co im trzeba! Ja wszystko wiem, wszystko... choć nie wiem jak? kto mi to mówi?

Ruszyła ramionami.

— Co tam dosyć że wiem. Mały palec mi powiada.

I śmiała się do siebie sama, dumna tą niewieścią przenikliwością.

W tem dziewcząt dwoje wpadło śpiewając do sieni, śpiew ich ustał na progu i wsunęły się do izby sznurując usta.

Były to pani dziewczki służebne. Spojrzały na nią. Ona na nie. Złękły się może brwi zmarszczonej, ust groźnie wydętych i cicho przesunęły się do komory.

Tam znów słychać było chichotanie i szepty. Namysliła się Krysta, popatrzywszy na suknię swoją.

— Ciarka!—zawołała.

Starsza z dziewcząt stawiała się z uśmiechem przed panią.

— Mów, cobym ja włożyła, abym piękną była?

— Al—ręką usta zatulając rzekło dziewczę—al choćbyście i gźła nie mieli, to by wam było chyba piękniej jeszcze.

I z za dłoni, którą się zasłaniała, śmiała się figlarnie poufała dziewczyna.

— Mów jaką ja mam wdziać?—poczęła Krysta—czy niebieską suknię, czy krasną, czy złotą? Mój pan przyjdzie do mnie... Popraw mi włosy, zasłona mi je popsuła...

Ciarka się zbliżyła i pani a sługa poufale z sobą gwarzyć i śmiać się zaczęły. Niesiono suknię jedną i drugą i trzecią, aż Krysta rzucając, przebierając, na szkarłat się namysliła, czarnobrewie było w nim najkрасniej, wyglądała jak królowa.

— Będę jak królowa!—szepnęła do Ciarki.

— Boś ty królowa!—przypochlebiając się mówiło dziewczę.

We dwie aż przyszły na nią wdziewać i opinać na niej suknię obcisłą, gdy w podwórzu wrzawa wielka powstała, tentent koni, rogów granie.

Król powracał. Krysta biegła do okna, wychyliła się ku niemu i zdala zobaczywszy, ręką znak mu dawała.

— Bywaj, do mnie!

Dostrzegł król czy nie, lecz nagle stanął wśród podwórza, z konia zsiadał. Siwą klacz jego wiedli do stajni uroczyście, i król naprzód poszedł za nią.

Dwór rozpełzł się po podwórzu, kilku tylko na zawołanie przy panu zostało, a i ci zobaczywszy, że ze stajni do Krysty idzie, powoli, ociągając się, zostali w podwórzu i przedsieniach.

Król wszedł sam, zaszępioty, zmęczony, taki, którego długo trzeba było nosić jak ptaka łowami podrażnionego, aż oczy przymknął i usnął na rękę.

Krysta strojna, z włosami na ramiona rozpuszczonemi, siedziała z chustynką w ręku, jakby się jej na łzy zbierało.

Spojrzał Bolesław na nią.

A co ci to, czarnobrewy, co się jak księżyc mienisz? Trzpiotałaś się jak wróbel rano, juści pod wieczór łzy przyszyły?

Krysta jakby nie słyszała, nie spojrzawszy nań siedziała nadąsana, chmurna, milcząca, głowy nawet nie zwróciła ku niemu, głos usłyszawszy. Król zbliżył się i uderzył ją ręką zwolna po białych ramionach aż zadrgnęła.

— Co tobie? mów — rzekł rubaszenie, — ty wiesz Krysto, że ja ni łożę; ni zagadek nie lubię.

W tem nagle oczy odsłoniwszy, ręce rozpostarłszy, Krysta powstała i do nóg mu upadła.

— Panie miłościwy, panie mój, jeśli mnie nie poratujesz, jestem zgubioną.

Król się zmarszczył i rozgniewał, nogą tupnął aż ostroga brzękła złota.

Wstała z ziemi Krysta, uwiesiła się królowi na szyi i szeptać poczęła.

— Królu panie! daj mi słowo, że mu nie wezmiesz życia!

— Komu? — krzyknął Bolesław.

— Daj mi słowo!

Bolesław zlekka ją od siebie odtrącił.

— Mów komu! mów co zawinił!

— Daj słowo!

Nagniewał się pan ale mu pilno było.

— Życ będzie, mów, co dalej?

Krysta wróciła do królewskiego ucha.

— Mściśław tu był, tu...

Bolesław aż się cofnął i za mieczyk pochwycił.

— On? tu? gdzie i jak? kiedy?

Skinęła nań Krysta, aby usiadł przy niej na ławie, objęła go ręką za szyję, czoło położyła na ramieniu i poczęła cicho szeptać mu coś do ucha. Po twarzy króla przelatywały burze i pioruny. Nie mówił nic, tylko mu białka w oczach krwią zapływały, usta zbladły i zęby się ścięły.

Słuchał tego ust jej szmeru długo, zadumany, potem wstał od niej nie mówiąc nic i przechadzać się począł. Krysta biegła za nim niespokojna, знаła go już, że strasznym był gdy głos podnosił gniewny, ale straszniejszym gdy milczał. Nie odpowiadał jej wcale, stanął w oknie, patrzył w nie długo i nierychło ku niej się obrócił.

Bądź spokojna, jam nie żądny dusić robaka, choć sam mi lezie pod stopy! Życia nie wezmę, ale rozumu uczyć go potrzeba! Mściśław chce się z królem mierzyć! ze mną!

Bolko rozśmiał się, a w śmiechu zębami zgrzytał i straszny był. Krysta przestraszona spoglądała nań jeszcze, gdy gwałtownie cisnąwszy drzwiami, król wyszedł od niej i na dworcu swoje pociągnął.

O kroków kilkanaście spotkali go i otoczyli Boleszczyce, on im mimochodem kilka słów rzucił i szedł dalej.

Widać było, że im dał jakieś rozkazy. Kupka stanęła drużyna naradzać się z sobą. Było ich kilkunastu, żwawo, pochylając się ku sobie, rozprawiając,

Boleszczyce T. I.

szepezać, poczęli się umawiać o coś Boleszeczyce. Z ruchów i twarzy znać było sprawę ważną i pilną, której wykonanie gorąco ich obchodziło. Jedni się wrywali, wstrzymywali drudzy, sprzeczekali.

Tajemnicą musiało być co im powierzył król, bo gdy się kto z dworzan do nich przybliżał, milkli, pozbywali się go, odsyłali, sami potem znowu wracając do narad i cichych szeptów między sobą. Niektórzy rozglądali się dokoła w podwórcach, wskazując miejsca, jakby stanowiska sobie wyznaczali. W tem we wrotach orszak się jakiś powoli wjeżdżający ukazał. Na przedzie widać było konno pomiędzy kilku duchownymi jadącego biskupa Stanisława ze Szczepanowa, za nim czeladź jego i domowników, skromny dwór składających. Od wrót wszyscy się skierowali ku dworcowi królewskiemu, gdzie u wnijscia głównego zsiadł biskup, a jeden z kapelanów poszedł o nim podkomorzym króla oznajmić.

IV.

Król Bolesław gdy zmęczony był, spoczywał zwykle na posłaniu niskim, miękkimi skórami wyłożonem. Psy myśliwskie ulubione mu, które rzadko go odstępowały, w izbie tej z nim i przy nim legić miały prawo. Tak samo jak konie swe, które król nad miarę miłował, często je przenosząc nad ludzi, kochał też psy swoje, dając im swobodę wielką, lubował się też w sokoły, rarogi i białozorami, których izby pełne były.

Wojak był mężny i zapamiętały, i nie mniej namiętnie myśliwstwo lubił, co najczęściej z sobą cho-

dzi. Gdy brakło wojny, łowy ją zastępowały, a z nich mu był najmilszy ten, z którym walka najsroższą i najniebezpieczniejszą była. Najchętniej jeździł na jelenie, łosie, wieprze dzikie, żubry i tury, co nieraz jeźdźca z koniem na rogi wzięwszy, w powietrze go wyrzucał, racicami i nogami mordując mściwie ludzi.

Z oszczepem na żubra samemu się rzucić, z mieczykiem na dzika, z toporkiem na niedźwiedzia nie było dlań nowiną.

Próżno go naówczas chcieć było powstrzymać, bo i człowieka coby go hamował ubić był gotów.

Ogromne psy królewskie, stróże najwierniejsze, nie bardzo się komu do sypialni zbliżyć dawały, a na skinienie jego człekaby rozszarpać były gotowe. Miał z nich straż czujną i straszną, we dnie i w nocy, lepszą od tych, jaką ludzie sprawiali.

Byle się co w przyległej ruszyło komorze, podnosiły głowy i warczały na drzwi patrząc, jakby poskoczyć chciały, aż je król głosem groźnym hamować musiał.

Sprawiano tym ulubieńcom czasem w podwórcach łowy, gdy żywcem dzika, jelenia lub niedźwiedzia ujęto. Zamykano naówczas bramy, stawiali ludzie z oszczepami, wypuszczano zwierza z kleci i król się sam za nim tuż uganiał. Nieraz się trafiało, że gnany i ścigany zwierz, dopadłszy do wałów, ostrokoły przesadzał, skakał z góry, a nawet uchodził, czasem na słabszego parobka wpadłszy rozdarł go i zdusił nim dobieżono.

Te krwawe zabawy ulubione były panu.

Dnia tego król i zmęczony był i gniewny, patrzył w powale, brwi marszczył, pięścią bił o posłanie i psy się doń nawet zbliżać nie śmiały, bo je bił i odpędzał.

W tem zaskrobano do drzwi.

Zawarowała psów gromada zrywając się i nasłuchując, król patrzył milcząc, ukazała się głowa siwa starego podkomorzego królewskiego Janka Huźli.

— Miłościwy paniel—rzekł.

— Czego się ciśniesz! widzisz że spoczywam!—zawołał król.

— Miłościwy panie — dodał niezmiészany tem starzec. — Jego Miłość ksiądz Stanko biskup, czeka na miłość waszą i domaga się posłuchania.

Usłyszawszy to imię, król się zerwał na równe nogi, tak nagle, że psy przelękle pozrywały się też i skoczyły.

— On? tutaj?—zakrzyczał król.

— Tak, miłościwy panie, doprasza się rozmowy z miłością waszą.

— A no! w sam czas—rozśmiał się król—w sam czas, bom i ja rad się rozmówić z tym klehą. Dobrze przeczuł godzinę! Idź mu powiedz, iż króla widzieć będzie. Niech czeka. Prowadź go do izby królewskiej...

Podkomorzy drzwi przymknął powoli i cofnął się zaraz, a Bolesław stanął w myślach zatopiony.

Rzekł, że chciał widzieć biskupa, ale z twarzy patrzyło, jakby się iść wahał, nie bardzo rad spotkaniu, któreby chętnie na czas inny odłożył.

Podszedł raz ku drzwiom już samym i zawrócił się od nich, postąpił ku nim raz drugi i zasuwę ujawszy cofnął się jeszcze, szedł raz trzeci zmusiwszy się, dumnie głowę podniósł, i jak stał na pół odziany, pośpieszył do izby królewskiej.

Komnata to była niewielka, ale wielce ozdobna i na to przeznaczona, aby w niej król niewielu dostojniejszych gości mógł przyjmować.

Było w niej siedzenie pańskie, ponad którem tarcze i miecze wisiały i ławy dokoła z poduszkami sukienkami i oparciem; podłoga kobiercami wysłana, okno rybiemi błonami zaciągnięto, przez które żółtawy blask dnia przechodził.

Tu rozmowa była bezpieczną, gdyż dwie puste izby dzieliły ją od tych, w których dwór, Boleszcyce i komornicy stawali.

Król wszedłszy krokiem szybkim, zastał już tu biskupa stojącego w pośrodku. Dwu swych towarzyszków duchownych zostawiwszy w pierwszych izbach ks. Stanisław ze Szczepanowa sam był tylko. Stał poważny, surowy, z twarzą posępną kapłan, odziany jak do chóru, z pierścieniem na palcu i krzyżem na szyi.

Król i on zmierzyli się oczyma, jakby niemi sił swoich próbowali, ale biskup nie strwożył się królewskim wejrzeniem, a król nie wytrzymał jego wzroku i zasępiiony szedł dalej.

Sklonił się biskup.

Nie mówiąc słowa, nie oddawszy pozdrowienia, Bolesław zajął swe siedzenie królewskie i nie wskazując biskupowi ławy obok siebie, jak należało, zapytał go szorstko:

— Czego chcecie odemnie?

Biskup długo wprzód oczyma króla mierzył, jakby się namyslał albo modlił w duchu, postąpił krok naprzód i począł zwolna a spokojnie:

— Miłościwy paniel nie ja do ciebie przychodzę, ale we mnie i ze mną kościół, matka nasza. Nie zważajcie na mnie, pomnijcie, że ja nie z siebie mówię, ale z jej rozkazania, nie po mej ale po jej woli...

Tu czekał trochę, a gdy król milczał gryząc usta, po chwili mówił dalej.

— Miłościwy królu! milczała matka ta długo i płakała, dziś przez usta moje do dziecka przemówić musi, nadszedł czas.

Płacze ta matka, płaczą bracia twoi, królu, patrząc na to co się dzieje.

— A cóż się dzieje? — zapytał król szydersko i wyzywająco.

— Dzieje się źle—ciągnął biskup dalej—jeżeli wy królu nie wiecie nawet, iż się źle dzieje. Przecież z wysokości tronu waszego jęki kraju słyszeć byście powinni, a staliście się mu katem, gdy ojcem być powinniście.

Król poruszył się i rzucił na siedzeniu, lecz nie rzekł nic jeszcze.

— Ziemianie, rycerstwo, starszyzna, wszystko cię odstępuję — mówił biskup, głos podnosząc — boś srogi dla nich i bez miłosierdzia,

W tem wybuchnął nagle król, uderzając pięścią w poręcz siedzenia,

— Na to władzę mam; a jak ją sprawiam, za to odpowiem Bogu, nikomu więcej. Ziemianie są krnąbrni, rycerstwo zdrajcy, bo mnie odbiegało w Kijowie samowolnie, a do domów przybywszy znęcało się nad ludem okrutnie. Ja nie samych ziemian i rycerstwa królem jestem postanowiony, ale ludu całego... Nad narodem ubogim mścić się i tępić go nie dam! Króla niema bez ludu, a z gminu rycerstwo i ziemian zrobić łatwo... Karzę samowolę, bo tu nikt nie ma władzy i sądu tylko ja!!

— Lud ten — rzekł biskup — podniósł się przeciw panom swoim, lud ten gwałty popełniał, domy becześcił, własność zagrabił, lud to wpół jeszcze pogański, którego przeciw chrześcianom bronić się nie godzi...

— Oskarżacie lud — zakrzyczał król — co sługi winne, że niewiasty rozpustne! Ziemianki to wasze, żony własne rycerzy, pociągnęły do łóżnic sługi i pokalały domy. Dla nich nie ma litości i nie ma jej dla zdrajców a zbiegów.

Mówił król w uniesieniu wielkiem, powstając i padając na siedzenie, oczyma rzucając rozpalonemi na biskupa, jakby się nań miał porwać.

Stanisław ze Szczepanowa stał, słuchał i milczał nieporuszony.

Dawszy dopiero ochłonąć nieco królowi, począł głosem tym samym jak wprzód.

— Pomnijcie, miłościwy panie, że gdy za Mieszka zrażeni opuścili go ziemianie i władcy, gdy królowa Ryksa zniechęciła ich ku sobie, wkrótce

i całej krwi a rodowi pańskiemu uchodzić było potrzeba i rzec się panowania...

Pomnijcie, że bez nich ostać się nie możecie.

— O! to opuszczenie i wygnanie ojcowskie, pomnę ja im po dziś dzień — przerwał król — pomnę i nie zabędę i nie przebaczę go im nigdy! Dlatego głowy ich krnąbrne padają i spadać będą aż ich nie stanie. Nowych sobie ziemian uczynię i rycerstwo, które mi będzie posłuszne. Królem jestem i panem a nie słomianym strachem, który na wróble stawiają, dzierzę władzę i nie puszczę jej. Ani władzyki, ani wy biskupi i duchowni sprzeciwiać mi się nie śmiejecie, bo miecz mam i prawo w rękul

Biskup zwolna na krok się cofnął.

— Miłościwy panie — rzekł z dumą — my biskupi nie stoimy pod twą władzą królewską, my mamy jednego króla a pana w niebiesiech, a drugiego zastępcę jego w Rzymie, więcej nikogo nad sobą. Nikogo! nie my wam, wy nam jesteście podlegli, bo podlegacie kościołowi.. i posłuszni mu być musicie!

— Ja? wam podlegać! — wykrzyknął król zrywając się i podnosząc pięście do góry. — Ja! Ja nie znam ani cesarza, ani papieża, nikogo krom Boga nad sobą. Słyszycie! Nie myślcie, że jak ów cesarz pójdę głowę moją położyć pod nogi papieża czy biskupa, rychlej stracę ją i koronę!

— Baczcież królu, abyście nie stracili obojga — rzekł biskup spokojnie. — Słów waszych w gorącości wyrzeczonych nie biorę do serca, ani ich ważę, ale powtarzam wam, miłościwy panie, kościołowi jesteście podlegli, a kościół więcej siły ma niż wszyscy ziemscy mocarze.

Śmiejąc się dziko król po rękojeści miecza uderzył.

— Zobaczmy kto silniejszy, gdy się z wami lub kościołem próbować przyjdzie! — zawołał.

Biskup smutnie zwiesił na piersi głowę.

— Miłościwy panie!—rzekł cicho, głosem w którym boleść nie trwożę czuć było—raz jeszcze mówić chcę do was jako brat*), który miłuje.

(Zachnął się król posłyszawszy, iż go śmiał bratem nazywać biskup).

— Jeszcze raz na duszy waszej zbawienie zaklinam was, upamiętajcie się, upokorcie, poprawcie. Wszystko co czynicie, do zguby was wiedzie. Życie wasze i dworu złe i grzeszne jest, sprosne, rozpasane. Z góry przykład na naród płynie i on się psuje zepsuciem waszem. Na sumieniu nietylko własne, mieć będziecie grzechy tych co króla naśladują.

— Milcz! klecho!—krzyknął Bolesław.

— Mileczeń nie będę i nie mogę—rzekł biskup poruszony—mówić mi każe wierność przykazaniom Bożym, kościołowi, miłość dla rodu waszego. Życie jawnogrzesznikiem z żoną cudzą, gwałtem wziętą rycerzowi Mściśławowi z Bużenina.

— A tobie co do tego?—zakrzyczał król gwałtownie, nogami bijąc o podnózek, który roztrzaskał, z kim ja żyję do tego nie nikomu! To moja sprawa! Ja grzeszę i pokutować będę. Jak wy mi to wyrzucać śmiecie! wy, wy!

— Powinienem, muszę i będę—rzekł biskup.—Nie sądzicie, miłościwy panie, abym się miał was ulęknąć. Ja także jak wy, nie lękam się nikogo prócz Boga, nie boję śmierci i nie trwożę gniewu twojego.

— Czynię co sumienie każe...

— Żonę Mściśławowi powrócić powinniście, a za zgorszenie publiczną odbyć pokutę! Tak! Świat patrzył na grzech, musi widzieć kajanie się.

Wrzał król słuchając i oburącz cisnął poręczę z gniewu...

— Klecho!—zawołał—dawałeś mi przestrogi, i ja ci dać muszę jedną. Strzeż ty się mnie i gniewu

*) Tym wyrazem w liście swym zowie biskupa Wratysław.

mojego, bo straszny jest jak piorun i jak on bije w kościoły. Spaść może głowa twoja, choć namaszczona a w Rzymie, gdy będzie potrzeba, dam okup za nią. Zamknę ci ja te usta, gdy zanadto mówić się waży.

— Miłościwy panie—odparł biskup—uczynicie możecie co zechcecie, ale ustraszyć mnie nie potraficie. Widzicie, oto stoję przed wami bezbronny, jakem już nie jeden raz stał, mówię a błagam, czynicie pokutę i wynijdziecie z grzechu. Ilekroć przypuszczony będę, tylekroć powtórzę ci to, błagać będę i karcieć. Kajaj się! kajaj się grzechów twych...

Biskup podniósł głos uroczyście, wtem król bijąc w siedzenie, zawołał przeraźliwym krzykiem.

— Milcz, klecho! Nadto rachujesz na swój Rzym i do zbytku język rozpuszczasz. Milecz...

Westchnął biskup z politowaniem. Nie widać na nim było gniewu ni poruszenia, znękany, pot tylko otarł z czoła.

— Kościół, królu, ma przeciw krnąbrnym dzieciom siłę. On cię namaścił na panowanie, on ci namaszczenie twe odjąć może. Nie zmuszaj go, aby ci drzwi swe zamknął, i od społeczności swej jak owcę parszywą odłączył. Naówczas na nic ci się nie przyda ani krew twoja, ani twoje imię, ani władza, opuszczą cię wszyscy i wypowiedzą posłuszeństwo. Siła twa skruszy się w twojej dłoni. Ulituj się sobie, ulituj królowej i jednemu dziecku twojemu. Upamiętaj się!

— Kościół zna ludzkie słabości i rozgrzesza je, gdy skrucę widzi, ale zuchwałym i krnąbrnym przebaczyć nie może.

Słuchał król burząc się zrazu, potem najgrawując i próbując się śmiać z biskupa, który równie gniewem jak i szyderstwem nie poruszony, nieulekły, mówił z powagą, głosem boleścią przejętym... Zrywał się kilkakrotnie jakby chciał przerwać i w końcu obojętnego udawał, choć złość w nim coraz większa wrzała.

Stanisław ze Szczepanowa ciągnął dalej, nie zważając na królewskie gniewy.

— Po tom przyszedł tu,—rzekł— abym dwojga żądał od was: oddania żony Mścislawowi i ojcowskiego serca dla ziemian i rycerstwa. Zaklinam was, usłuchajcie mnie, a nie zmuszajcie, abym w obrobie przykazań Boskich dobył miecza jaki mi kosiół daje...

Bolesław nie mogąc już dłużej utrzymać gniewu, czerwony od złości, trzęsący się, powstał i rękę wyciągając ku drzwiom, wołać począł.

— Idź ztąd! idź! uchodź! ręce mi drżą, nie pohamuję się, targnę! uchodź! klecho. Nikt jeszcze nie śmiał jak ty stanąć przeciwko mnie, ażeby życiem nie przypłacił, uchodź!!

Powtarzał to coraz żywszym i sroższym głosem, ręka mu dygotała.

Biskup popatrzał nań, podniósł prawicę i przeżegnawszy nią króla, jakby odżegnywał złego ducha, krokiem umyślnie zwolnionym, ustąpił nie oglądając się już za siebie.

Gdy mu znikł z oczów, król na siedzenie padłszy, długo uspokoić się nie mógł, podparty na rękę, zgrzytając zębami, rzucając się, półsłowy klnąc pogąńskimi, przesiedział tu sam jeden do zmroku. Dwór, który zdala słyszał podniesione głosy, a poznał iż król był w gniewie strasznym, nie śmiał do niego się zbliżać. Nie wchodził nikt, nikt, czekano aż uspokoiwszy się, sam zawoła albo wynijdzie.

Mrok już był, gdy nareszcie wstał Bolesław z siedzenia i szybko biegnąc, nasrożony wypadł z izby. Czekali nań w zwykłym miejscu stojący Boleszczyce.

Król podbiegł ku Borzywojowi.

— Ujęto Mścislawa?—zapytał.

— Czatuja nasi, dotąd się nie ukazał pono.

Król nie mówiąc więcej, poszedł do izby swojej i psów, które skomlać i wyscigując się go witały. Na Mścislawa czatowano, lecz Krysta, co go

wydała sama, choć miała poręczenie, że mu nie wezmą życia, ulękła się już własnej zdrady.

Krysta płochą była, zepsutą, ale słabą istotą. Wiatr nią miotał różny, skłaniała się w tę stronę, w którą powiał.

Zaledwie królowi męża wydała, ledwie król wyszedł, gdy Krysta opamiętała się i płakać zaczęła.

— A! jeśli go zamordują, ja krew jego mieć będę na duszy mojej. On mnie przeklnie konając. Bronić się będzie gdy go pochwyca, i zabija go, zabija, com ja uczyniła! com uczyniła!

Już chciała biedz do króla, rzucić mu się do nóg, prosić za nim, wybiegła do progu sieni, zawstydziła się i zawahała. Chciała Bolesława do siebie zwać, ogarnął ją strach, by nie myślał iż męża kocha i żałuje. Płakała i ręce łamała.

Niewiasta płocha jednej godziny złą i dobrą, kochającą i niewierną, skruszoną i występłą być mogła, tak zmienne w niej było wszystko. Żyła na świecie jak jakieś stworzonko biedne, co po kwiatkach lata, samo nie wiedząc co robi; tem samem żądłem miód dobywa i kasa jadłowito, a gdzie przysiadzie tam mu na chwilę dobrze, choć drugi raz nie wróci, bo nie zatęskni.

Mścislawa żał się jej zrobiło, własnej zdrady strach. Choć sama go wydała, ratować już chciała. A jakże wydać go nie miała, gdy od króla wydrzeć ją pragnął, z królowej czyniąc biedną wygnankę?

Na dworze było tak wesoło, tak huczno i codzień inaczej, za dworem w lasach, na pustyni, zdawało się jej, że umieraćby musiała, a śmierci bała się strasznie! Broniła się więc biedna.

Tak mówiła jej płochosć, a zabobonny strach szeptał z drugiej strony.

— Zabija go, on umierając cię przeklnie i rzuci swą krew na głowę twoją! krew! straszną krew zmarłego, której niczem zmyć nie można.

Wylękała Krysta biegła szukać ratunku u swej ulubienicy Ciarki.

— Słuchaj Ciarko, słuchaj dobra moja, oto masz bursztynu sznur! Co ci powiem uczyni, proszę! Dam co zechcesz sama. Uczyń a zbawisz duszę moją!

— Al uczynię wszystko co każecie—odezwiała się zdziwiona i uradowana dziewczyna, przypatrując się bursztynom świecącym. — Czegóż by dla takiego sznura, biedne dziewczę nie uczyniło?

— Nim mrok zapadnie idź w bramę — mówiła Krysta. — Uważaj dobrze. Wnijdzie tam człowiek w prostej sukmanie, z czapką na oczy nasuniętą, czarny, duży, straszny! Al to ten mój stary mąż, który się za mną rozbija i zakrada się do mnie.

Ciarka zdziwiona w ręce uderzyła.

— Mąż! o Boże miły! mąż!

— Ale ja męża tego nie chcę! a nie chcę, żal mi, żeby go nie zabito, bo tam czatują na niego... powiedz mu, szepnij że król o nim wie, a jak go ujmą, nie nie pomoże, głowę da. Niech ucieka! Powiedz mu, żem ja ciebie przysłała, żem ja tobie kazała, niech ucieka i mnie nie przeklina... Ludzie podsłuchali, wygadali, zdradzili... niech ucieka... Ciarko, ty to zrobisz dla mnie?

Ciarka, która w ręku sznur bursztynów trzymała, zawołała żywo.

— A no, jeśli go poznam, klnę się że uczynię jak każecie... powiem mu wszystko... Niech uchodzi, nawet pójdę za wrota...

Krysta ją ku drzwiom popchnęła.

— A idź, a prędzej!

Ledwie czas mając sznur swój do serca przytułić, dziewczę się chustą okryło białą i pobiegło w podwórze ku bramie.

Wieczór już był, ale ludzi mnóstwo jeszcze z zamku i do zamku przepływało. Król ze swą drużyną wieczerzać miał na grodzie we dworcu, na łące pod Wawelem dla gości stały stoły, ale do nich,

oprócz ubogiego gminu, nikt z ziemian się nie zbliżył nawet. Złożywszy dań, natychmiast precz odjeżdżali wszyscy, nie chcąc tknąć ni jadła ni napitku królewskiego.

Oskarżono ich oto przed królem, jako o dowód niechęci przeciwko niemu. Król ramieniem ruszywszy, kazał najuboższą gawieź najwykwintniejszym karmić jadłem i najlepszym przyjmować napojem.

Stała się pod namioty królewskimi prawdziwa uczta ewangeliczna, obsiadło stoły żebractwo i co najbiedniejszy lud zgłodniały.

Boleszczyce i dwór pański przypatrywał się tej biesiadzie głodnych, śmiejąc się do rozpuku z chciwości jaką okazywali, rozbijając się o mięswo, chleb i miody.

Niektórzy dopadłszy beczek, czerpali tak chciwie, iż padali tu bez zmysłów i bez życia. Pachol-kowie trupy odciągali za nogi i rzucali do Wisły...

Ciarka wysłana ku bramie spotykała jadących na to widowisko i powracających z niego. Starala się oczyma bystreimi pochwycić opisanego jej człowieka, długo napróżno. Nareszcie zdala ukazała się postać całkiem podobna do tej, o której pani mówiła.

Już biegła, aby zbliżającemu się zanieść przeostroge, gdy czterej jezdni kręcący się około wrót, opadli nagle wehodzącego i dwu z nich ręce mu położyły na ramionach. Nim Ciarka dobiedzie czas miała, pochwyceno wehodzącego i pomiędzy konie wiaższy, szybko go ku zamkowi pociągnięto.

Mściśław—on to był bowiem—nie miał się nawet bronić czasu, ani próbował wyrwać, dał się wziąć i poprowadzić milezący.

Wnet jeden pobiegł o nim dać znać królowi, i z rozkazu pańskiego poprowadzono go zaraz do ciemnych izb, w których więźniów trzymano. Stały one nieopodal za dworcem, a na teraz puste były. Król więzić nie lubił, wolał wieszać i ścinać. Izby zbudowane z ogromnych drzewa kłoców obitych jesz-

cze wewnątrz deskami grubemi, nie miały światła żadnego, jedne drzwi tylko okute przystęp do nich dawały. We drzwiach tych okienko, z zasuwą drewnianą, służyło do podawania jadła więźniom wewnątrz zamkniętym.

Borzywój, któremu zlecono zamknąć kazać Mściśława, sam go tu odprowadził. Miał widać jakieś królewskie zlecenie, bo zamiast odejść odstawwszy go do ciemnicy, zatrzymał się, pacholkowi nakazując zdala przyświecać pochodnią.

Wnętrze izby nad wszelki wyraz było okropne. Śmiecie, brudy i słoma zgniła zalegały ją całą, jednym stała obrzydłym barłogiem, a powietrzem jej wilgotnem i skażonem zaledwie oddychać było można. Mściśław, którego pacholkiwie za barki ująwszy, wtrącili do wnętrza, dał się cisnąć na przegniłą słomę słowa nie rzekłszy, obejrzał się ledwie, i padłszy leżał jak martwy, nie patrząc nawet na stojącego u drzwi Borzywoja.

Ten nie odchodził i mierzył go oczyma.

— Mściśławie, słuchaj—rzekł—żał mi cię.

— A mnie ciebie żał—odparł pan z Bużenina—ja jestem więzień, tyś niewolnik.

Boleszczyc, jakby nie słyszał tego, ciągnął dalej.

— Żał mi cię, Mściśławie, aleś ty sobie winien sam.

Śmiechem ostrym i dzikim odpowiedział na to Mściśław.

— Tom ja winien! prawda!—syknął.

— Albo to jednemu żona się sprzeniewierzyła! czy dla tego się ma obwiesić!—ciągnął Borzywój dalej.—Czy ty masz dla niej ginąć, kiedy ona ciebie nie chce? Sama przecież o tobie znać królowi dała.

Mściśław się odwrócił gniewny.

— Kłamiesz!—zawołał — kłamiesz... Ona! to nie może być!

Borzywój się teraz śmiać począł.

— Ja ją codzień widuję—mówił—my z nią do-

brzy druhowie, ona króla kocha, a ciebie się boi, wzdryga się na samo wspomnienie twoje. Co ty się będziesz dla niej marnował! Czy to ona jedna na świecie!

Mściśław leżąc burczał coś tylko niewyraźnie.

— Słyszysz ty! drabie jakiś!—rzekł—czy ona mnie kocha czy nienawidzi, wszystko mi jedno. Co mi tam, a no ja ją chce mieć, bom ją wziął, bo moja, a ja ją miłuję to dość.

— Król choć srogi, zlitowałby się nad tobą—mówił Borzywój—jestem pewny, puściłbym cię wolno, jabym ci przebaczenie wyrobił.

— Przebaczenie?—przerwał Mściśław—mnie, on? Pytaj ty czy ja jemu przebaczę?

— Szalejesz, Mściśławie—ciągnął spokojnie Borzywój.—On pan, on król, ty ziemianin prosty! Ja ci rzeknę jedno, daj ino klątwę, że się nie pokażesz więcej, a Krysty się wyrzekasz, pójdę do króla, da ci wolność i jeszcze co w dodatku. Co ci po babie!

— Ja? jej się wyrzekać? ja? a nigdy w świecie—krzyknął więzień.—Puście mnie, będę szukał sposobu, aby wam ją odebrać. Na to wam słowo daję. Przyjdę sam, zbiorę ludzi, ściągnę kupy, podburzę wrogów jego, pójdę do Czech, do Niemiec, podpale zamek... nie dam spokoju... Zamknijcież mnie, niechaj wszyscy wiedzą, co u króla ziemianin wart, któremu i żonę wziąć i majątność i głowę wolno... Nie macie mnie co puszczać!

Borzywój nie wiedział już co mówić, uczynił krok, jakby odchodzić miał.

— Ei! żał bo mi cię!—powtórzył.

— A mnie żał ciebie i twej braci—odparł jak wprzód Mściśław.—Służycie panu, który źle czyni, którego Bóg skarże, a was razem z nim. Co mi tam, że ja zginę w ciemnicy? zginę albo nie, to Bóg wie, ale że wy z nim zczeźnicie? marnie, prędzej, później, to wiem pewno...

I.

Było to na wiosnę 1079 roku.

Drzewa się już rozwijać poczynają, gdzieniegdzie dąb głuchy, stał tylko jeszcze z pączkami nabrzękłemi, niedowierzając wczesnemu w tym roku ciepłu, słońcu i pogodzie. Do koła szumiała i woniała Niepołomicka puszcza, wśród niej na zielonej łące, u strumienia, przy którym złościły się gęsto rozkwitłe lotocie, w cieniu drzew kilku, które występowały z lasu, siedzieli i leżeli na ziemi odpoczywający podróżni czy myśliwcy.—Czeladź ich przy małym ogniu grzała sobie strawę i przypiekała mięsiwo; panowie na pagórku zasiadłszy, gwarzyli między sobą po cichu. Było ich pięciu ludzi, średniego wieku, raczej młodych niż starych, a po odzieży i twarzy łącznie rozpoznać mógł każdy, że do możnych należeli rodów. Patrzyło im z oczów, że rozkazywać byli nawykli, a choć do lasu przystajac się nie potrzebowali, wszystko co na sobie mieli dowodziło dostatku i zamilowania w pewnej wytworności.

Pod samym dębem starym, który stał w pośrodku, z rękami w tył zarzuconemi siedział z odkrytą głową lat średnich mężczyzna przystojnej twarzy, butnego wyrazu, z jasną, bujną brodą, która mu się szeroko na piersi rozkładała.—Rumiany, zdrow, z oczyma niebieskimi, nosem orlim, na ustach miał uśmiešek, pogardliwy zarazem, wesoły i dumny. Odzia-

— Będziecie tułaczami, żebrakami, bez czei i wiary... aż się Bóg ulituje nędzy waszej...

Odwrocił się Mściław ku ścianie i zamykając rozmowę, połą okrył głowę.

Borzywój postawił nad nim chwilę, widząc że już nie nie zyszcze, odszedł. Pochodnię wyniesiono, zasunięto i założono drzwi drągiem, zaducha smrodliwa i ciemność objęły więźnia.

Gdy się to działo, dziewczyna zadyszana powracała do pani, wołając od progu.

— Pojmali go! pojmali! nieszczęsna dola moja!

I z płaczem dobiła sznur bursztynów, trzymając go w rękach, patrząc nań smutnie, strapiona, że jej pani odbierze niezasłużoną nagrodę.

Kryście bursztyny nie były w głowie, ręce krzycząc załamała.

— Al! ja nieszczęsna! al! ja przeklęta! co ja pocznę! gdzie się skryję! krew jego padnie na mnie.

Rzuciła się na ławę, głowę w rękach tuląc i płacząc.

Wśród tego jęku i płaczu drzwi się otwarły, wszedł król.

Dziewczę z bursztynami w ręku, zobaczywszy go uciekło skryć się do komory, a Krysta posłyszawszy kroki, zwróciła głowę i blada podbiegła ku niemu.

— Al! panie mój, królu mój — zawołała obejmując mu nogi — życia mu nie każcie brać! bom ja go wydała i krew jego spadnie na mnie, krew! krew!

Chmurno król popatrzał na nią.

— Ej! ty! — rzekł — nie ścięto go, ani zadławiono! oczów mu nawet nie kazałem wylupić i mnie go żal! Człek szalony co się ze mną, z panem swym chce porywać do walki! On, zemną! Robak ten mizerny jakiś, którego zdusić mogę nogą. Tak jak ten klecha co się za jego sprawę bierze! Ej! Krysta, czarne oczy twoje drogo króla kosztują.

Ona stojąc płakała, chustką ocierała oczy i westchnienia z piersi się jej wyrwały.

— Królecze mój, paneczku mój, Krysta cię będzie kochała, tylko życia mu nie bierz. Klątwe rzuci na moją głowę, krwi się boję!

— Wyprosisz mu życie, niech tylko w ciemnicy posiedzi, rozumu się nauczy. Biskupabym z nim wsadził razem, a no! poczekawszy, wpadnie mi i on w ręce.

Z oczyma w ziemie utopionemi, spokojniejsza nieco, słuchała nie rozumiejąc Krysta, lzy ciągle z oczów jej płynęły, król zbliżył się do niej i pogładził po twarzy, Kazał jej się, kazał śpiewać sobie, ale Krysta lzy miała w głosie, a i on rozchmurzyć się nie mógł. Ciężyla na nim z biskupem rozmowa, chciał ją zapomnieć a nie mógł. Ostre wyrazy duchownego w uchu mu brzmiały jeszcze. Siadł przy Kryście, pieścąc ją i uspokajając, sądząc, że widok pięknego lica ponure myśli rozpędzi, a wśród pieśczętliwej rozmowy, wracały mu ciągle na pamięć surowe wyrazy i groźby straszne. Tak samo Kryście pieśni półgłosem nucone przerywał mąż, i przekleństwo, którego się lękała. Oboje roztargnieni, myślami byli gdzieindziej. Wszystkoby może zniósł Bolesław rychlej od biskupa nad to jedno, że on śmiał się z nim stawić na równi, wyżej nawet nad niego i klecha jeden rozkazywać swojemu panu.

Przesiedziawszy chwilę z Krystą, wstał król i zostawił ją samą. W królewskich izbach wieczorzały drużyny, szedł do nich gwar ten, chcąc wśród drużyny swej, otoczony siłą na rozkazy i skinienia gotową, zapomnieć biskupa.

Miejsce jego stało opróżnione... Drużyna pańska, wszyscy ci Boleszczyce, dwór i goście, których teraz rzadko gród oglądał, jak za Chrobrego mieli na zamku zastawione dla siebie stoły. Po kijowskiej wyprawie i rozbiegnięciu się rycerstwa, często też

król na srom zbiegom tym, których karał, najprostszy gmin do swych stołów przypuszczał.

Szedł do nich kto chciał, bo hojność króla miary nie miała.

Dnia tego liczniejszych spodziewano się gości, ale jak do stołów pod namiotami, tak i tu nikt się prawie nie zjawił.

Znajomi i krewni, na dworze króla będący, ciągnęli ich napróżno.

Leliwa, którego bratankowie niemal gwałtem wziąć na zamek chcieli, wiedząc jak królowi te pustki przykre będą i do gniewu go pobudzą, odparł im wyrwawszy się i na koń siadając.

— Niech sobie miłościwy pan z tymi je, których kocha. Pokochał czerń, niech się nią cieszy, my mu tam niepotrzebni. A no zeszłoby się może tak, że u stołu bym siedział z tym, którego bym rad na gałęzi posadził.

Wielu wprost od daniny pociągnęli do biskupa aby okazać, że z nim trzymają.

Gdy król do izby wszedł, w której już dworskich jego wielu zgromadzonych było, rzucił tylko okiem po ludziach i twarzach, a nie zobaczywszy nikogo innego, zrozumiał co to znaczyć miało. Brwi mu się ściągnęły w jeden pas czarny nad oczyma, poszedł na swe siedzenie i nie ozwał się do niego.

Dopiero gdy Borzywój, który mu często i za czesznika służył, na skinienie kubek nalawszy, przyniósł, król zmierzwszy go oczyma spróbował żartować.

— Gości macie dużo! — rzekł.

Borzywój ruszył ramiony; król się uśmiechał.

— Tak lepiej, znajdę ja kogo chlebem karmić moim, a nie wiem czy oni długo chleb mieć będą, i gęby do niego! Weselcie wy się za wszystkich... Do domów pojechali? — spytał król.

— Wielu pono u biskupa gościło na Skalce — rzekł z boku stojący Zbilut. — Kupa ludzi koło dworu była...

Król zaciął usta, kubek duszkiem wypił i drugi nalać kazał.

— A no! — zawołał — weselcie się, bądźcież do brej myśli, tam też u biskupa musi być wesoło. Pewnie i niewiasty mu zaprowadzili, aby go piosenkami rozrywały. Klechy to lubią, choć drugim zakazują.

Śmiać się niektórzy zaczęli, inni widocznie zakłopotali, król jakby chciał o tem zapomnieć, krzyknął zaraz aby mu pieśni śpiewano, aby zdala słyszać było, że na zamku i bez gości wesoło. Usłudni zawsze młodzi, natychmiast jedną z najswawolniejszych piosenek rozpoczęli, a gdy jeden podniósł głos, wnet mu zewsząd zaczęto pomagać i wrzawa się stała ogromna. Przy każdej zwrotce wesołej, śmiech i klaskanie się rozlegały. a król? siedział sparty na rękę i gniewny.

Na Skalce około domu Biskupa, który czasowo mu służył za schronienie, gdyż na zamku pod strażą królewską siedzieć nie chciał, koni i czeladzi cała gromada stała tego wieczora.

Ciasnych izb kilka zapełniło rycerstwo i ziemianie, od króla odepchnięci, szukając tu rady i wódza ku obronie. Biskup po powrocie z zamku przyjmował przybywających, łagodząc ich i nie dopuszczając by zbyt szeroko skargi rozwodzili. W gromadzie jeden drugiemu dodaje żalu, rośnie ból, gniewy się rozpalają i nie łatwo je potem uśmierzyć. Biskup zamykał im usta, polecając przyszłość Boskiej Opatrzności, nadzieję każąc mieć w łasce Bożej. Gdy który z nich wybuchał krwawym żalem, kładł mu ręce na ramieniu i kołł go chrześcijańskimi rady.

Izby, w których się gromadzili ziemianie, ciasne były, niskie, i jak klasztorne ubogo a skromnie wyglądały. Zaledwie stoły, ławy, krucyfix na ścianie wielki i miedziane naczynia u drzwi do święconej wody ubierały je nieco. Zamiast kobierców służyły maty, złota i srebra nikt tu nie zobaczył. Majętność swą biskup obracał na kościoły, na księgi, na ubo-

gich i sieroty, który do szkółek gromadzić kazał. Dla siebie nie potrzebował więcej nad to co mnichowi prostemu starczy.

Kilku duchownych stanowiło dwór biskupa, czeladzi było mało. Ziemianie cisnęli się dnia tego gromadnie, z kolei przychodzili do pocałowania ręki, wzdychając patrzali w oczy, ażali nie posłyszają słowa jakiego nadziei i pociechy. Błogosławił ich biskup, pytał i odprowadzał wyrazy niewiłą.

Ponieważ izby ciasne były i wszystkich przychodzących zmieścić nie mogły w sobie, ci co uzyskali przystęp i błogosławieństwo odchodzili natychmiast. Miejsce czyniąc nowym przybyšom, Trwało to zbiegowisko do nocy niemal, gdyż każdy chciał posłyszeć coś z ust biskupa. Kilku tylko starszych zatrzymał w końcu biskup u siebie i do dalszych izb wprowadził.

Gdy nareszcie tłum ten niemal cały rozszedł się, albo nocą jeszcze rozjeżdżając się do domów lub gospód szukając po przedmieściach, a niektórzy w niedostatku miejsca i obozem się a namiotami na polach porozkładali, na Skałce nie pozostało nad trzech starszych władyków, Leliwa, Mestko Kruk i Brzechwa.

Druga izba, do której ich biskup wprowadził, mniejsza jeszcze od pierwszej, była domową kapliczką. Tu stał mały, skromny ołtarzyk przy ścianie, przy którym niekiedy odprowadzał ofiarę, częściej modlił się godziny odprowadzając, księgą na nim leżała otwarta przed krucyfiksem, między lichtarzami dwoma. Małe okienko na pół ciemną ją nawet we dnie czyniło, lecz na kominie skałki gorzały dla światła.

Oprócz trzech ziemian i biskupa, podeszły mężczyzna w sukni duchownej także się tu znajdował, w przyciemnionym kątku siedząc milczący.

Podano naprzód skromną strawę wieczorną na glinianych misach, do której zasiedli biskup tylko z milczącym swym towarzyszem... Leliwa, Kruk i Brzechwa już wieczerzać nie potrzebowali.

Wszystkim im ciężko długo trwające milczenie posępne, którego nikt przerywać nie chciał. Trzej ziemianie zdawali się oczekiwać na to co im powie ks. Stanisław ze Szczepanowa; w ostatku Leliwa, który najbliżej stał, mąż letni i poważny, odezwał się:

— Miłościwy ojcze, pocieszcie nas, bo na słowo wasze rodzicielskie czekamy w utrapieniu naszym, Co czynić? czego się spodziewać? jak i czem ratować się mamy? Patrzcie co się z nami dzieje. Giniemy znowu. Jeszcze pamięć pierwszych nieszczęść nie zatarta się, a oto burza nowa nadchodzi... Panu naszemu ani męstwa, ani sławy, ani szczęścia zaprzeczyć nie można. Wydzwignął ziemię z upadku, moc zdobył wielką i potęgę, lecz potęgą tą nas biednych gniecie i oto mało co brak, abyśmy z rodami naszymi poszli na łup czerni. Policzyć rycerstwo, które nałożyło głowę, trudno, a co się stało z Mściławem z Bużenina wie świat cały. Żonę mu zabrano, dziś jego samego na zamku ujęto i jako złodzieja do ciemnicy rzucono, za to że się ważył na podwórze.

— Panie—mówił Brzechwa—a syna mego, który z królem do Kijowa chodził, władarz opanował wszystko, żonę mu zabrał, dostatek sobie przywłaszczył. Syn przybiegł na głos ten, stracono go za to, że się upominał o swoje, władarzowi żona i majątność dotąd została. W co się my obrócimy? Czerni nas wyrzeże gdy zechce. Król i słowa nie rzecze.

Aż i Kruk począł:

— Jeśli do króla skargi niema, do kogóż iść, jeśli nie do was ojcze... Radźcie, pomóżcie, ratujcie bo oto pogany wszystko ogarnął!

— Dzieci moje!—odezwał się biskup—wiecie iż siebie nie żałuję. Chodziłem, błagałem, napominałem go daremnie, al poprawy po nim przestałem się spodziewać. Pijany jest siłą swą, zatwardziały w grzechach, a hałastrą się otoczył co mu pochlebia i pomaga. Namaszczony jest, porwać się nań nie godzi, a i sam się zgubi i pożre nas złością swoją.

— O nieszczęśliwe te ziemie nasze!—rzekł Leliwa. — Małośmy to przecierpieli po ucieczce Kazimierza, a co dziś czeka? Wszystko się rozpręga, niewolnik i parobek czując powolność w górze, urągają się nam niemal!

Wywodzili tak żale swe, coraz nowe przykłady stawiając. Biskup słuchał smutnie.

Niekiedy wśród mowy tej, oczyma siedzącemu przy stole duchownemu dawał znaki, jakby chciał uwagę jego zwrócić na znaczenie skarg ziemiańskich. Kilka razy Leliwie i Krukowi sam biskup poddał zapytaniemi żręczność rozszerzenia się nad klęskami kraju i nędzą jaka mu groziła.

Stary mówił:

— Albośmy to tego pana kiedy u siebie widzieli, mieli czas poznać go, zbliżyć się, a on nas wysłuchać? Nie miał dwudziestu lat, gdy objął rządy, a nie było potem i jednego roku, żeby u siebie doma pogospodarzył, po Węgrzech i Rusi bijąc się i wojując. Z rycerstwa co go otaczało drudzy po lat siedem żon, dzieci, ani strzechy swej nie widzieli.

— Gdy nastąpiła swawola — mówił Kruk — nie kto tylko czeladź była winna... Słabe niewiasty ani mogły, ani śmiały się bronić. Król je wini, sukami je nazywa, że się mężom sprzeniewierzyły. Nie prawda jest, myśmy starzy na to patrzali. Nieszczęśliwe żony i córki jako mogły się opędywały parobkom i czeladzi, uciekały po lasach, niejedna głodem zmarła i wołała śmierć niż sromotę. Wy ojciecie, boście tam niegdy proboszczem bywali, co uczyniła Małgorzata w Żębocinie z siostrami swemi, na wieży kościelnej mrąc głodem zamknięta, niż by się czerni poddać miała i zbezczeszczyć. A było więcej jej podobnych. Nie wszystkie wczas ratować się mogły, niewiasty słabe, przemoc straszna, gwałt okrutny. Cóż winny one!

— A jak on ma czerń karać za gwałt na cudzych żonach—ozwał się Brzechwa—kiedy sam tak

czyni nie wstydząc się Krysty trzymać na zamku podle królowej.

Milezeli trochę, biskup też nie chcąc im bólu dodawać, krótkimi słowy pocieszał, a gdy trzej ziemianie żale swe i skargi opowiedzieli, pobłogosławił ich i pożegnał.

— Dzieci moje — rzekł — Bóg się ulituje nad nami...

Pozostali sam na sam z duchownym, który czasu rozmowy niemym, ale uważnym był jej świadkiem.

Gdy się drzwi za ziemianinami zamknęły, a kroki odchodzących w dali już tylko słychać było, biskup zbliżył się do milczącego prałata. Siadł przy nim i ująwszy go za rękę, począł powolnie.

— Chciałem ojeze mój, abyście sami oczyma własnymi widzieli, na własne uszy słyszeli, nie z moich ust, ale od obcych ludzi—jak się tu u nas dzieje, abyście to odnieśli królowi Wratysławowi i królowej Światawie. O poprawie, o upamiętaniu króla, o zgodzie, już pomyśleć nie można—radzić potrzeba ziemi tej, aby się nie pokalała i nie ginęła.

Niech opiekę nad nami weźmie lepiej król po-bratym i pokrewny, niż obcy.

— A cóż z królem uczynicie?—zapytał duchowny po cichu, mową, w którym się czeszczyzna przebijająca.—Wojnę tu wytaczać?—on w niej najsilniejszy, nie łatwo go pożyć przyjdzie.

— Sam on się zabije nieprawością swoją—odparł biskup wzdykając. — Nie potrzeba ziemskiej siły, aby go obalić, piorun Boży spadnie na jawno-grzesznika.

Kościół ścierpieć nie może tego, co się dzieje. Czekalem, byłem i jestem cierpliwy, ale miara się przebiera... Jeszcze chwila a z czary nieprawości wyleje się ciecz za brzegi.

Dziś on, mnie, namaszczonego pasterzowi tej owczarni, której on jest najpierwszą owieczką, on mnie, napominającemu go władzą, od Boga mi daną,

precz iść kazał, jak podwładnemu pacholce i precz mnie za drzwi słowem wyrzucił.

Duchowny wzdygnął się słuchając i ręce zalał.

— Nie o mnie idzie — mówił biskup. — Jako człowiek zniósłbym z pokorą zniewagę, ale we mnie (uderzył się w piersi) we mnie kościół sponiewieran jest i znieważony. On chce nadeń wyższym być, a nas w sługi swe i niewolniki obrócić.

Kościelnym orężem bronić się muszę.

— Cóż czynić myślicie? — zapytał duchowny z trwogą i ciekawością.

Biskup wstał i przeszedł się po izbie razy parę, stanął naprzeciw ołtarza i popatrzał nań, potem oczyma się zwrócił ku oczekującemu odpowiedzi i odparł głosem silnym, stanowczym zmienionym, powagi pełnym:

— Wyklę go! *Anathema sit!*

Po słowach tych panowało długie milczenie. Duchowny oczy spuściwszy, zdawał się wahać, czy miał pozwolić na to co słyszał i potwierdzić, lub starać się złagodzić słuszny gniew pasterza.

Ks. Stanisław ze Szczepanowa stał i czekał odpowiedzi, badając go oczyma.

— Ojcie mój — odezwał się głosem cichym duchowny — nie należy do mnie, obcego tu, a nieświadomego okoliczności, ani się wstawiać, ni sądzić, ni łagodzić; zważcie jednak, błagam, na jakie sami narazicie się niebezpieczeństwo. Jeżeli człowiek ten kościołem pomiata, cóż uczynić gotów z kapłanem? Szalonym jest, pijanym siłą swą, jakoście rzekli, lecz szłał taki przechodzi i pijaństwo ono się rozprasza.

Biskup stał zamyślony, spokojny, słuchając ciekawie, a gdy dokończył, rzekł:

— Nie tylko moc kościoła całego chrześcijańskiego za mną jest, ale co najprzedniejszego w kraju, ziemianie i rycerstwo ze mną a przeciwko niemu.

Garść ledwie służalców mieć będzie z sobą, a i ci go odstąpią, gdy nań padnie piorun z góry.

Pomnijcie czem jest kościelna kłatwa! Śmierć to jest i gorzej niżeli ona. Wykłętego człowieka nie zna rodzina, nie zna go żona i dzieci, wszystkie węzły, co go łączyły ze światem żyjących w Chrystusie pękają. Konającemu kropli wody, umierającemu strzechy i progu musi odmówić każdy, odwracając się odeń wszyscy jak od zapowietrzonego i trędowatego... Nikt mu niewinien posłuszeństwa, nikt nad nim litować się nie może. Wykły człowiekiem być przestaje, a staje się zwierzęciem dzikim.

Duchowny słuchał w milczeniu posępnem.

— Lecz niżeli to straszne rzeczenie słowo, czyli nie pozostaje nic? nie godzi się spróbować jeszcze?

— Nie nie skutkuje! Urągówiskiem odpowiada i groźbą. To ostatni, jedyny oręż, wszystkie inne o żelazną tą duszę się skruszyły, odrzucił, wyszydził, odepechnął wszystko. Nie zna kościoła, kościół go znać nie może.

To mówiąc, biskup razy kilka przeszedł się po izdebce, głowę na piersi zwiesiwszy, westchnienie mu się ciężkie wyrwało.

— Ojcie mój! — rzekł stając przed nim — nie obwiniajcie mnie w duszy waszej o brak miłosierdzia, lepiej jest, ażeby jeden zły zginął, niżby przezeń kraj ten i ziemie przepadać miały, w pogański obyczaj się zanurzyły, do dziezy wróciły przez rozkiełnaną rozpustę. Tak chce Bóg, tak chce nad narodem litość. Słyszałeś ich skargi, jam patrzył na czyny. Tarza się w rozpuście i okrucieństwach, aby okazał, iż nikomu nie jest winien posłuszeństwa, ani Bogu ni kościołowi.

Wiedzie co uczynił dziś, aby zohydził suknie kapłańską i stan nasz?

Duchowny dał głową znak przeczący.

— Składano mu daniny — mówił biskup. — Wzwał skarbną kleryka do pomocy, aby mu czytał zie-

mie i powiaty. Król z oczów biedaka widząc iż się mnogim skarbowi przypatrywał chciwie, dozwolił mu ich wziąć ile uniesie. Padł kleryk pod ciężarem złota złamany, na pośmiewisko czerni ze stanu duchownego. Ciało jego bez pogrzebu ohydnie do Wisły rzucić kazano. Dlaczego to uczynił? oto, aby ludziom na oczy okazał, iż niepomierne chciwi i łakomi jesteśmy, wydziercy i łupieżcy, gdy on o skarby nie dba, wspaniałym jest i dobroczynnym. W kleryku tym nas spoliczkował bezbożnik, a sąd i wyrok dał niesłuszny, gdyż ubogi człek nie dla siebie a dla rodziny złota łaknął.

— *Anathema sit!* — powtórzył biskup unosząc się oburzeniem — *anathema sit!* Niech on będzie wyklęty, jeżeli niema być wyklętą, pustynią bezpłonną cała ta ziemia za grzechy jego.

Trwało milczenie chwilę, biskup uspokoiwszy się, przystąpił do duchownego, który słowa już rzecz nie śmiał.

— Jedźcie, ojcze mój — rzekł — wracajcie do Pragi, opowiedzcie tam, coście tu widzieli, słyszeli, ani tajcie co mam czynić i co postanowiłem. Uczynię to, jakem rzekł, nie lękajcie się go. Rzym i kościół cały i duchowieństwo całego świata mam za sobą, silnym się czuję, mocen jestem! Uczynię to, bom powinien, uczynię, bo kto przebacza winnemu, występki uznaje cnotą, a sam staje się winnym zgorzenia. Uczynię bo mi to nakazuje sumienie kapłana, obowiązek pasterza.

— Rzucę nań klątwę! *Anathema sit!* Zamknę przed nim kościoły, ogłoszę go wywołanecem. Natenczas bezpańskie ziemie nasze niechaj zajmie Wratisław i panuje nam, aby nie stały otworem dla wrogów, łupieżą dla czerni; niech panuje pomnąc, że na berle krzyż nosi, a tylko w imię kościoła razem z nim panować może!

Umilkł. Duchowny słuchał z pewnem ukorzeniem i trwogą, nie śmiejąc mu przerywać.

— Jedźcie do Pragi — powtórzył biskup. — Nieście odemnie te słowa: korona nasza bez głowy, berło świętego Maurycego bez ręki, tron Piastów bez króla, kraj bez ojca zostaje, czeka na Wratisława, aby go objął.

Ziemianie przyjmą go, rycerstwo rade będzie... Dwa potężne królestwa się zjednoczą!

— A cóż się z wywołanecem stanie? — spytał duchowny.

Ks. Stanisław ruszył ramionami pogardliwie.

— Bóg postanowi. Piorun może go razić w polu, wilcy rozszarpać w lesie, głód zamorzyć w ucieczce, srom udusić, zgryzota pożreć, azali wiemy co przeznaczono i jaką karą chłostać go zechce ten co nie przebacza?

— Jedź, ojcze mój—dodał—mów, skłaniaj aby byli w pogotowiu, tu im bramy otworzą jak zbawcom.

— Król ma braci, ma syna—ośmielił się cicho szepnąć duchowny.

Biskup pomyślał nieco.

— Ród to jest—rzekł—który już raz ziemianie precz wygnali, którego nie chcą. Gdyby oni znówu na tron weszli, co z sobą przyniosą? Szaleństwo Mieszka, okrucieństwo Bolesława? Zemstę i żal — nie, dosyć ich mieliśmy, innej nam krwi na tronie potrzeba. Syn, brat, mieliby nieprzyjaciół w ziemianach samych, lękaliby się ich wszyscy. Zresztą w potomstwie Wratisława płynie krew siostry jego Światawy.

Gwałtownym ruchem ręki biskup zdał się precz usuwać co mu na drodze stało, i zakończył nim rozmowę, którą był znużony.

— Jedź, ojcze mój—dodał głosem osłabłym — niech cię Bóg prowadzi. Mów coś widział i słyszałeś.

To mówiąc uściskał go, pobłogosławił, a gdy się za nim drzwi zamknęły, padł na kolana przy ołtarzyku, sparł ręce na nim, głowę skrył w dłoniach,

modlił się i w psalmie Dawidowym dla uciśnionej duszy szukał pocieszenia.

— „Smutną jest dusza moja...”

V.

Stary gródek w Jakuszowicach, który z dawnych wieków do Jastrzębców należał, za Bolesława jeszcze pozostał jakim go wieki te ulepiły. Położony nad stromym rzeki brzegiem, ujścia do niej małego strumienia, który się po błotach rozlewał szeroko, stał na dosyć wysokim kopcu, tak wałami osłonięty, iż go za niemi widać prawie nie było. Na wałach prastarych czas miały porosnąć od strony gródki drzewa i krzewy, gęstą je zielonością okrywające. Jedna ścieżyna tylko stroma prowadziła pod górę ku wałom i bramie, a wrota osłonięte były przekopami tak, że ich zrazu nikt nie mógł dojrzeć, bo zawróciwszy się dopiero między niemi, dochodziło się do ostrokołów i wrót zezerniałych...

Nie śmiał nikt od dawna na gródek się rzucić ani pokusić o jego zdobycie, tak za warowny uchodził. Przetrwiał on największe w kraju burze, nie potrzebując się ani przerabiać ni zmieniać. Za Ziemomysła pono starym już go zwano, a mieszkali tu zawsze ludzie z rodu Jastrzębców, jako w gnieździe swoim.

Z tego gniazda jednego potoczyło się Jastrzębich gniazd mnóstwo po wszystkich ziemiach, gdyż plemię było rozrodzone bardzo i płodne, tak że nie raz ztąd po dwunastu braci, synów jednego ojca, w świat wędrowało.

A zwali się Jastrzębami, Kaniowami, Kudbrzynami, Kobuzami, różnie jak gdzie ptak się ów nazywał co im dał miano, i od posiadłości też pobrali nazwy mnogie, choć zawołanie ich najpospolitsze było. Kaniowa, gdy na wojnę wici szły i ludzie się ścigali. Żył tu jeszcze teraz dziad tych Boleszczyców Jastrzębców, którycheśmy na dworze królewskim widzieli, sta lat pono dochodząc. Pamiętał on pierwszych królów, przeżył wszystko co te ziemie widziały i, dziad oslepy, z ręki sobie jeszcze władzy wydrzeć nie dawał. Synowie jego, wnuki, prawnuki, z gródka tego się rozbiegali po świecie, szukając szczęścia z orężem w rękę, rozsiadając się nad brzegami Wisły, Warty, Odry, Bugu; odumierały go żony, których miał kilka, córki powyprowały, krom jednej owdowiałej a bezdzietnej, co mu nazad pod dach wróciła; i tak dożywała wieku swojego, nie dając się życiu złamać, choć mu ono oczy odjęło i sił nadzarpało.

Slepego starca po za Jakuszowicami nikt nie widywał, bo za wały swe nigdy ani wyjeżdżał ani wychodził, ale kto go raz tu zobaczył, ten pamiętał zawsze. Mąż był silny i rozrosły, ach nie tak wielki i barczysty, jak tamtego wieku inni ludzie bywali, chudy, grubokościsty, z głową dużą i twarzą długą, na suchej osadzonej szyi, z rękami wielkimi i silnemi, choć nogi miał małe i garbate.

Twarz mu już była oddawna trupio pobladła, może od gniewów częstych, gdyż jak wszyscy Jastrzębce, gniewał się łatwo i rozdrażniony do szalu się dał dowieść.

Twarz tę żółkłą posiekały mu marszczki i fałdy, jakby jedną siatką powłóklszy. Duże oczy siwe, zgasłe, zbielałe, trzymał otwarte jakby patrzył niemi, a były tak groźne i straszne że ich wzroku choć je wieczna noc oblokła, nikt wytrzymać nie mógł. Siwo-żółty włos obfity spadał mu na ramiona, a broda do pasa sięgała. Więc ją na dwa pasma rozgarniał, tak

że jedno na lewo, drugie na prawo, zarzucał na ramię, gdy mu zawadzały.

Gdy szedł, choć nie widział nic, głowę i straszne oczy podnosił do góry, usta mu już się rozwierały mimowoli, marszczył się ciągle i postawę miał jakby z trumny wywołanego upiora.

Nosił się z prosta, latem i zimą w sukni z grubej tkaniny, z szyją obnażoną, a koszuli nie znał nigdy, wedle prastarego obyczaju. Głos miał jeszcze potężny, choć piersi już zakłesłe, a słuch taki że muchy brzęczenie chwycił zdaleka. Wzrok mu się tem opłacał, bo utraciwszy go, uszy sobie zaprawił, aby mu zań starczyły. Z pod owej sukmany starej, gdy się rozpięła, widać było ciało porośnięte jak u niedźwiedzia, włosy grubemi, gęstemi, które i ręce i twarz nawet niemal całą okrywały.

Lękali się starca wszyscy w domu, bo gniewny był, w gniewie zapamiętały, choć pod inny czas i dobrym być umiał bez miary. Gniewu zaś potrzebował jak chleba, a gdy doń powodu nie miał to i jeść nie mógł. Gdy się rozżarł, nałajał, nasrożył, wykrzyczał, dopiero mu życie wracało.

Wzrok utraciwszy, miał zawsze pod ręką, gdyby oczy drugie, chłopca lat dziesięciu, który go wodził, patrzył zań, a mówił co mu kazano. Stary, rękę wyciągnawszy, za długi, spuszcisty kołnierz go trzymał, w drugim rękę kij mając. Tak zamek obchodził, gdzie mu oczów chłopca nie starczyło, sam ręką macając. A palce jego dotykając rozpoznawały nawet twarze, tak że człeka milczącego, dłonią mu powiódłszy po obliczu, nazywał. Pamięć miał zaś taką, że kogo raz widział, czyj głos posłyszał, zawsze go sobie przypomniał.

Cztery żony pochował stary Jastrząb, (a miał imię wspólne innym wielu z tego rodu, Odolaj). Czwartą bezdzietną stracił lat już mając siedemdziesiąt, i byłby się pewno z piątą ożenił jeszcze, gdyby go wkrótce nie razila ślepotą.

— Ślepego się żenić — rzekł — szal jest, gdy i z czworgiem oczów baby upilnować trudno.

Naówczas to, córkę już niemłodą, owdowiałą Tytę wezwał do siebie, ażeby mu gospodarstwo trzymała. A choć ta lat przeszło pięćdziesiąt miała, jak dzieckiem nią pomiatał.

Mówiono o nim, że skarby wielkie trzymał po komorach, do których i teraz nikt oprócz niego nie chodził, ale skąpy był i dzieciom mało lub nie nie dawał. Najczęściej wyprawę na drogę i oręż, aby sobie same na życie i byt pracowali. Szerokie ziemie do Jakuszowic należące dużo mu dawały, on zaś sam żył jako parobcy jego, nie wiele potrzebując dla siebie, i gości też rzadkich przyjmował tak jak sam był nawykł pić i jadać. Mimo ślepoty, w ręku u niego było wszystko, ludzie i klucze a woda, bezeń tu nikt kroku nie śmiał uczynić.

Za trzech żon, potomstwo Odolaja już może jakie sto głów liczyło z prawnukami i dziećmi prawnuków. Wszystko to było rozpieczętowane po świecie. Gdy na wielką jaką uroczystość zjechało z czołobitnością do starca całe to rodzeństwo, pomimo dobrej pamięci musiał mu się każdy wywodzić czyim był synem albo wnukiem, bo jej gromady już i stary policzyć nie mógł. A że imion w rodzie dużo podobnych się znajdowało, nie łatwo było dojść którego Odolaja syn do pradziada Odolaja przybywał.

Na gródku u niego, choć czasu największego w kraju spokoju, taka była czujność, ład, straż jak gdyby wojna stała u progu. Załoga z wiosiek się mieniała, chodziły stróże, wrota na dany znak z rogu zamykano, a rano otwierały się dopiero, gdy pastusi bydło na pole wypędzać mieli. U wrót zawsze ludzie stali i czuwali z oszczepami.

A ze stary już spać dobrze nie mógł, dniem i nocą po zamczysku się włuczyl, zwłaszcza, że dla niego noc wieczną była. Swoją gród znał tak iż i bez chłopca, z kijem tylko mógł go obejść o każdej porze,

a trafił gdzie mu było potrzeba. Kudłate psisko, ogromne, bure, z oczyma żółtemi, strasznemi, nigdy go nie opuszczało. Stary ten przyjaciel zwał się Hyż, a Odolaj już cztery ich przeżył pokolenia. Nie szczekał Hyż ani warczał, gdy mu się co niepodobało, rzucał się odrazu nie puściwszy głosu, szarpał i dusił. Tylko gdy niepewnym był co ma czynić, za bureczał, aby wywoływać rozkaz starego pana. Zbliżyć się znienacka do Odolaja było niepodobieństwem.

Stare dworce na zamku, lepiące i podpierane od wieków, do szop były podobniejsze niż do ludzkich domostw. Odolaj budować się nie lubił i miał przesąd słowiański względem nowych domów, które zawsze ktoś musi życiem przypłacić, wedle podania. Stało więc co tam niegdyś wzniesiono i trzymało się jak mogło, a gdy wichry co obalił, podnoszono tylko zwaliska i klecono na nowo. Oprócz jednego kawała z bierwion grubych mocno pobudowanego przed laty, który się zwał Izbicą, reszta komor z gliny i chrustu połatana, niska była i licha. Dużo też dla starości w ziemię wsiadło, i zdawały wyglądały zabudowania jak kupa grzybów co po deszczu wyrosły, bo wysokie omszone dachy z dranic i słomy, do grzybowych czapek były podobne.

Nawet do Izbicy wchodzić było potrzeba jak do jamy, w głąb, tak i ona zapadła się w ziemię.

Odolaj był już chrześcianinem, a nawet bardzo gorliwym i surowym, posty obchodził ściśle, duchownych szanował i obdarzał, ale z młodych czasów pozostało mu dużo pogańskich wspomnień i zwyczajów, których on od nowych nauk rozróżnić nie umiając, dziwnie mieszał z niemi.

Wiara więc jego z dwójga niemal wiar połączonych się składała, a szczególnież czarów i złych duchów obawiał się mocno, czego mu nie broniono, wierzył też w zamawianie i uroki. Bajek o czarownikach, wiedźmach, latawicach, wilkołakach, lichu, psoście, plusze słuchać lubił i sam miał ich uzbierany

zapas wielki. Znał się nawet na tem jak czar bywał rzucony i jak mógł być zdjęty. Stare baby posądzane o uroki niemilosierdzie chłostać kazał, szczególnież gdy krowy mleko traciły, poczem zawsze udoje wracały obfite.

Czeladź trzymał w straszej surowości, i za przewinienia karał bez miłosierdzia, ale gdy się do kogo przywiązał, niepomierne dlań był łaskaw i wiarę dawał do zbytku. Człek był, mimo zbliżającej się lat setki (liku właściwie dobrze nikt nie wiedział), dosyć jeszcze krzepki, na umyśle rzeźwy i stare rzeczy pamiętający doskonale. Trzymał się pono tem, że się ciągle ruszał, bo we dnie rzadko się kiedy zdrzemnął, a nocą zbudziwszy się przytomność natychmiast miał całą i wiedział co się z nim działo. Gdy spał, Hyż i chłopiec siedzieli przy nim nieodstępnie i czuwali.

Wiosennego poranku właśnie Odolaj z chłopcem i Hyżem swój gród obchodził wedle zwyczaju, a słońce przygrzewać zaczynało, gdy, zatrzymawszy się na wałach, stary ucha nastawił.

Wiatr wiał od dalekich borów, nie prócz niego słychać nie było, ale starego uszy dalej jakoś sięgały, bo ręką wskazując chłopcu w stronę, w którą się gościniec daleko ciągnął przez pola, kręcąc między łączkami i rolami, zapytał:

— Ty, słysz! co tam widać?

— Nic, miłościwy panie—rzekł chłopak.

— Ślepyś i ty, czy co! patrz na gościniec, trutniu, wyrap oczy!

Chłopak podniósł się na palcach, oczy szeroko otworzył i dojrzał kłębka kurzawy.

— Nie widać nic, miły panie ino się pył zwiija po gościncu od wiatru, albo bydło lub owce pędzą.

— Głupieś!—rzekł Odolaj—patrzno lepiej zobaczysz więcej.

Hyż jakby też mowę pańską rozumiał, stał zwrócony w tę stronę, uszy nastawił i nosem powietrze pociągał.

Nagle chłopię krzyknęło:

— Miłościwy panie, jeździł

— Ilu ich?

Znowu tedy milczał dzieciak, a stary spuściwszy głowę, ucha nastawił.

— Ślepiec z ciebie — rzekł — pięciu ich być musi, trutniu jakiś, mówię pięciu! Licz!

W istocie w dali już teraz rozeznac było można jeźdźców, z których dwu przodem jechało a trzech za nimi. Panowie i czeladź.

— Mów! — rzekł starzec. Tym słowem zwykł był puszczać wodze oczom swoim i chłopak powinien był zacząć opowiadać co widział. Chłopię poczęło.

— Przodem dwóch na koniach, w zbroiczkach i hełmach, od których się świeci, czysto poodziewani, za niemi troje czeladzi. Konie u wszystkich tęgie, kłusują szybko, wprost na zamek.

Chłopak w ręce piasnął.

— A! panie—dodał—jeden z czeladzi na rękę sokoła trzyma.

— To nasi—mruknął stary — Jastrzęby jechać muszą.

W istocie garstka ta zbliżała się ku staremu zamczysku i coraz ją lepiej rozeznac było można. Na dwu jadących przodem błyszczały zbroje, na koniach też widać było świecideł dużo, wyglądali z pańska i czeladź odziana była dostatnio.

Gdy stary Odolaj przekonał się iż na zamek zawracali, zszedł z wałów i pospiesznie do izbicy powrócił, nie chcąc w podwórzu gościom zabiegać drogi.

Izba, w której siadywał, mało się różniła od wieśniaczej, choć od zwykłej świetlicy była większą. Od dymu ściany jej drewniane całe się oblokły świecąca brunatną powłoką. W górze na belkach wisiały zioła różne, odpędzające uroki, służące dla zdrowia lub przyniesione dla woni. Bystrzejsze oko mogłoby było w ciemnych zakątkach za belkami dostrzedz po-

chowanych bałwanków, niezgrabnych, drewnianych, których wyrzucić precz nie miano odwagi.

W okół przy ścianach biegły wazkie i twarde ławy, a przy drzwiach tuż stało wiadro z wodą świeżą i czerpakiem. Półki grube po nad ławami poczepione u góry, zastawione były całe naczyniem różnem, w większej części glinianem i drobnym sprzętem, tak aby stary mógł ręką sięgnawszy, dostać czego mu było potrzeba. W jednym rogu izby, gdzie ława nie sięgała, miał barłóg swój Hyż, u samych drzwi sypialni pańskiej.

Spał on po jednej ich stronie, z drugiej chłopiec, którego we dworze nazywano „Okiem“. Podłogi w izbie nie było, tylko tok gdzieniegdzie, matą słomianą okryty.

Gdy stary usiadł na ławie za stołem, weszła za nim córka jego, ubrana w sukno sine, z białym namitem na głowie, niewiasta krzepka jeszcze, ale raczej na służkę niż na panią wyglądająca i pokorna bardzo...

— Goście słyszę jadą—odezwała się posłyszawszy ją idącą i po chodzie poznając stary. — U nas strawa codzienna jaka tam?

— Kluski, kasza, kawał mięsa dla was, dla gości by co przyrzucić?—spytała Tyta.

— A oni co lepszego od nas!—zawołał stary.— Mogą jeść co i my, albo i nie jeść.

— Ha no!—stęknęła niewiasta — powiedzą, że nie mamy nic, dom obrzydzą...

— A! niech sobie gadają co chcą!—rzekł stary nakazująco—dla ludzi ja wolę być ubogim niż bogatym, dla krewnych jeszcze bardziej. Každyby darł z cudzego...

Tyta nie już nie mówiąc, starła stół, obejrzała się dokoła i wyszła powoli; z Odolajem nie można się było sprzeczać. Gdy rozkazał sprzeciwienia się nie cierpiał.

Nastawił ucha bacznie Odolaj, twarz mu się sta-

ny w kaftan skórzany, wyszywany barwisto, na którym drugi, lżejszy wisiał wolno porozpinany, odjął był miecz, złożywszy go na boku, i czapką przykrył; piersi miał na pół odsłonięte, włos porozrzucany. — Widać, że mu błogo było tak wygodnie wyciągniętemu, na suchej ziemi, mchu i darni, używać wczasu w cieniu. Umieścił się też jak mógł najlepiej, niewiele troszcząc, jak to będzie wyglądać.

Obok niego siedzący, młodszy z twarzy, a rysami doń podobni, równie byli porozpierzani wygodnie, rozkładali się ze swobodą—jedni na pół leżąc, drudzy na rękach głowy złożywszy.

Ubiory wszystkich były krojem i barwami do siebie podobne, z cienkich tkanin, kaftany jednym szyte wzorem, obówie misternie pookowywane, szłyki lekkie futrzane jednego kształtu i sierści.

Po za nimi i około nich porozrzucane były łowieckie i rycerskie przybory, łuki, lekkie oszczepy, ostre zakończzone żelazcami, miecze małe i noże w bogatych oprawach. I te znać z jednego wychodziły skarbcu, bo wszystkie były prawie jednaki.

To co o stroju i zbroi powiedzieć było można o ludziach, spojrzawszy na twarze; widać było, że z jednego pochodzili rodu, bo choć w obliczach tych wyraz był nieco odmienny, choć wiek różny, rysy mieli dziwnie do siebie podobne. — Orle ich nosy ciemniejszych nieco, lub światlejszych odcieni włosy jasne, usta mięsiste, pociągłe twarze, wysokie czoła, wszyscy mieli jednego kroju. — W ruchach też ich było pokrewieństwo, w mowie dźwięki brzmiały tonem jednym.

Była to jedna krew, w różnych rozkwitnienia stanach—jeden typ urozmaicony odmianami jakie do nieskończoności umie mu nadawać natura.

Siedzący pod dębem, był widocznie najstarszym z braci, i zdawał się też rej wieść między nimi.

Słońce się już było ku zachodowi skłaniać zaczęło, ale promienie jego mocno jeszcze dogrzewały,

gromadka też odpoczywająca nie myślała się ruszać z wygodnej zaciszy, i chłodem a cieniem lasu się rozkoszowała. Pomiedzy niemi stały rogowe kubki podróżne ponalewane miodem i naczynia z wodą, którą ludzie z niedalekiego zaczerpnęli źródła. Niedaleko od nich na łące, pasły się bujna trawą wiosenną, konie zażywe z sierścią lśniąca, grzywami długimi, suchymi nóżkami, nieco dzikie.—Niekiedy podnosiły głowy, jakby się rozpatrzeć chciały, a te, które się napasły, zaczęły się do zabawy i walki wyzywając. Wesołe to były stworzenia, jak panowie co pod dębami spoczywali.

Ludzie nie spuszczały ich z oka, na uboczu siedząc przy dogasającym ognisku, otoczeni zgrają psów, z których jedne leżały, drugie resztek jadła szukały do koła. Na berłach wbitych w ziemię, widać było osadzone trzy zakapturzone i spętane ptaki.

Szum wiatru, rżenie koni, skowyczenie psie, i swary, cichy szept czeladzi, przerywały tylko milczenie. Młoda owa drużyna siedziała, jakby odpoczywając po znużeniu, ust nawet leniwcę się otworzyć. Czasem który sięgnął do kubka z miodem lub naczynia z wodą, napił się, otarł usta i legł znowu, pół drzemiąc, na pół czuwając.—Spoglądali na cienie od słońca, jakby wyczekiwali nadchodzącego wieczora.

Choć rażno a butnie wyglądali myśliwcy, nie można było powiedzieć, aby się na ich twarzach odbijało wesele; rycerska ochota była w spojrzeniu, lecz z niepokojem pewnym zmieszana.

Niekiedy wzrok starszego utkwiał w dali nieruchomy, a myśl się widocznie zabłąkała też daleko od puszczy i doliny. Drudzy dumali również nad wiek poważnie i tęskno.

— A co! czasby może do powrotu? — odezwał się ziewając ten co u dębu siedział, a któremu imię Borzywój było.

— Czegóż się tak śpieszyć mamy!—odparł drugi wyciągnięty na ziemi, szczypiąc trawę i wyrrywając

ła posępną, widocznie gościom a swoim nie zbyt był rad, bo posądział zawsze synów i wnuki, że od niego pożądać czegoś mogli.

— Przywieźć żaden nie przywiezie — mówił zawsze — a wziąć u starego radby każdy.

Od wrót, z koni siadłszy przybywali właśnie dwaj młodzi Boleszczyce, wnuki Odolajowe, Dobrogost i Ziemia. Oba postroili się w odwiedziny, jak było we zwyczaju na dworze i rozglądali się ciekawie po gnieździe starem. Tyta czekała na nich u drzwi przed Izbicą.

Pokłonili się jej, bo choć dobrze nie pamiętali, wiedzieli o niej i domysłali się kto była, zapytali czy wolno dziadowi do nóg się pokłonić oznajmując, że byli Mszczuja synowie, któremu ojcem był Mieszko syn Odolaja.

Popatrzywszy z ciekawością i radością, która się na jej licu malowała, na pięknych chłopaków stara Tyta, dała im znak głową, aby szli za nią.

Odolaj już kroki ich usłyszał, zawczasu Hyża na barłóg wyprawił leżeć i nie ruszać się, sam czekał.

Weszli tedy na próg, chrześcijańskim obyczajem chwaląc Chrystusa. Stary im odpowiedział, jak należało. Po chwili zapytał:

— Któż tam?

Tyta wzięła na siebie, aby ich wyręczyć w odpowiedzi.

— Dobrogost i Ziemia,

— A którzy?

— Synowie Mszczuja.

— Którego?

— Mieszkowego — rzekł Dobrogost.

— No, Bóg z wami! — odezwał się stary chmurno i na rękę się podparł.

Przystąpili więc do nóg mu się skłonić i pocałować go w kolana.

— Jedziemy za rozkazaniem pańskim mimo Jakuszowiec — odezwał się Dobrogost — chcielibyśmy

miłości waszej też przypomnieć się i pokłonić. Rzadko służba pozwoli wezasu.

Staremu na wspomnienie króla czoło się namarszczyło straszliwie, a brwi siwe aż nawisły, drgnął i mruknął jakby lajał, ale nie można było zrozumieć co rzekł.

Młodzi przed nim stali.

— Was tam słyszę lik duży na dworze przy panu — rzekł — sześciu czy dziewięciu czy więcej Jastrzębi. Was tam jak niewolników zwą Boleszczycami. Cóżecie się to mu z kośćmi i mięsem zaprzekali!

Spoglądając po sobie milezeli przybyli. Ziemia jako młodszy, nie myślał nawet odpowiadać.

— Jest nas na dworze pańskim — rzekł Dobrogost — naszego zawołania i rodu kilkunastu. A cośmy my winni, że nas przezwano Boleszczycami! Nie jednych nas tak zwą jest i Śreniawów dosyć i Drużynów kilku. Ludzie zazdrośni zwą nas tak, bo wiernie panu służymy i miłość królewską mamy. Nie przetośmy niewolnikami.

Stary znowu coś mruknął jakby sam do siebie gniewnie sparł się na rękę, siedział i usta mu się ruszały.

Podniósł potem rękę zwolna, grożąc i począł:

— Ej, źle z wami młokosy, ej! źle! Do wojny królowi służyć to powinność ziemiańska, a koło mis i kubków nie nasza sprawa.

Mruczał sam do siebie niewyraźnie, a ze szmeru tego zwolna dobywały się wyrazy i głośniejsz ciągnął dalej, jakby zapomniawszy, że ich miał przed sobą.

— He! co! Boleszczycami was zwą! Boleszczycami! Wiernie panu służycie, ha? nawet gdy waszym braciom łhy ucina? he? Jak nie ma kochać i odziewać i karmić! A co będzie jak tego pana nie stanie i do swoich przyjdzie powracać? he? co poczniecie! Boleszczyce?

Znowu mowa wyraźna zmieniła się w szeptanie

gniewne, do którego stary w samotności był nawykłym.

— Przystąpić tu!—zawołał do nich.

Zbliżył się starszy Dobrogost.

Stary podniósł do góry ręce obie i zwolna powiódł niemi naprzód po twarzy, potem po zbroi po pasie, aż do nóg, na ostatek dość silnie popchnął go precz od siebie.

— El zgagił!—zawołał.—A zkadże to wam ubogim, te drogie zbroje, te sadzone pasy i te suknie miękkie i łańcuchy? Ojciec w siermiędze chodzi, z domu wam nie dał nic, chyba kawał zardzewiałej blachy i mieczyk lichy? Na wojnę małoście chodzili, zkadże te ubiory?

Dobrogost się namyslał trochę, lecz rzekł odważnie.

— Król pan nasz miłościwy darzy nas, od pana przyjąć ani grzech ani wstyd.

Starzec się rozśmiał szydersko i splunął.

— Bo wy mu do rozpusty służycie! trutnie jakies!—krzyknął—służycie mu jak psy to wam obroże sprawia

Zmieszali się oba młodzi Boleszczyce, a Odolaj siedział mrucząc po swojemu i ręką w stół czasem uderzając. Za każdą razą Hyż głowę podnosił.

— Ej! wy! — rzekł nagle — śmierdziecie mił zdala odemnie stać!

Oba się tedy do progu musieli oddalić posłuszni, ale krew się w nich burzyła, patrzali na się, pytając oczyma po co się im do Jakuszowic zachciało. Preczby byli szli i jechali zaraz nazad, ale szanując głowę rodu, oddalić się tak nie mogli, bez rozkazania.

Stary wyczekawszy z mruczenia do siebie począł znów głośniejsze:

— Cóż tam ten miłościwy pan? co? króluje, panuje nad żonkami cudzemi! z rycerstwem się zadart, ziemiany gardzi, biskupem pomiata, a z hołotą i czer-

nią w wielkiej miłości żyje! Miłościwy pan... a komu miłościw? nie nam!

Dobrogost zebrał się na odwagę, by króla swego bronić, choć dobrze wiedział, iż stary się zagniewa.

— Miłościwy panie a ojciec—rzekł—ja tam nie znam wiele, ale z rycerstwem tem inaczej nie mogło być, gdy mu ono posłuszeństwo wypowiedziawszy zbiegło z Kijowa, samego pana niemal zostawiając. Ziemianie też mu nie życzliwsi jak byli Mieszkowi i Kaźmierzowi, którego wygnali. Król na nich za dziada się mści i za ojca. Biskup z niemi trzyma. Ludu ubogiego król miłościwy broni, bo bez niego by panować komu nie miał, a głódby nastał na tę ziemię.

— A milczże ty, gołowasio jakis! — krzyknął stary Odolaj kijem bijąc o ziemię— a milczże! Ty mnie tu będziesz uczył rozumu! Dobry pan, a żonę Mściśławowi jak wziął? Mało mu swojej?

Oba stojący u drzwi zamilkli.

— Nie nam go sądzić!—rzekł Dobrogost.

— Ale ja stary sądzić go mam prawo!—zawołał Odolaj—ja i Mieszka pierwszego i Bolka Wielkiego, co jak słońce jasny był, i wszystkich ich pomnę, żadnego takiego nie było jak ten. Jeszcze mu z dziewcząt i żon naszych daninę przyjdzie słać, jak smokowi pod Wawelem? a wy mu do tego służycie, smrotnicy!!

— Warczał tak starzec długo, młodzi stali słuchając i nie wiedząc co z sobą poczynąć mieli. Tyta się dawno wysunęła, widząc na co się zanoszą. Widać ją było, jak po za drzwiami przysłuchując się, niespokojnie chodziła. Odolaj łajał i srożył się. Nagle zamilkł, ucha nastawił, jak gdyby odpowiedzi czekał, ale już nawet Dobrogost nie śmiał się odzywać.

— Dobrze, żeście do Jakuszowic zajechali — rzekł w końcu — dawnom ja za którymi z was słać chciałem... Wróciwszy na dwór powiecie swoim wszystkim Jastrzębiom ile ich tam jest, że ja ich za ród mój i krew moją znać nie chcę, póki w tym kale zostaną.

Na wojnę idźcie, niech was i pozabijają, jest dzieci dość, narodzi się ich jeszcze więcej, ród nie przepadnie, a po barłogach dworskich się wylegać, wara! Potrząś swoją siermięgą.

— Jak ja grube sukno nosić, bławatów nie tykać, gruby chleb żreć, to wasza powinność i służba. Postroili was na pośmiewisko, jak królewską kobyłę, która słyszę też w złotogłowie chodzi. Zrobili z was czeladź nie drużynę. El! Śmierdźcie mi, śmierdźcie, Boleszczyce!

Dobrogost widząc go tak, niełaskawym i miarkując, że już nie do stracenia nie mieli, znów się ośmielił odezwać.

— Miłościwy ojcze, króla opuścić gdy mocen i szczęśliwy, toć się godzi na rozkazanie ojca, a no, gdy go wszyscy odchodzą.

— Chłystek mnie rozumu nie będzie uczył! — warknął stary. — Trutniu jakiś, zgago przekłeta! Twoja sprawa słuchać starszego, nie z ojcem isć zęb za zęb...

Rzucił się aż Odolaj; młodzi oba usta zawarłszy, stali.

— Mówię wam! do domu wszyscy! na cztery wiatry... ażeby was tam nie było. Nie, to ja was nie znam. Śmierdźcie mi Boleszczyce, Boleszczyce nie moja krew. Com rzekł to musi być, a nie posłuchajcie, toście jego nie moi, prawi Boleszczyce a nie Jastrzębie. Sukmany włożyć, zbroję prostą, i na rubieże gdzie się tłuką, nie na zamku gdzie z cudzemi żonkami skaczą...

Gniewał się stary, lecz że już odpowiedzi nie było, powoli uspakając się zaczął. Mruczenie zeszło na szept, zmarszczki zwolna się rozciągnęły, posiedział milczący, westchnął i już głosem innym zapytał:

— Po co i dokąd was posłano?

Naturę miał taką iż gdy mu nie odpowiadano i nie przeciwiono się a dano wysierdzić, stawał się co-

raz łaskawym i niekiedy nawet za gniew słodkiem słowem płacił.

Dobrogost i Ziema, którym z tyłu Tyta szepnęła słowo, stali teraz pokorni i niemi. Na ostatnie pytanie odpowiedział starszy, że daniny zaległe kazano im tu i owdzie zakazywać, bo ich wiele do skarbu nie poodwożono, a król obficie rzucając złotem, dużo też go potrzebował. Posługa ta nie w sobie nie miała upokorzającego. Stary też nie rzekł już nic, pomruczał coś sam do siebie i spytał:

— Głodniście może?

Dali na to odpowiedź obojętną.

— A juści was Tyta ztąd nie puści nienakarmionych—rzekł łagodniej, a chłopca posłał też aby konie napasiono.

Natychmiast Tyta strawę podawać kazała, prostą, taką jaką dla wszystkich zgotowaną mieli. Przyniosły ją dziewczki na misach glinianych, z łyżkami drewnianymi i na stole postawiły.

Kazano chłopcom siadać i jeść, co też dopełnili z ochotą, radzi że się łajania i gniewy skończyły. Stary o ten sam stół oparty, głosem już znacznie zmienionym, spokojniejszym, rozpoczął wypytwać o dwór i króla.

Dobrogost, który jak wszyscy Boleszczyce, przywiązany doń był, źle mówić nie mógł.

— Pan dla nas jest dobry—odezwał się—o lepszego trudno, dla swej drużyny nie nie żałuje, ale nieposłuszeństwa w nikim nie ścierpi, buty nie zniesie od nikogo choćby jak on królem był.

— Takim ci on był od początku—zawołał Odolaj. — Pamiętają jak owemu kniaziowi co go prosił żeby naprzeciw niego wyjechał, za każdy krok koński płacić sobie kazał, a potem na śmiech za brodę go wzięwszy jak na urągowisko w twarz całował.

Młodzi co o tej przygodzie nie raz słyszeli, śmiać się zaczęli.

— Nie lepiej się i z Węgrzynem obchodził—

mówił Odolaj—bo go na tronie posadziwszy, jak we własnym domu chciał się rządzić w jego królestwie.

— To nie, to nie—dodał stary—a no mu od duchownych wara! Królowie zniosą, oni nie!

Milezeli młodzi.

— Już się z biskupem zadziera!—mówił ciągle Odolaj—z biskupem? Biskup Stanko tu u nas ojczycem jest w Krakowskim, pójdą za nim wszyscy! Człowiek to od króla pewnie mądrzejszy, umarłych z grobu wywodzi! Niechno patrzy, aby mu słowem śmierci nie zadał. Biskup to taki co gdyby czarnej sukni nie nosił, do pancerza by się zdał. Nie zleknie się go i nie ustąpi kroku.

Mówiąc to starzec coraz się uspokajał, łagodniał i już nawet uśmiechać się poczynął, sierzniście mu przeszła, jeść zapragnął, chleb łamał i chciwie go pożerał w soli maczając.

Potem miodu kubek podać sobie kazał i popijał powoli.

Młodzi zjadłszy i pokłoniwszy się chcieli korzystając z dobrej chwili, do odjazdu się zbierać, gdy Tyta wbiegła do izby i znać dała Odolajowi, że kilku jakichś ziemian na zamek jechało. Ktoby był powiedzieć nie umiała.

— Ty, młodszy, jak cię zowią! Ziema?—zawołał stary—ty, słóžko królewski, posłuszno dziadowi, a żywo. Idź mi zobacz co za jedni i daj wiedzieć tu wprzód nim zsiądą.

Oczy masz, a ludzi znać musisz, choć ci co do mnie jeżdżą, na dworze bywać nie zwykli.

Natychmiast Ziema, słuchając rozkazu, poskoczył ku drzwiom i zniknął. Ruchem jego zaniepokojony stary Hyż, rzucił się na barłogu, jakby chciał za nim pogonić. Stary usłyszawszy poruszenie jego, odgadł co pies myślał, znając jego naturę, krzyknął nań i leżeć mu przykazał. Psisko z niechęcią na posciel wróciło, zakręciło się na niej razy parę i legło skarżąc się i stękając.

Po chwili, skoro się uwinąwszy, Ziema wrócił oznajmując Leliwę, Kruka i Brzechwę.

Usłyszawszy o nich, stary się pogladził po głowie i czekał. Tuż za nim i oznajmieni na próg weszli, lecz dwu Boleszczyców zobaczywszy, których i z twarzy i po stroju poznali zaraz jako królewską drużynę, nachmurzyli się, popatrzeni na się i przystąpili z witaniem chłodno jakoś a milcząco.

Stary Jastrząb wiedział dobrze, iż do niego nikt w gościnę nie przybywał nadaremnie, dla zabawy. Przyjeżdżali tylko ci, co albo obowiązek mieli lub potrzebę.

Wysłuchawszy pozdrowienia, posłał po miód, gości posadził, czekając co mu też powiedzą.

Ci spoglądając z ukosa na Dobrogosta i Ziemię milezeli długo, prawili rzeczy obojętne, jako na łąkach trawa rosła i zboże się podnosiło; gdzie zwierza było więcej, a zkad go wypłoszyły wilki.

Stary czekał, zgadł czy nie co im usta zamykało, a po chwili Dobrogostowi rzekł, aby z bratem szedł opatrzyć stadninę i tegoroczną młodzież.

Radzi wielce wysunęli się dwaj Boleszczyce.

Nasłuchiwał Odolaj za krokami odchodzących, aż gdy posłyszał że odeszli za węgiel Izbiicy, odezwał się:

— A co was, miłościwi moi, sprowadza? Jać to wiem dobrze, że do mnie ani moje kluski proste, ani miód twardy, gościa nie ściągają. Chcecie pewno czego odemnie, a przy tych gołowasach mówić nie rażno było, bo to królewskie służki.

— A no, tak—rzekł Leliwa—przy młodych o to zagadnąć nie można było. Wy jesteście głową rodu, waszych tam Jastrzembi przy królu mnogo, wszyscy ci Boleszczyce u boku mu stoją, podpierają go, służą... Przez nich on silny. Przyszedł ten czas, że go wszystkim odstąpić będzie trzeba, niechajże i wasi idą precz, niech go porzuca... Macie prawo im rzec, żeby tam ich noga nie powstała. Nie trzeba wam mó-

wieć co się dzieje, król z biskupem wojuje i z kościołem, kto z nim będzie trzymał, ten ani na próg do kościoła, ani do kapłana przystępu mieć nie będzie. Czas żeby wasze wnuki pamiętali z kąd wyszli i odstąpili go wraz z nami...

Odolaj brodę gładził.

— Jak po to jechaliście, to nie było z czem jechać—rzekł spokojnie—ja właśnie im głowę zmyłem i dałem rozkazanie, aby mi wszyscy natychmiast precz ze dwora szli...

— Sprawiedliwie!—pochwalił Leliwa.—Król się nam sprzeniewierzył, ani obyczaju już znać nie chce, ani miary w niczem. Dziewki i żony ziemianom porywa, a mężów i ojców do ciemnicy sadzi. Biskupom grozi, rycerstwo swe katuje, czerń mu tylko miła... Niech mu ci służą, których kocha, a my jako jeden idźmy precz!

— Idźmy! idźmy!—powtórzyli za nim drudzy.

Kruk dodał.

— Kiedy o nas nie myślą, trzeba nam myśleć o sobie.

A Brzechwa rzekł.

— Łatwiej nam będzie o pana niż jemu o królestwo. Szanowała go Ruś i Węgry, bośmy my za nim stali, nie stanie nas, zobaczy czy mu kto da w pomoc by jednego człeka. Niech próbuje.

Odolaj milczał, wąsami potrząsając, gładząc głowę.

— Tylkom co jak psów lajał wnuki że z nim trzymają. Kazałem im ze dworu precz iść. Teraz wam, miłościwi moi, pora prawdę rzec. O pana też nie łączno! Z orężem rznąć, palić i lud nam wyprowadzać przyjdą i Czechy i Rusiny i Ugry i Niemcy, jak zobaczą, że gospodarza niema, a ziemie stoją otworem. Szarpać po kawałku będą radzi! Czemu nie! O króla nowego coby z nami wyrósł i do nas przyrósł nie łatwo! he! he! Choćby on jaki był, swój jest.

Leliwa, Brzechwa i Kruk głowami potrząsając

milczeli jakoś im to w smak nie szło, a nie wiedzieli czem zbijać starego, bo i to prawdą było. Pamiętali wszyscy wygnanie Kaźmirzowe, Masławowskie czasy i co naówczas wszystkie ucierpiały ziemie, a wiara chrześcijańska.

Starzec milczał też jakiś czas odpowiedzi czekając, a potem począł zwolna:

— Co mnie staremu grzybowi do was i do spraw waszych, blisko mi setki. Nie widać ino jak sowa przyleci, na dachu usiedzie i zawoła: Do mogiły! do mogiły! Tymczasem moje Jakuszowice nie z brzegu, zamek się i w burzę ostoi. Mnie zawierucha nie straszna, a no innym!!

Ważcie dobrze, w palce trącajcie, co lepiej.

— I to prawda—mówił Leliwa—uchowaj nas Boże od tego byśmy bez pana zostali! A tak jak jest też nie może być. Dopóki duchowieństwa nie tknął, choć nam głowę z karku zdejmował, co poczynąć było! Cierpieliśmy, milczeli. Nie dość mu nas, z Panem Bogiem i sługami jego wojny mu się zachciało. Biskupi mu są równi, tak namaszczeni jako on, a Rzym nad nim, przeciw nich się nie ostoi.

Drudzy też potwierdzali: Nie ostoi się.

Odolaj nie nie odpowiedział, po długiej chwili oczekiwania dopiero począł sparkły się na dłoni jakby sam do siebie:

— Krew ci to nasza! bujna! Wojak jest! Jak nie wojuje za domem, doma mu wojny trzeba. Gdy by się z kim miał tłuc zarazby to wszystko ustało. Cała bieda wojny niema; znajdziemy mu swar jaki, zadrzyjcie się na granicy, nie, to wam baby pozabiera, a biskupom czapki z głowy poździera. Taka krew! taka krew! I zaraz mu swawola w głowie, a no i Bolko stary, na kobiety był łasy., Ten od mężów, a tamten i z klasztorów Panu Bogu odbierał! Taka krew...

— Co bo mówicie! bronicie go! — począł zgorzszony Brzechwa. — Wy stary, a czy to się godzi?

Patrzcie co się dzieje. Mścislawowi nie dosyć, że żonkę porwał, jego jeszcze do ciemnicy posadził, że się na zamku śmiać pokazać. Mówią, że go stracić mają

— Do takich spraw — dodał Leliwa — Jastrzębiom służyć się nie godzi. Każcie im iść precz. Kto wie? Gdy i oni i drudzy, a wszyscy go rzucą służbę mu wypowiadając, opamiętać się może.

— Albo chłopów zwoławszy łby im poucina — rzekł stary Odolaj — zawsze to lepiej, niż opaskudzone nosić na karku... A! no!

Przyniesiono miód ów, o którym zapowiedz była, że twardy miał być, w istocie chmielem był mocno zaprawny, gęsty i czarny jak smoła, pili go jednak wszyscy, rozprawiali znowu, a stary przypomniał wnuki, które do stada wyprowadził, chłopcu ich do siebie pozwać kazał.

Stali już oni, czekając na to podedrzwiemi i stawili się natychmiast.

Wobec Leliwy, Kruka i Brzechwy, innym już głosem, starzec im rzekł poważnie a surowo:

— Czas wam w drogę, jedźcie z Bogiem... Mówiłem czego po was żądam. Precz ze dworu ustąpić macie, albo mi się w Jakuszowicach ani pokazać więcej, ani nawet na pogrzeb mój.

— A teraz w drogę.

Dobrogost i Ziema przyszedli do kolan i do ręki, stary ich pobłogosławił i powtórzył:

— Wszystkim Jastrzębiom to zanieście, taka wola moja.

Wyszedszy z Izbicy, młodzi Boleszczyce, do Tyty jeszcze się szli żegnać, która ich w milczeniu uścisnęła. Cały dwór żeński, mężczyźni też, parobków i czeladzi dużo, wybiegli na tych wnuków starego pana, tak pięknych, młodych, ślicznie strojnych i zbrojnych popatrzeć. Z czeladzi zamkniętej na smutnem zameczysku, nie jedenby był

chętnie się do nich przyłączył, bo na ich pacholkach widać było dostatek i swobodę jakiej zażywali. Odprowadzono ich tłumnie do bramy, patrzano za nimi długo, tęsknie gdy się oddalili.

Milczący jechali czas jakiś, spoglądając na się a głowami potrząsając. Dopiero gdy w las wjechali rzekł Dobrogost:

— Cóż pocniemy? Złe się z panem naszym dzieje! Wszyscy już przeciwko niemu. Choćbyśmy ja i ty starego posłuchali, czyby nam dali wiarę: Borzywój, Zbilut, Odolaj, Andrek? albo i drudzy? Zechce się to im iść ode dworu? Dokąd? Na ojcowiznie niema co robić, nas dużo, co my pocniemy? Ziema na to rzekł.

— Albo ja wiem! Co stary mówił, to im odnieść musimy, a radzić będą wszyscy, i co wszyscy zrobią to i my...

— Pan dobry! — dokończył Ziema.

— Dobry on dla nas — westchnąwszy rzekł Dobrogost — a no dla siebie zły... Mało i tak wrogów miał, żeby ich jeszcze robić sobie? Teraz kto popędliwego pana z biskupem pogodzi? Zawre wojna w domu.. zawre. Bieda jemu, bieda nam, bieda!

Posmutnieli Boleszczyce.

— E! — mówił dalej pierwszy — zażyliśmy dobrego czasu z nim, musimy i złe przetrwać. Jak go tu rzucić i jemu się sprzeniewierzyć, gdy wszyscy odstępują! I pies przecie rannego na polu bitwy nieodstąpi...

Ziema potwierdził skinieniem.

— Złe jest bardzo z nami — rzekł cicho — gorzej niż wy myślicie. Mam na zamku starego księdza, który łaskaw jest na mnie, straszne rzeczy mówi.

— Co? — zapytał przysuwając się Dobrogost.

Ziema zadrżał, oczy spuścił, jakby się obawiał nawet wyjawiać co usłyszał.

— Król niedawno rozniewawszy się, biskupowi z zamku precz iść kazał, z ks. Stankiem nie do bra sprawiał odgraża się nań slysze, że go w kościele kłąć będzie i na próg domu Bożego nie wpuści. Staruszek ksiądz, gdy mówi o tem, łzami się zalewa... Ścisnął mnie zaklinając, abym i ja i moi precz od króla szli, bo z nim dusze pogubiemy. Gdy go wyklną ktokolwiek z nim trzymać będzie, wyklęty zostanie, na próg go do kościoła nie puszczą wolno zabić kto zechce... Za to kary niema.

Dobrogost wstrząsał się cały.

— To nie może być, aby się ważył na króla!

— Biskup?—odparł Ziema — ależ on nad sobą nikogo niema tylko papieża w Rzymie i nie lęka się nikogo.

— Nie może być!—wołał Dobrogost.

— Gdy króla wyklną, innego na tronie posadzą — mówił Ziema. Pewnie go już biskup i ziemianie opatrzyli.

— Nie! nie! — gwałtownie dodał starszy—nie może to być! Król! onby śmiał porwać się na niego! Nie znają króla.

— Ale wyklętego wszyscy opuścić muszą — rzekł Ziema — tak mi mówił ksiądz... Cóż poradzi sam?

Zadumał się Dobrogost, a młodszy ciągnął dalej,

— Gdy go wyklną, na głowie wyklętej już korony nosić nie będzie mógł, słuchać go nie zechce nikt. Wezmą Swiatawy syna lub męża, bo się slysze już i na to zmawiają.

Dobrogostowi brwi się ściągają.

— I toś już slysział? Dobrze dzieją się rzeczy, a no i nasz pan nie śpi! Ale trzeba aby o tem wiedział.

Ułakł się Ziema i przyskoczył do brata.

— Czyn sobie jako chcesz, ale mnie w to nie ciągnij! Ja na nikogo świadczyć nie chcę!

Ruszył na to Dobrogost ramionami.

— Prawdę rzec — dodał — nie nasza to sprawa, ja też palców między drzwi kłaść nie myślę; ale z sobą się naradzić trzeba co poczynąć, bo już nie igraszki to są. O króla idzie i o naszą skórę. Z ziemiany i rycerstwem jeszczeby się pan połogodził, a z biskupem trudno. Człek to jest żelazny. Wiecie jako do Brzeźnicy raz jechał, aby tam kościół święcił, a w progu domu u Janka z Brzeźnicy co Panu Bogu wystawił kościół, znalazłszy go nie wedle prawa żyjącego z niewiastą, z którą ślubu nie brał przed księdzem, pod jego dachem nawet nocować nie chciał. W słotę na łące bez namiotu całą noc spędził, aż Janko go musiał nazajutrz w nogi całując przepraszać, o ślub prosić i pokutę; dopiero się dał przebłagać i kościół mu poświęcił. Wszyscy owi ze Szczepanowa i ojciec jego Wielisław i dziad ludzie twardzi byli jak on. Król też kamienny jest, gdy się z sobą zetną Bóg jeden wie co będzie. A stanie kto między niemi, najpewniej go zgniotą.

Rozmawiali tak całą drogę aż do noclego, oba zasmuceni i chmurni: ciążyło im dziadowskie przykazanie i groźby, a miłość dla króla łatwo się go wyrzec nie pozwalała. Ze starym Odolajem nie było żartu, króla też obrażwszy, nie można się było spodziewać przebaczenia. Sami nie wiedzieli jak radzić i co czynić, lecz na to był brat starszy i drudzy Boleszczyce, by coś postanowili. Nazajutrz, trapiąc się myślami całą drogę, do Krakowa się zbliżyli.

Gdy się Wisła i Wawel ukazał zdala, westchnął Dobrogost, wspominając na dobre i wesole dni jakie tu przeżyli i na to co się gotowało dla grodu tego i ziemi. Wjechali na zamek smutni, a czeladzi konie zdawszy, Dobrogost, który długo

nie w sobie trzymać nie lubił, pospieszył do izb które zajmowała drużyna, chcąc zaraz swoich zwołać i niezwłocznie radzić nad tem, co wieźli z sobą.

Zobaczywszy ich z powrotem, bracia i bratanki, wszystek ród, ktrego przy królu było wiele, gdyż jeden cześnikiem, drugi przy komorze, trzeci przy skarbcu był postawiony, a w drużynie też znajdowało się nie mało; poczęli się gromadzić do przybyłych, chcąc się dowiedzieć czy gdzie u swoich nie byli, i co z sobą niesli. Było bowiem zwyczajem Jastrzębi, że na swobodę się wyrwawszy, zawsze do gniazd swych, do Jakuszowic, Zborowa i innych dworów zaglądali.

Otaczać ich wszyscy poczęli kołem i pytaniami zarzucać wesoło, ale spostrzegli wnet po Dobrogosta twarzy, iż z niedobłą jakąś wieścią powracał. Do nadchodzącego Zbiluta zawołał niecierpliwie.

— W Jakuszowicach byliśmy, u starego Odolaja, mamy od niego nakaz i polecenie, niechaj się wszyscy nasi zjedzą.

Na ten głos natychmiast gromadzić się zaczęli gdzie jeszcze który był, aby dziadowskie usłyszeć słowo. Tymczasem napierano daremnie Ziemię i jego aby mówili, młodszy to na starszego zdawał, a Dobrogost póty się odzywać nie chciał, ażby wszyscy swoi się ściągnęli.

— A cóż się ze starym dzieje?—poczęli żartować niektórzy—czy się jeszcze raz nie ożenił? Zawszeli z Hyżem chodzi i Okiem, a łaje i bezcześci?

— Toć was musiał obficie obdarzyć!—zaśmiał się inny, bo to wiadoma rzecz, iż szczodry jest wielce, gdy w skórę bić każe...

— Dałże wam choć jeść?—pytał trzeci.

Na te żarciki młodzieży Dobrogost głosem silnym odpowiedział.

— Stulcieno gęby, nie nam na głowę domu wygadywać! Zobaczycie jak postarzejecie czy będziecie go warci! Milczelibyście lepiej.

Zmiarkowała młodzież, że nie wczas przedrzwiać się wzięła i zamilkli wszyscy.

Gdy już izba tak pełną była, że prawie nikogo z Jastrzębi nie brakło, a na najmłodszych co się gdzieś w kąty pozaszywali czekać nie myślano, odezwał się Dobrogost, odwracając do Ziemy, którego przy sobie postawił.

— Poświadczy on co ze mną razem był i słuchał, jako prawdę mówię. Stary Odolaj nałajał nas za to, że przy królu stojemy, i nakazał aby wszystek ród jego precz szedł ze dworu, albo nie to nas za swoich znać nie chce! Nie posłuchają—rzekł—to i na pogrzebie moim, żeby ich noga postać nie śmiała.

Naprzód milczenie długie, a potem krzyk powstał i wrzawa, pierwszy Borzywój przypadł doń bliżej.

— Toż co jest?—krzyknął—co się staremu stało? Jakże to może być?

— Ze starości mu się w głowie pomieszało—dodał drugi.

— Przez cóż i dlaczego precz iść mamy?—pytał trzeci.

— Toć to pono odgadnąć nie trudno—rzekł Dobrogost.—Widzicie co się dzieje, króla wszyscy odstępują, ziemian sobie naraził. Biskupa wypchnął precz i pogroził mu, wszyscy na niego. Chcieliby abyśmy i my opuścili pana. Łają nas, że my mu do swawoli pomagamy.

— Myśmy nie kapelani, nie spowiednicy, abyśmy mu nauki dawali—ozwał się jeden z gromady.—Drużyna pańska za naszą głowę idziemy, to nasza powinność.

— Mybyśmy go mieli teraz rzucić?—przerwał inny—dobrego czasu zażywszy z nim, gdy zły nadszedł uciekać!!

— Pewniel—zawołał gwałtownie Borzywój.—Kiedy nas w złotogłowy odziewał i sypał nam złotem,

kiedy nam z nim dobrze było, mieliśmy służyć, a w złej doli do nory. A cobyśmy naówczas byli warci? Stary z Jakuszowic oczy stracił, świata nie widzi, co mu ludzie prawią wierzy, i chce byśmy go słuchali!

Zamilkli wszyscy, szmer tylko słychać było w gromadce.

Odolaj w kącie stojący, spojrzął na Borzywoja złośliwie i szepnął półgłosem do ucha sąsiadowi.

— El el Borzywojowi bodaj od Krysty ciężejby było precz iść niż od króla.

Rozśmiali się niektórzy, Borzywój zdala mu tylko pięść pokazał.

— Będziesz ty mi przekąsywał gołowąsie!

— Prawcieno nie na śmiech a co należy—przerwał Dobrogost.—Przyniosłem wam wiernie przykazanie dziadowskie. Nieposłuchamy go? wiecie jaki człowiek z niego i co nas czeka... A cośmy wówczas warci gdy nas od pnia jak suche gałęzie odetną? chyba jak susz do pieca.

— Ja mówię tak—z kąta siedzący na ławie daleko ozwał się Bohdaszko Kaniowa—ja mówię tak. Gdybym żonie przysiągł, dochowam wiary, przysiągłbym panu wiary mu nie złamię, gdybym wróblowi na strzesze słowo dał to je strzymam, i koniec.

Drudzy szmerem to potwierdzali, część milczała, zafrasowanie widać było na wszystkich twarzach.

— Kto chce, czyja wola, niech idzie od króla za parobka do Jakuszowic—rzekł Borywój—ja nie pójdę. Dziada szanuję, ale gdybym dziś do niego wrócił i garsć słomy mi nie da, a trzeciego dnia i od miski odpędzi; ja tu ojca znalazł i z nim trwam. Były dobre dni, żyło się z nim, nastaną złe, i te przeżyć trzeba, kto śmietaną zbierał, niech i kwaśne mleko wypije.

Dobrogost targał młodą bródkę milezący.

— Ja wam powtarzam to co mi kazano, stary wszystkim ze dworu precz iść każe.

— Co ty uczynisz?—spytał Andrek.

— No, a ty?—odparł Dobrogost.

Wszyscy się wachali, jeden Borzywój powtarzał śmiało.

— Co będzie to będzie—ja z nim.

— A jak się nas wyprą swoi? — spytał Zbilut po cichu spoglądając ku niemu.

Nikt nie odpowiedział; w tem Bohdaszko z ławy poczał znowu.

— Kłaniali się i prosili, aby nas do drużyny przyjęto, król łaskaw, przygarnął, teraz inny wiatr zawiął—każą iść precz. Kto w państwie gospodarz! ja nie wiem, mnie się zdaje że król, i jego słuchać trzeba.

Nie chcąc wszystkiego głośno wypowiedzieć, Dobrogost Borzywoja wziął do kąta i dopiero mu na ucho szepnął, co od księdza doszło, że na króla klątwę rzucać miano, kogo innego na tron pozyskać i t. d.

Starszy choć się namarszczył słuchając, nie wiele to sobie znac ważył, bo wciąż głową, niedowierzając potrząsał. Dał Dobrogostowi wypowiedzieć wszystko, ale go to nie tknęło.

— Albośmy mu druhami i drużyną — rzekł — albo najemnikami. Gdy pan tonie najmit siebie ratuje nie jego, druh się rzuca w wodę za nim, choćby sam miał utonąć. Najemnikami chcecie być?—ja nie.

Moja rada, wszystko mu wyznać, nie nie tać, co on każe uczynić. Im większa groza nań, tem na nas sromota cięższa, gdy go opuścimy ze strachu. Toć ja w bitwie! Zajętych skórek byśmy warci byli, gdybyśmy uszli.

— Tyś tu starszy—ozwali się inni do Borzywoja, ty nad nami stoisz; co rzekniesz, uczynimy. — Rozkazuj, spełnim...

— Rozkazuj! — powtórzyli inni tłumnie — rozkazuj!

— W miejscu stał to rozkazanie moje — rzekł Borzywój. Pouciekali od niego z Kijowa, jedni ze strachu parobków i czeladzi, drudzy ze strachu biskupa preczby isćby mieli — a no srom na nas wszystkichby padł.

Nie — nie — ani ja ani wy tego nie zrobicie!! Niech stary Odolaj burczy na nas, dobrze mu zdala rozkazywać — posłuchać nie możemy. Niechby nas byli na dwór nieoddawali.

A teraz — dodał Borzywój oglądając się dookoła — każdy w swoją drogę, nie mamy się tu co zmawiać ani nad czem stękać. Na rady mamyż czas, jestli tu o czem radzić? Nic w szyję nie pędzi. I parobek od gospodarza nie odchodzi nocą bez opowiedzi.

Na tem się skończyło. Zaczęto się w kupki zbierać gwarząc już o czem innem, szczególnie o Jakuszowice i o dziada dopytując, bo choć z niego żartowali, każdego z nich do starego gniazda coś ciągnęło.

Wiązały ich z tym kątem tajemnicze nici co każdą istotę łączą z ziemią, która ją zrodziła i młode wypiastrowała lata. Ci co tam częściej bywali, dowiadywali się o starca, o Tytę, nawet o Hyżę i Oko; o izbicę jak teraz wyglądała, stare wały, szopy i wszystkie zakamarki starej rodzinnej siedziby. Ci co zabyli Jakuszowice, przysłuchiwali się też uważniej, ciekawi jak to tam było, i jak stuletni dziad ślepy rządził się na swem śmieciisku... Życby może z nich żaden tam nie potrafił, ale zajrzeć chciało się każdemu.

VI.

Chociaż wszystko dokoła srożyło się nań i wrzało niechęcią ku niemu, król wcale się [nie zdawał widzieć tego, ani zważać na to. Życia na włos nie zmieniał, obyczaj się swego powszedniego nie wyrzekł, i naprawdę czy dla oczów ludzkich wesół się zdawał, jakby sobie lekceważył wszystko.

Nawet po rozmowie z biskupem, która go zrazu we wściekłość wprawiła, wprędce chmurę spędził z czoła, dworowi kazał się zabawiać huczno, tak by i na zamku i poza wałami wesele słychać było, i żeby wszyscy wiedzieli, że około króla troski nie siedzą. Cześnicy i komornicy mieli przykazanie, aby dostarczali dworowi, czeladzi, drużynie, gościom, czego kolwiek zapragną.

Czasem mu się usta zcięły i czoło namarszczyło, gdy sam jeden pozostał, ale sam nie chciał być prawie nigdy, dwornię swą liczną i młodzież gromadząc około siebie. Tym kazał to się bić, to biegać, to konie ujeżdżać, to łuków próbować, i nagrody rozdawał. Gości obcych na zamku i teraz do stołów Bolesławowskich mało się zjawiało, chyba ziemianie z odleglejszych krajów, do których jeszcze o sprawach króla słuchy nie doszły.

Miejsca gości wypełniali ludzie wojenni, a z Rusi też i Węgier dosyć napływało różnego zgiełku, takich zwłaszcza co znając szczodroblivość królewską, więcej do skarbcza niż do niego ciągnęli.

Najwięcej takich bywało, co niby dary mu osobliwe przynosili, konie niebywalej szersci, zwierzęta różne, oręż misterny, za który Bolesław w dziesięciorek zawsze obdarzał, choć mu się to na nic nie zdało.

drobne kwiatki, któremi był otoczony. — Zwano go Zbilutem, a chłopak był piękny, rumiany i włos miał obfity, złocisty, który mu spadał na ramiona. — Czego się śpieszyć mamy? nie nie pędzi, a tu jak u Boga za piecem cicho i wygodnie — człek choć spocznie.

— Pewnie — odezwał się trzeci — łowy też teraz, żal się Boże, nic potem; słońce piecze jak wśród lata, zwierz chudy, skóra z niego na licha się nie zdała, darmo się ganiać po lesie.

Ten, który to mówił, Dobrogost mu było imię, do starszych należał i twarz miał zmęczoną, a wyraz jej posępny.

Pozostali nawet się nie odzywali, gdy Borzywój z pod dębu dodał:

— Na służbę do pana przecie warto pośpieszyć, aby mu tam tęskno, ani gniewno nie było, żeby którego nie zażądał...

— E! — odparł jeden z tych co milczeli, zwany Odolajem — jest komu nas zastąpić. W lesie człek trochę odetchnie, gdy na zamku we dnie i w nocy spoczynku nie ma.

— Kiedy ci się tak odpoczywać chce — przerwał dotąd milczący Ziemia — jedź doma do pana rodzica, albo do Jakuszowic do dziada — jeżeli stary ślepiec cię przyjmie — a nie było ci się zaciągać na dwór królewski. Kiedyś grzyb, to leż w kosz, o miłym spokoju niema co i prawić.

Rozśmieli się drudzy.

— To prawda — rzekł Odolaj — że u nas o pokoji ni myśleć, ni pytać, a jednakbym ci Wawelu na Jakuszowice nie mieniał, ani na Zborów... W Jakuszowicach u dziada ledwiebym się zdał ślepemu na parobka, w Zborowie ojcu na nie, a na Wawelu, u boku pana służąc, choć w pocie czoła, człowiek się czegoś kiedyś dochrapie.

Borzywój się rozśmiał niemal pogardliwie.

— A co my wiemy czego się dosłużemy i kiedy — rzekł. — Albo się dobije który bardzo wiele, albo gorzej

niż nie, boć to u nas wojna nieustanna, a co najpewniejsza w niej, to guzy. Niech Bóg da królowi panu wszycko dobre, pan dla swoich i obcych szczodry jako żaden, ale w inną godzinę srogi, zapamiętały, i tak mu łatwo dać skarb, jak głowę zdjąć.

— A no — rzekł Ziemia — królem ci jest, to mu przystało. Najgorszy bodaj taki co ni ciepły, ni zimny, bo człowiek przy nim zagnije i roześpi się. — Wojennemu rzemiosłu trzeba raz wraz jak w łaźni to ukropu, to zimnej wody.

— Pewnie — rzekł pierwszy — król musi w dłoni wszystko dzierżyć, a krzepko, gdyby cugli popuścił ludziom, rozniesliby go na cztery wiatry. A co było za Mieszka, gdy król szalał, a baba musiała rządzić?

— Jemu też na sile nie zbywa — odezwał się Borzywój. — Od Bolka Wielkiego pana u nas takiego, jako ten nie bywało... Drży przed nim co żyje i co żywe słuchać go musi...

— Oj! oj! — przerwał Zbilut — nie tak to wszyscy mu się korzą, a bardzo słuchają. Podczas gdyśmy w Kijowie gościli, dużo się wyprzęgło i wiele do roboty zostało, póki znowu się w ład wprowadzi. Ho! ho!

— Wszycko się to zrobi powoli, czekaj — dodał Borzywój — początek już jest, przyjdzie koniec.

— I ja nie wątpię — rzekł Zbilut — gdyby tylko z rycerstwem było do czynienia, z ziemianami i żonkami ich, co sobie pochulały, gdy im się na mężów czekać sprzykrzyło — dawno już koniec temu był — ale się biskup wdał... a to już bieda, kiedy z szablami trzeba pod próg kościelny, i z tym panem do boju, który ma za oręż laskę krzywą, bo jej nie odbić mieczem, a na głowie mitrę, jak królik jaki. W kościele on też królem.

Namarszczył się Borzywój i westchnął.

— Bodaj żeby i wszędzie po całej ziemi oni królami być nie chcieli, a królów za namiestników swych nie trzymali. — A no z biskupem jednym radaby może

Dla tych przybyszów rano już zastawiano stoły, a wieczorem drugie, które podczas i do późnej się nocy przeciągały, bo król szczególnie owe nocne ucztowania lubił i przy nich najlepszej był myśli.

Dnia tego gdy Dobrogost z Ziemią wrócili, Borzywój przed wieczorem wszedł do izby królewskiej. Zastał pana ze psy swymi się zabawiającego, jakby mu wcale nie nie ciążyło na myśli.

Że pora była niezwykła, popatrzał nań król, i z twarzy coś wyczytawszy odezwał się:

— Czego ci tam brak? mów, pewnie o co prosić przyszedłeś?

— Miłościwy panie—do nóg mu się skłaniając odparł Boleszycz—z łaski waszej mamy dosyć wszystkiego—nie potrzeba mi nic.

— A cóż cię tu przyznało?

— Może jakie rozkazanie mi dacie?—ozwał się Borzywój.

— Żadnego — rzekł król. — Bracia twoi powrócili?

— Wrócili, miłościwy panie.

— Co z sobą przywieźli?

Borzywój się zawahał.

— Kedyż bywali? pewnie i o jaki dwór zaczęli? co mówią?

— Albo to tam słuchać co prawią ludzie—rzekł Boleszycz. — Zajeżdżali do starego dziada naszego to zgryźliwy człek.

Rzucił król okiem bystrem.

— Praw—rzekł krótko—nie trzymaj co masz za pazuchą.

— Nic innego tam nie mówią nad to, co po Krakowie chodzi, miłościwy panie. Ludzie stękają. burczą, nigdy temu co jest nie radzi. Ziemianie skarżą, że łaski u was nie mają; a co ksiądz biskup tu szepce po cichu, tam się głośno rozlega.

— Wszystko ja to wiem—odezwał się król—i więcej może niż wy. Pewnie już tam biskupia kła-

twa i odgródki poszły między ludzi; i że Czecha na mnie chcą sprowadzić!!

Założył ręce na piersiach i uśmiechał się obojętnie.

— Prawda?—spytał milczącego Borzywoja.

— Tak ci jest—potwierdził przybyły. — Trwoga nas obejmuje, szczególnie od biskupa i kościoła...

— A ja—rzekł król—ani kościoła, ni waszego biskupa się nie boję.

Rozśmiał się pogardliwie.

— Niechże mi otwartą wojnę wypowiedzą, zobaczą, co mogą. Ale po kątach szepczą, odgrają się, zmawiają, a wystąpić nie śmieją, bo wiedzą, że gdy mnie w gniew wprawią, nie będę patrzył kto przeciw mnie stoi!

— Oni już tę wojnę wkrótce zapowiadają — szepnął Borzywój.—Biskup się z kłatwą nosi. A! miłościwy panie—dodał, do nóg się skłaniając—z biskupem jednym gdybyście zgodę chcieli uczynić, reszta nam nie będzie straszna.

Król go z niechęcią odtrącił.

— Co ty rozumiesz młokosie! — zawołał. — Patrzże na mnie czy ja się go lękam. Biskup ten poddanym mi jest jak inni ludzie tej ziemi. Ojciec jego Wielisław ziemianin był tuteczny, ojczycem jest jak wy, a nie Włochem i Francuzem. Choć i Włochy biskupi, gdy na mej ziemi siedzą, słuchać mnie muszą. Wiem że z pod mej władzy wybićby się chcieli i nademną panować!! Ale nie! nie dam im tego.

— Koło biskupa i ziemian też dosyć — rzekł Borzywój nieśmiało...

Król rozśmiał się, ramionami rzuciwszy.

— Więcej mam ludu co jest ze mną, niż tych rarogów co przeciw mnie... Żołnierzy i was stanie mi na ich poskromienie.

— Z rycerstwa dużo odpadło—odezwał się Borzywój.

— Znajdą się drudzy na ich miejsce — zawołał król dumnie.

Borzywój zamilkł, a Bolesław, którego oczy czasu rozmowy rozgorzały, popatrzał nań i śmiejąc się po ramieniu go poklepał.

— Idź i bądź spokojny — króla twojego nie łatwo kto zmoże. Niech komary brzęczą, opędzimy się im, byleśmy chcieli.

Bolesław odwrócił się, na psy swe zaświstał i zabawiając się z niemi, zdał zapominać o rozmowie.

Lecz dzień to był, w którym spoczynku mu nie dawano. Zaledwie Borzywój odszedł, gdy rusin stary podkomorzy królowej wszedł z pokłonem, opowiadając, że królowa matka i królowa pani jego, czołem biły panu, a prosiły go, aby im miłościwie dał widzieć swe oblicze.

Dosyć posępnie wysłuchawszy wezwania tego, król ręką tylko staremu dał znak żeby szedł, nie dając nawet odpowiedzi. Odwrócił się od niego i ze psy zabawiał znowu, aż nierychło przypomniawszy poselstwo matki i żony, z niechęcią jakąś ociągając się ku terenom, które obie królowe zajmowały, pociągnął opieszalym krokiem.

W drugim oddzielnem podwórzu stara Dobrogniewa, obok żony króla, wiodła życie odosobnione i ciche. W tej części zamku na pierwszy rzut oka poznać było można różnice dwu dworów i otoczenia, gdy sami niemal Rusini i rusinki, służbę obu pań składali.

Dwie królowe, z których jedna była wdową, obie niemal wdowie prowadziły życie. Rzadko się mogąc synem pocieszyć, bo ten się w terenach niewieścich mało ukazywał. Dobrogniewa wnukiem się cieszyła i synową, z którą razem Ruś swą mogła wspominać.

Królowa, żona Bolesława, ani młodą już bardzo nie była, ani piękną. Wzrostu wyniosłego, jasnych włosów, oczy zdawała się mieć jakby wypłakane,

twarz jakby zateśknioną. Smutek wielki wiał z całego jej oblicza. Chodziła zawsze prawie ubrana jednako, milcząca, w szacie jedwabiem pokrytej, z głową zawiązaną, rąbkami białymi — jakby nieprzytomna, duchem goszcząc gdzieindziej. Całą pociechą, całem jej życiem był synek jedyny, którego od boku swojego nie opuszczała na chwilę — albo ona, albo stara Dobrogniewa były z nim ciągle, otaczając go troskliwością nieustanną. Dziecię chowało się tak pieściotliwie, osłaniane od wszelkiego wpływu męskiego, tak że mu na ojcowskie zabawy, dwór, biesiady patrzeć prawie nie dopuszczano. Gdy się czasem Bolesław upomniął o Mieszka, stawała w obronie słabego wychowanka babka Dobrogniewa, padała do nóg panu Wielisława, błagając, aby go im jeszcze rok tylko, jeszcze pół roku, jeszcze choć krótko zostawił, bo dziecko słabe było, bojaźliwe i nieśmiałe.

Chłopak też w istocie w obec ojca szczególnieźliwie się stawiał; z twarzy piękny był, błydy, tęskny od matki i babki przejętymi smutkami, a na twarzy jakaś przedwczesna dojrzałość roztropna, wczesny skon zdawała się zapowiadać, w cieple macierzyńskich uścisków rozwiniętemu kwiatkowi.

Tu w tych „teremach“ dwóch królowych, ciche tylko słychać było śpiewy, pobożne pieśni, stare basnie o dalekich krajach, życie płynęło jednostajnie spokojnie. Jak u króla huczno zawsze bywało i hałaśliwie, tak tu milcząco a cicho.

Z chmurą na czole pomarszczonem i wejrzeniem wstrętu i odrazy wkroczył król do dworca żony, która, jak go tylko zobaczyła idącego zdaleka w podwórzu swoim, wyszła z izby, wiodąc syna za rękę i stanęła w sieni pokornie, aby go powitać. Bolesław szedł milczący, a zbliżywszy się i ujrawszy ją kłaniającą mu się do nóg, a dziecko ciskające się po ukłonie do ręki, ledwie okiem roztargnionem rzucił na oboje i wszedł do świetlicy.

Tu w progu nań z pokłonem oczekiwała matka stara, ku której zbliżył się z poszanowaniem. Dobrogniewa niespokojnem obejmowała go wejrzeniem, chciała wyczytać z twarzy jego troski, wywołać słowo, lecz król ledwie ciche pozdrowienie wyszepnął. Stara pytać go inaczej jak oczyma nie śmiała.

Niewieścia pokora nie dopuszczała naówczas nawet matkom, zbytniej z dziećmi poufałości.

Izba do której wszedł król, a za nim żona i syn, pachniała kwieciami i ziołami rozsypanymi po podłogach, przyozdobiona była bogato, obraz grecki złożony wisiał w rogu jej, z lampą przed nim zawieszoną. W mieszkaniu tem odbijało się życie i obyczaj tej co je zajmowała. Wszystko tu stało w wzorowym porządku, w miejscu oznaczonem, nie nie zamącało ładu, jaki spokojowi żywota niemal klasztornego, był potrzebny. Nawet jedwabne kłębuszki na krosnach rzędami poukładane, nie śmiały się na bok odczyć. Naczynia, sprzęty, opony, miały postać skromną, posłuszną i zamarłą. Nie potarganego, rzuconego, zapomnianego nie wabiło oka, wszystko było w zgodzie z sobą i jak dla siebie stworzone. Twarz też i postać królowej zdała się wyrosła z tego tła ciszy, na którym się małowała, z bladym swojego smutku wyrazem.

W izbie tej tylko modlić się, pracować i tęsknić było można, wesół śmiech byłby w niej świętokradzkim, jak w kościele.

Gdy weszli, królowa matka ujęła Mieszka, ucałowała go, szepnęła mu coś i wywiodła go za oponę do bocznej komory. Chłopak posłuszny, choć wejrzeniem bojaźliwym a ciekawem zwracał się ku ojcu, dał się skryć i zniknął. Babka w pewnem oddaleniu pozostała jakby na straży, z oka nie spuszczać Bolesława. Oblicze miała stwożone i ręce się jej mimowolnie jak do modlitwy składały.

W chwili, gdy Mieszko wyszedł, królowa Wieli-

sława z trwogą spojrzawszy w oczy panu swemu, upadła mu do nóg — Bolesław jakby znecierpliwiony cofnął się krok. Ręce białe, wychudłe wyciągnęła ku niemu królowa, usiłując objąć stopy, i podniosłszy głowę, mówiła cicho:

— Miłościwy panie a królu — choć słabą jestem niewiastą, racz mnie posłuchać: Tyś panem mocnym, wszystkowladnym — ja ubogą sługą twoją...

Stara Dobrogniewa słuchała z twarzą zwróconą ku synowi.

— Co chcecie? — przerwał król głosem dosyć ostrym — mówcie...

— Mam was, miłościwy panie, prosić o łaskę wielką — ciągnęła dalej Wielisława, podnosząc się zwolna i stając przed nim w postaci pokornej, z rękami założonemi na piersiach. — Al królu, trwoga aż tu doszła do cichego teremu! Bojemy się o ciebie! Biskupi i kapłani zagniewani są, rycerstwo odstępuje, pogroźki się rozlegają — strach ogarnia serce nasze; płacze matka twoja, ja lży leje, bojemy się o głowę twą i o losy dziecka twojego... Królu z kosciołem pokój uczynicie.

W tem przystąpiła stara Dobrogniewa i po ramieniu zlekka głaszcząc syna, złamanym, płaczącym głosem dodała:

— Bolku, panie mój, dziecko moje... Boga bój się — sługi jego szanuj, nie gub duszy i ciała!

Król ramionami dźwignął niecierpliwie i śmiał się, ale dziko i straszno.

— Co wy baśni babskich w terenie słuchacie? — rzekł — czyż nie wiecie, że siłę miałem i mam, że mi żaden nieprzyjaciół nie był straszny i nikogo się nie lękam. Spijcie, módlcie się i śpiwajcie sobie spokojnie, kołyszcie synaczka, zabawiajcie go, a mnie zostawcie troskę o naszą dolę. Popów i ziemian, gdy będzie trzeba, rozumu nauczę...

Stara Dobrogniewa ze strachu plasnęła w ręce

i załamała je, spojrzała na obraz Bogarodzicy w kącie, jakby jej opieki na pomoc wzywała, lecz synowi się już sprzeciwić nie śmiała.

Wielisława okazała się mężniej — czuła; że stawiała w obronie losów dziecka swojego.

— Miłościwy królu! Z biskupem wojna, to wojna z Bogiem. Ulituj się nad sobą i nami! Gdzie wojska potrzeba i męztwa, tam wy silniejsi nad wszystkich mocarzy, tam wy niezwyciężeni — a przeciw nim...

Dobrogniewa położyła mu znów rękę na ramieniu i szepnęła jedno słowo tylko po rusku:

— Zmiłuj się! zmiłuj!

Król się poruszyć wcale nie dał, usta mu drgały przymuszonym śmiechem, a czoło się fałdowało,

— Ej, matuszko kochana — odezwał się naprzód do starej Dobrogniewy niby wesoło — coby na was dziś przyszły za strachy! Każcie sobie dziewczkom stare pieśni śpiewać, aby wam serce urosło!

Zwrócił się tedy do Wielisławy:

— Nie trujcie sobie spokoju marnemi baśniami, a chowajcie zdrowo syna, aby mi mężniej rósł na wojaka nie na babę. Szyjcie w krosnach złotem, a o mnie się nie troskajcie! Pomnijcie, że jakom żyw, nikt mnie nie zmógł nigdy, a ja zmogłem wielu, i boją się mnie wszyscy. Kto się mnie nie lęka dziś, ten się zleknie jutro...

Królowa spojrzała nań oczyma błagającemi, lecz surowy wzrok jego zamknął jej usta. Dobrogniewa też głowę spuściwszy, stała jakby z rozpaczywszy zadumana głęboko.

Król począł się po izbie przechadzać milczący, oczy obu niewiast goniły za nim, ale odezwać się żadna z nich nie śmiała. Z głową pochyloną, poprawiwszy swoich rąbków, tak, aby jej oczy, a może łzy co z nich biegły, zakryły — stały Wielisława pokorna jak pierwsza służebnica swego pana: stara Dobrogniewa

wa śmieiej nieco spoglądała ku niemu, lecz i dla niej był on więcej królem niż dziecięciem.

Bolesław zbliżył się ku niej z zapytaniem czy nie potrzebowała czego, czy ludzie byli posłuszni, czy posługi nie brakło, czy miała pozdrowienie od swoich? Z czułością ręce ku niemu wyciągnawszy dziękowała staruszka i poczęła go błogosławić, ale łzy jej przerwały mowę. W tej chwili przez uchyloną nieco zasłonę wyjrzał Mieszek, na którego babka skinęła i wbiegł chłopak, stając przy niej na oczach ojca.

Bolesław spojrzał nań, rękę, po którą dziecię sięgnęło, dał do pocałowania i zabrał się do wyjścia. U drzwi zęgnęła go pokłonami królowa i przeprowadzała długo oczyma smutnemi.

Szybkim krokiem wybiegł Bolesław z niewieścich teremów, w których mu ciężko było oddychać; lecz dzień to był, co mu nie dawał chwili spokoju. Na drugim podwórzu, do którego furty pacholę mu otwarło, ujrzał orszak przybyłych, na widok którego zatrzymał się, nie okazując wcale, by mu był miłym.

Skromnie odziany dwór otaczał właśnie z konia zsiadającego mężczyznę młodego jeszcze, którego twarz, acz braterskie z królewską miała podobieństwo, różniła się od niej wyrazem skromności, łagodności i pokory niemal lekliwej.

Gościem tym był Władysław Herman, młodszy brat Bolesława. Poznał go zdala król i nie mógł się wstrzymać od ruchu, który niecierpliwość i prawie niechęć oznaczał.

Rzadko, bo też dwu rodzonych braci mniej z charakteru do siebie bywa podobnych. Na twarzy Bolesława malowała się duma szczęśliwego zwycięzcy, na Władysławie potulna dobroć i bojaźliwość. Władysław nad miarę pobożnym był, rycerskiego ducha mało miał w sobie, spokój miłował, ludzi się lękał, a dla brata miał razem i cześć wielką i obawę niezierną, znając gwałtowny jego charakter. Bolesław

brata sobie lekceważył, czasem się z jego trwożliwości i pokory wyśmiewał, i niekoniecznie rad mu był na swym dworze, bo Władysław do jego obyczajów i wrzawy co go otaczała nie umiał, a raczej nie mógł się zastosować.

Niespodziewane zjawienie się Władysława, którego król nie oczekiwał, zaniepokoiło go i chmurę widoczniejszą jeszcze na twarz ściągnęło. Wiedział, że nie przybywał z próżnym pokłonem, ale pewnie w jakiejś sprawie, a znając jego pobożność i uległość duchowieństwu, przeczuwał już co mu przynosił. Wszelki doradca był mu nie miłym, wszelka rada go obrażała i jętrzyła. Gniewny niemal wystąpił naprzeciw gościa. Na widok króla zdala zdjawszy szлык z głowy, Władysław szedł ku niemu pokornie, jak ku panu a starszemu bratu. Powitali się z sobą w przedsienu, a ze zbliżenia się widać było, iż stosunek co ich łączył, braterskim wcale nie był. Władysław trwożliwie stał przed nim. Bolesław obchodził się z nim po królewsku.

— Rad wam jestem — rzekł król, zmuszając się do wesołości — pustki u mnie na dworze, przynajmniej ty i ludzie twoi trochę mi gwaru przynieście. Przybyłeś w dobrą porę, będziemy dobrej myśli zażywać.

Władysław zdziwiony tą wesołością, której się nie spodziewał, oczy w niego wlepił ciekawe, niedowierzające. Król tymczasem żywo się zawróciwszy prowadził go za sobą nie do sypialni, ale do komnaty królewskiej (w której biskupa przyjmował) i tu go na poczesnym miejscu posadził. Jawnem dlań było, że Władysław o wszystkim wiedzieć musiał, uląkł się i jechał z prośbami, aby gniewy i niechęci załagodzić. Wolał więc odrazu sam zagać sprawę i niedać się nad nią bratu rozwodzić.

— Widzisz — rzekł — pusto u mnie! Rozpierzchło się co było tchórzów i zdrajców, których karcić mu-

siałem, a ci na mnie klechów spuścili z łańcucha, i biskupi ujadają za mną, jak za dzikiem w lesie. Będą łowy nie lada! Rozśmiał się.

— Nie próbowali kłów moich! — dodał.

Władysław milczał, okazując twogę na twarzy, zmieszało go to nagłe rozpoczęcie rozmowy.

Spojrzał nań król.

— Cóż ty na to? bracie?

— Ja? — spytał cicho Władysław — ja? ty znasz mnie! wolałbym żeby i łowów nie było i kły się nie potrzebowały ostrzeć.

— Ty babą byłeś i jesteś — przerwał Bolesław. — Z ludźmi głaszcząc nie się nie robi, chłostać ich trzeba, żeby niemi orać!

Podniósł pięść do góry i oczy mu zaświeciły.

— Panuje się siłą a nie prośbą! — dodał.

— Duchowieństwo! — westchnął Władysław — to gorzej niż wojsko najpotężniejsze... Sam cesarz musi mu ulegać! Inna rzecz z poddanymi. Jesteś królem koronowanym, masz władzę, możesz karać najsurowiej tych, co ci przewinili — ale — duchowni! biskupi! a! bracie mój!

To mówiąc, złożył ręce i zamilkł nagle. Bolesław przystąpił doń, po ramieniu go uderzył, usta mu się wydeły pogardliwie — śmiać się począł.

— Duchowni są moimi poddanymi jak inni — zawołał król. Dwóch panów na jednej ziemi rządzić nie może, jak dwa wilej się zajedzą.

Władysław umilkł znowu, złożył ręce, wzdychał. Król powiedziawszy te słowa, czekał, aby się odezwał i stał przed nim z wyzywającą, szyderską twarzą.

— Królu mój a bracie kochany — odezwał się w końcu Władysław — mnie o ciebie niewysłowna ogarnia trwoga... Wiesz jaki los spotkał cesarza i jak o przebaczenie błagać musiał, ten sam grozi tobie.

— Przecież ja nie z papieżem, co jest głową

chrześcijaństwa mam do czynienia—rzekł Bolesław—ale z jednym klechą, co się tu na tej ziemi urodził i poddanym jest moim jako i drudzy.

— Mylisz się — odparł Władysław łagodnie — księża choćby się rodzili na tej ziemi, nie są poddanymi twoimi, ani ojczykami tutejszymi, są poddanymi papieżowi i Rzymowi. Wprzódki winni posłuszeństwo swemu panu niż tobie. Tkniesz ich tylko, naówczas co jest księży po szerokim świecie, wszyscy powstaną przeciw tobie, przeciw nam. W każdym biskupie papież jest, bo z nich każdy od niego ma daną władzę i poselstwo.

Bolesław roztargniony słuchał, nie wiele bacząc na te słowa.

— Mówiłem ci—dodał silnie—dwu wilków w jednej kniei się nie godzą, zażreć się muszą! Kto na mojej ziemi mieszka, ten mnie słucha, kto mi się oprze—temu leć spadnie.

Władysław zadrżał słysząc to i uszy rękami osłonił, jakby się samych uląkł wyrazów.

Król począł chodzić po izbie i mówił jakby sam do siebie.

— Grożę, że mi zamkną drzwi kościoła? Biada temu co to będzie śmiać uczynić, i do walki mnie wyzywać!—Nigdy ja od bitwy żadnej nie uciekał, ani się uląkł, ani pierzchnął—nie cofnę się i teraz. Biskup zdrajcą jest! — Przeciw panu swemu ukoronowanemu zjawia się z Czechami i wykławszy mnie, na tron ich chce prowadzić—już za to śmierci godzien...

Władysław gwałtowną mową strwożony, przybity, ze spuszczoną głową, jak człowiek przywiedziony do rozpacz, pogrążony siedział, z oczów mu łzy płynęły. Widział, że ani on, ani w świecie nikt Bolesława powstrzymać nie potrafi; następstwa tej walki stawiały mu się w myśli z całą swą okropnością. Bolesław spojrzawszy nań, jakby litość miał nad słabym, natychmiast zmienił ton mowy, zaczął się

się śmiać, i za oba biorąc go ramiona, strząsnął nim z całej siły.

— Niekwap się ze łzami gdy ja się śmieję! — zawołał. Ani ci o tem myśleć, ni tem sobie serce psować... Lich niech porwie wszystkich klechów i zdrajców!

Nie dbam o nich wszystkich, dopóki żelaza kawałek w dłoni mam, i kupkę druhów koło siebie.

— Choćmy wieszczyć i weselić się.

Władysław wstał strwożony.

— Bracie!—Począł, za rękę go chwytając.

— Wszystkoś już powiedział co ci trzeba było — zagrmiał król. — Dość tego, chybabyś nie chciał mówić o jakiej pięknej niewieście, coby od mojej Krysty, i od twojej Hanny piękniejsza jeszcze była.

Zarumienił się Władysław, a Król dzikim ale hałaśliwym śmiechem się odezwał. Nie można już z nim rozprawiać było.

— Ani mi się waży więcej mówić o tem — dodał Bolesław, ciągnąc bladego i wylękłego do wielkiej izby, w której cały dwór świetny i drużyna, przy zastawionych czekała stołach.

Przepych i obyczaj przypomniawszy dwór Bolesława Chrobrego, którego pamięć cenił jego imiennik. Na cześć przybyłego królewskiego brata, wszyscy urzędnicy poprzywdziwiali szaty swe najpiękniejsze, najkosztowniejsze pasy, łańcuchy, szyki i szuby. — Błyszczały na niektórych zbroje i u boku każdego miecz. Pięknie dobrana młodzież ze śmiejącami się twarzami, rażna i wesoła, pacholęta w jedwabie strojne, wojacy, czeladź nawet poprzybierana wykwiłtnie, dwór czynili nad wyraz wspaniałym. Ze skarbcza też dobrane naczynia złote załagały stoły, a dostatek jadła był niezmierny. Wszystko aż do gromady psów tłustych, z szerszą lśniącą, która też na ucztę czekała, świadczyło o bogactwie i potędze pana.

A że z Rusią, Grecyją, z Węgrami i Niemcami stosunki były mnogie, w strojach i uzbrojeniach widać było obyczaj różnych narodów. Dnia tego nie ukazały się wcale niewiasty, bo królowa stara i młoda przychodziła rzadko, a bez nich i inne wstydziły się lub obawiały zasiąść do stołów, gdyż i król i dwór jego, zbyt sobie swobodnie poczynął z niemi. Tych tylko kwiatów brakło do ubrania stołów królewskich.

Władysław usiadł przy bracie, pokorny, strwożony, z oczyma spuszczone, wszystkich bić musiała w oczy ta między dwu rodzonemi braćmi różnica.

Siedzieli przy stole prawie milezący, rzadko cichym słowem odzywając. Król o psach, sokolach, łowach i o płochych rzeczach zagadywał, śmiejąc się i rozglądając dokoła. Władysław mało co w usta wzięwszy, pochmurny, odpowiadał tylko na pytania.

Po krótkim posiedzeniu, nagle król kazał sobie podać misę, wodę i ręczniki, obmył ręce i pozostawiając brata ze swym dworem, wstał. Wyszedł sam na podwórcę zamkowe.

Mrok już był i cisza panowała wieczorna.—Zobaczywszy że kilku Boleszczyców wyszło za nim, król ich ręką nazad do izby odprawił.

Domyslili się że do Krysty szedł pewnie, i tak było w istocie.

U węgła dworca dwu ludzi czekało na jego skinienie—król im dał znak, a sam krokiem powolnym skierował się do dworca Krystyny.

Gdy król nadchodził, siedziała jeszcze pani z Bużenina w oknie otwartem, kwiatek trzymając w ręku, smutna i zapłakana. Postrzegłszy go krzyknęła jak przebudzona i do drzwi przeciw niemu biegła.

Bolesław wszedł, tak chmurny jak u stołu sie-

dział, podbiegającą ku sobie pochwycił w pól, do góry uniósł, w silnych dłoniach, pocałował w schyloną ku sobie głowę, i miejsce wskazał na ławie przy sobie.

Nie była to zwykła ława na której siadali, u drzwi komory. Krysta tam gdzie było większe i szersze siedzenie prowadzić go chciała, ale się jej oparł, obrał dziś miejsce naprzeciw wnijścia do komory; musiała być posłuszną.

— Cóż z tobą królowo moja?—zapytał.

— Co z panem: królem moim?

— O! Pan, gniewa się i sroży... Miecz mu w pochwach rdzewieje—bić się czas! Dłoń drętwieje, męstwo słabnie... Wojny trzeba.

— A! a! wojny! — westchnęła trwożliwie tuląc się Krysta.

— Bez wojny życia niemal!—mówił król. Myszmy wojaacy, jak się nie bijem to gnijem.

To mówiąc i szelest słaby usłyszawszy w komorze sąsiedniej, której drzwi uchyliły się nieznacznie — objął Krystę w pól, a białe jej ręce na szyi króla zawisły. Głowę położyła na ramieniu i pieknym, śpiewnym głosem poczęła.

— Pan mój wzdycha tylko do wojny — co my wówczas bez niego poczniemy! Chyba z królem iść na wojnę. Na wojnie pan nowe sobie kochanki zdobędzie, a o starych zapomni.

— Ej! wy jeszcze prędzej o nas — byleśmy za wrotami byli — począł król. Kto was zna i wie? Albo bym ja ręczył, że wy teraz jeszcze nie dumać o swoim Mściśławie.

— A! królu, panie!—krzyknęła Krysta głośno—ja, o nim! toć mnie za jego siłą mocą wydali! a czem on dla mnie był, chyba strachem! Jak go wspomnę jeszcze po mnie dreszcz przechodzi.

— A ludzie wciąż donoszą i gadają, że Krysta za mężem płacze.

— Ja? za nim! bodaj tak świat widzieli! zawołała Krysta — i plunęła gniewnie na podłogę.

Niewidziała że przed chwilą z cicha się drzwi komory otwały, a w nich przez dwóch parobków silnych trzymany i powrozami związany, stał mąż jej, Mściśław wszystko widział, słuchał wszystkiego.

Tak król chciał.

Biedny człek odziany był jeszcze w tę samą prostą sukmanę, w jakiej go wzięto, w brudnej ciemnicy zwała się ona i zszarzała.

Włosy miał słomy z barłogu pełne, twarz czarną i osmoloną, oczy w niej tylko świeciły straszne... Słuchał wyroku na siebie nie wydawszy jęku.

Krysta spostrzegłszy go teraz dopiero, domyśliła się, poznała, i przerażona, z krzykiem rzuciła się do króla, obejmując go, jakby u niego szukała opieki.

Bolesław śmiał się z wyrządzonej psoty...

— Patrzże! — krzyknął do Mściśława — nie masz się po co niewiernej żony dobijać. Słyszałeś co mówił! Kazałem cię tu przywlec abys sam patrzył i słyszał.

Idźże teraz precz w świat, z moich oczów, a nie musz mnie bym się krwią twoją zmazał. Ślepie ci nawet zostawiam, abys powodyra nie potrzebował.

Mściśław stał jak osłupiały — kilka razy się targnął, jakby ludziom trzymającym go wyrwać się starał, ale silni pachołkowie z miejsca mu się ruszyć nie dali.

Krysta pobiegła skryć się do kąta. Zakryła oczy i drżąc płakała ze strachu.

Wolnym krokiem król oczyma go mierząc zaglądawszy zbliżył się do więźnia.

— Idź na skrócenie karku — rzekł — idź a nie pokazuj mi się na oczy. Idź. — Wiesz, że tu powracać nie masz po co. Życieś mi winien, mogłem ci je wziąć, niktby za tobą nie rzekł słowa. — Daruję ci je, bo robaków nie duszę...

Precz!

Skinął na pachołków.

— Za bramę go wywieść i wyrzucić! — krzyknął. — Stróżom go dobrze pokazać, niech mu w ślepie zajrzą, jeżeli się do zamku na staję zbliżyć ośmieli, niech go jak psa zabiją.

Odwrocił się król. Pachołkowie już go ciągnęli za drzwi, wlekli przez sien, na podwórze. Gniewem, boleścią, więzieniem i głodem osłabły Mściśław, choć mu usta drżały, słowa wymówić nie mógł, nie miał siły się opierać. — Niewierność Krysty była dlań ciosem śmiertelnym, sam widział, słyszał z ust jej czem był dla niej — widział, słyszał i uwierzyć nie mógł, nie chciał.

Zaledwie był w dziedzińcu, gdy szła ten co go do płochy niewiasty wziął, już kłam zadał oczom i uszom. Mściśław mówił sobie iż Krysta umyślnie miłość oświadczyła królowi, aby jemu ocalić życie!

Trudno, niepodobna mu się jej wyrzec było. Myśl ta wróciła mu siły...

Nie szczędząc razów i popychania pachołkowie najgrawając się ciągnęli go ku wrotom. Pokrzykiwali, śmieli się, pokazywali go przechodzącym, powtarzali groźby pana, dodając do nich bezkarnie, bo Mściśław związane miał ręce, kułaki i kije.

Tłum zbierał się około niego, gromadą wiedli go tak aż do wrót, gdzie wstrzymali się u straży, aby dłużej znęcać się nad pastwą swoją.

Mściśław stał jak martwy, jakby nie czuł nic i nie słyszał — zdrętwiały był na wszystko. Krysta jeszcze stała mu w oczach i król ten bezlitosny, dziki, któremu, choć mu życie był winien, zemstę poprzysięgał. — Nierychło, gdy bezwładnym człkiem, co nie dawał nawet znaku gniewu ni bólu, gawiedź się dość nabawiła, nie rozwiązując mu rąk pchnięto go precz za wrota na drogę.

Mściśław puszczonej padł zrazu, nie mając siły ni

woli ruszyć się z miejsca. Ciemna noc już była, zdala od zamku dochodziły jeszcze śpiewy i odgłosy uczujących, gdy Mściśław wreszcie podniósł się z ziemi, zachwiał i z trudnością wlec się zaczął ku przedmiesciu. Związane ręce, w które się sznury wjadły, sprawiały mu boleść i ruch utrudniały, więzienne leżenie nogi pokureczyło, wilgoć i powietrze zgniłe osłabiły. Niepознаwał sam siebie. Pijany był bólem i gorączką. — Przed oczyma jego przesuwał się jeszcze król i Krysta i straszne ciemności więzienia, w którym był zamknięty jak w grobie.

Na drodze zamkowej pusto było, na przedmiesciach też światła już pogasły i ludzie się po chatach pochowali. Szczekanie psów tylko słychać było zdala, i wycie. Zataczając się, opierając o płoty, wypoczywając zszedł Mściśław aż do stóp góry. Dokąd dalej iść miał sam nie wiedział, nie wiedział nawet czy było po co do Bużenina powracać, bo i tam królewscy ludzie już może gospodarowali.

Sam nie wiedząc jak, bezmyślnie, dowlóknął się aż do domku u kościołka na Skałce, w którym biskup, królewskiego sąsiedztwa unikając, przebywał. Świeciło tu w jednym oknie przez szpary okiennicy, do koła panowała cisza.

Do progu się powlókłszy, legł na nim Mściśław, ale padając o drzwi uderzył, które zadrżały i jęknęły. Kroki pospieszne dały się słyszeć ze wnętrza; drzwi odryglowywano.

Młody człowiek w sukni kleryka, ukazał się w nich ze światłem w ręku, i począł przypatrywać się leżącemu, którego wziął za upokojonego włóczęgę. Dopiero ręce związane sznurem ujrzawszy, krzyknął, ukląkł przy nim, i widząc osłabłego, więzy jego co prędzej rozplątywać zaczął.

Mściśław miał zaledwie siłę wymówić — Biskup! — i nazwisko swe, gdy padł omdlały, głową o twarde progu kamienie.

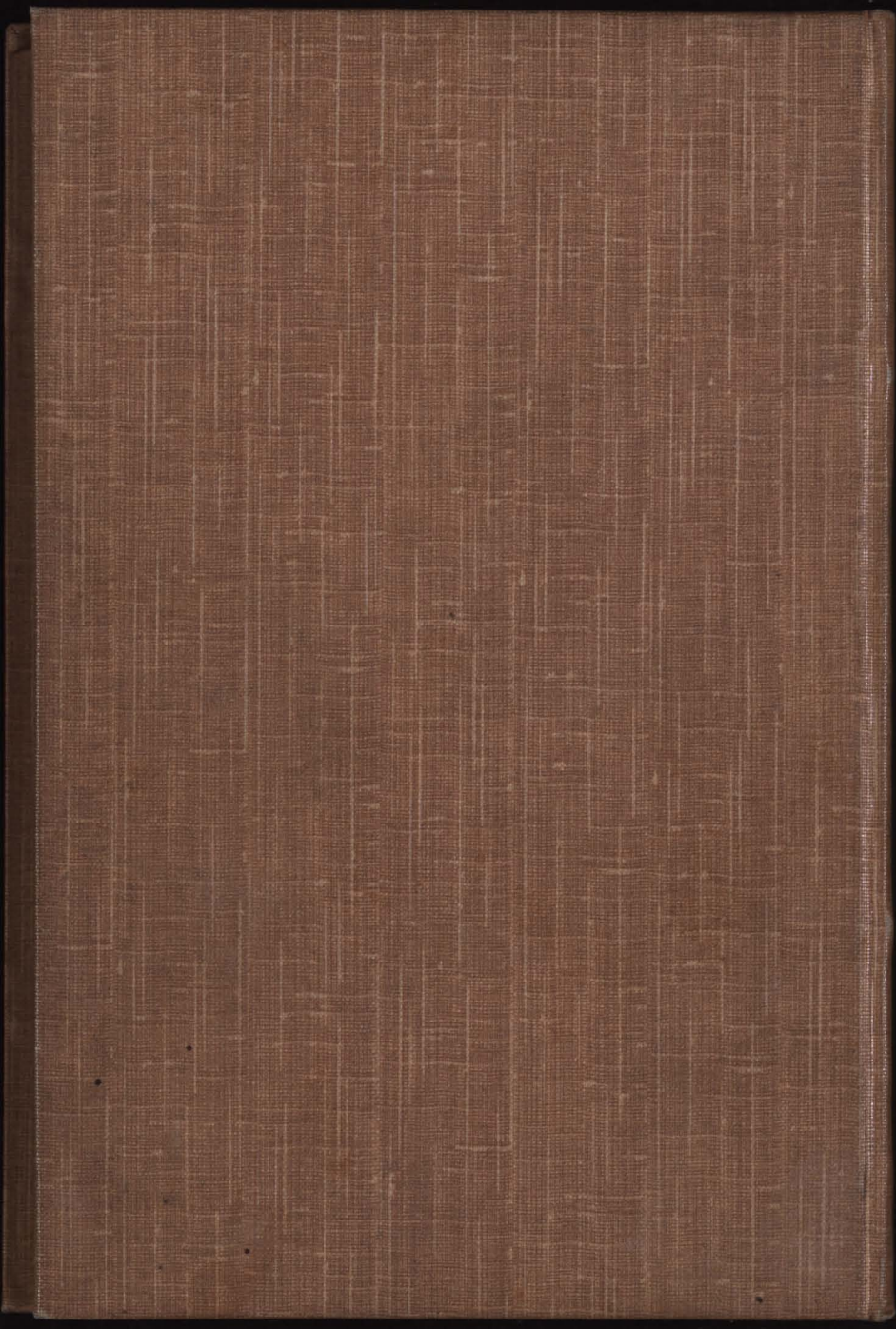
Zbiegła się natychmiast cała służba biskupia, a że nazwisko z ust do ust chodziło, a znanem było wszystkim, wzięto go, podniesiono, oznajmiono o nim biskupowi, który nie spał jeszcze.

Znalazł się kubek wody co go orzeźwił, i Mściśław odzyskawszy przytomność, z pomocą ludzi mógł wniknąć do izby, na której progu stojący oczekiwał nań ręce wyciągając ku nieszczęśliwemu, gospodarz.

— Chodź, dziecię moje, niech cię przytulę i orzeźwię — Bogu niech będzie chwała, iż z życiem uszedłeś!!

KONIEC TOMU I-GO.

Muzeum
JIK
ROMANOWIE
264



łaciejsza była—mówił Dobrogost — choć i to człek twardy i uparty; gorzej, bo poza nim stoi dużo władków i rycerstwa, którzy wolą księdza w rękę całować, niż królowi się pokłonić... Tym w gębie wędzidło nie smakuje, jużci im lepiej z rąk biskupów panować, niż królewskie spełniać rozkazanie...

— Kiedys też z nimi się przyjdzie rozprawić—rzekł Ziemia—do tego się gotuje i musi dojść. Próżno ich biskup zasłania... a i z tym biskupem.

Rozmowa ta chmurami twarze powlokła.

— Co tam o tem naprzód prawić!—odezwał się po chwili Borzywój, napół ziewając. — Kto wie, co się stać może; my jedno znać powinniśmy. Wszyscy, jako tu stojemy, Boleszczyce jesteśmy. Przeważano nas tak, drużynę pańską, jakby na urągowsko, dlatego, że przy królu Bolesławie stoimy; my się chwalimy tem imieniem, żeśmy Boleszczyce, prawi słudzy jego! Znajmyż to, że gdy skinie, my za nim w ogień, czy w wodę!

— W ogień i wodę!—zawołali wszyscy.

A Zbilut dodał, śmiejąc się:

— A jak na biskupa skinie!

— To co? — odparł Borzywój — my swej woli nie mamy, tylko jego: ja pójdę, kędy powie.

Drudzy zamilczeli, patrząc po sobie.

— El!—cicho przebaknął Ziemia—gdyby się jednak z biskupem mir złożył, lepiejby było bodaj księdza nie zaczepiać. Mają oni takie siły i moc, której żaden król niema. Prawda, że król żelazny i mężny, ano i ten twardy, kamienny, bo czuje po za sobą nietylko władków, ale anioły i świętych!

— O świętych i aniołach co my tam wiemy, prości ludzie!—rzekł Borzywój—dosyć tego, że ma za sobą duchowieństwo i biskupów naszych, i tych, co w Rzymie są i gdzieindziej. Wszyscy się oni za ręce trzymają. Nawet proboszcze, którym teraz żenić się zakazują, muszą iść jak żołnierze posłuszni.

— To co—odparł Zbilut — przecie ich tam lik

nie tak straszny, a ludzie do boju nie wprawni. Ja mówię, przyjsz do tego musi, że się z nimi wyrąbać będzie trzeba. I czem prędzej, tem lepiej. Cóż to jest? król, co na Rusi zwycięzcą jest, na Węgrzech panem, wszędzie gdzie doszedł, rozkazywał, żeby w domu panem nie był? Zasię!

— Czeka!—rozśmiał się Borzywój.—Nie znasz chyba Bolka; będzie on i w domu panem, byle czas miał... Myśmy od początku jego panowania gości w domu, nie było czasu rozpatrzyć. Królowa, albo namiestnicy siły nie mieli, wszystko się rozlazło i rozpuściło... Teraz, gdy król sam na swoich śmieciach, zrobimy porządek, zrobimy!

Zbilut w żart to obrócił.

— Naprzód około żonek trzeba zrobić porządek... niech nam król zda to na ręce...

— Cha! cha!—rozśmiał się Ziemia — tobyś naprzód poszedł ład zaprowadzić u Krysty, u samego króla, ty jakiś!

— Ano, jeszczeby się tu kto znalazł może, co by się tego samego podjął! — mruknął Borzywój. — Tymczasem cień się długi wyciągnął, do koni!

— Do koni!

Wszyscy zwolna ze swych legowisk się ruszając poczęli, skinawszy na ludzi, którzy zrywali się szybko biegnąc na łękę, gdy odjazdu znak dano, a psy za nimi pobiegły, wesoło się przeganiając, aby pasące się pochwycić wierzchowce. Te, choć popęta ne, uciekać nie mogły, rwały się i skakały.

W milczeniu młodzież przypasywała mieczyki. Każdy broń swą rozpoznając brał z kupy, głowę nakrywał, kaftan zapinał. Niektórzy kubki dopijając, chowali je do worków u pasa.

Gotowano się tak do odjazdu, gdy po drodze, co nieopodal wybita szeroko szła lasem ku Krakowu, zatętniało zdaleka. Wszystkich oczy zwróciły się w tę stronę, z kąd głos przychodził, schylając się, aby pod gałęziami zobaczyć przybywających. Liście

jeszcze nie puściły były wszystkie, więc z za nich drogę dobrze widać było.

Milczeli, pośpieszając przypasywać miecze i łuki mieć w pogotowiu, choć żadnego nieprzyjaciela obawiać się nie mieli powodu.

Tentent zbliżając się, poczynął mieszać z gwarą rozmową kilku jezdnych...

Borzywój, który naprzód najdalej się wysunął, dał znak ręką braciom, i obróciwszy się, szepnął ku nim:

— Mścislaw z Bużenina!

To mówiąc, rozśmiał się szydersko.

— Czyby go nie pozdrowić, boć to zasłużony człek!—złośliwie, z przekąsem rzekł Zbilut do braci.

— Od nas, Boleszczyców, poznałby się na drwinach!—odezwał się drugi. — Dać mu pokój. Ma on i bez tego zgryzoty dość.

Wszyscy ciekawie zaglądali, chcąc się przypatrzyć zapowiedzianemu.

Droga szła tak blisko od ognia i miejsca, na którym stali Boleszczycy, iż pominąć ich, nie widząc—nie było podobna.

Wszyscy jeszcze podsunęli się o kilka kroków naprzód i stanęli niemal wyzywająco. W boki się pobrali, twarze nastroili butno i szydersko, czapki pokładli na głowy, przewiesiwszy je na ucho. Strasznie zaczępnie i zwadliwie im z oczów patrzyło.

Wtem na drodze orszak jezdnych się pokazał. Przodem ich jechało trzech; rycerz lekko zbrojny, ciemnych, siwiejących już nieco włosów, twarzy rozgniewanej, pochmurnej, smutnej,—mąż w czerni, wyglądający na kapłana, i młode pacholę, wesołe, zręczne, z wesołemi oczyma.

Za nimi szło ludzi zbrojnych sześciu, wiozących broń i w sakwach zapasy podróżne.

Ten, który się dowodzić zdawał, nazwany Mścislawem z Bużenina, choć wyraz jego rysów gniewny stan duszy malował, w innych ludziach obudziłby ra-

czej politowanie niż szyderstwo, tak z oczów i czoła głęboki w nim panował smutek.

Gdy nadjeżdżającym pokazali się ci, co nad drogą stali, zachnął się nieco Mścislaw, brwi zmarszczył, usta mu się zatrzęsły, ręka zdawała się szukać czegoś; oczyma powiódł po ludziach swych, ale wnet, jakby ochłonawszy, koniowi popuścił cugli, uderzył go, pośpieszał. Mijając wszakże Boleszczyców, wejrzenie groźne, śmiałe skierował ku nim, jakby chciał dowieść, że się ich nie lęka...

Ręką się wziął w bok i tak ich mijał, jakby żadnego nie znał.

Ani Boleszczycy, ani ów podróżny, którego oni Mścislawem z Bużenina nazwali, eicho między sobą żarty zeń strojąc jawne, nie myśleli się pozdrawiać. Oczyma się mierzyli, ścigali z pogardą i gniewem, lecz ni z jednej, ni z drugiej strony wzrok sobie nie chciał ustąpić.

Widać było, że mało co brakło, by się nie rzucili na siebie.

Pan z Bużenina konia z razu popędził, potem namyśliwszy się, strzymał go umyślnie, stępią minął jadąc Boleszczyców i czeladź ich, która z końmi nadciągnęła. Dopiero gdy cała gromadka o kilka kroków odjechała, a Mścislawa plecy już tylko widać było, w kupce stojących nad drogą parsknęły śmiechy głośnie, dojmujące, szyderskie.

Zdawało się, że Boleszczycy z niemi wybuchli naumyślnie, popisując się z hałaśliwą wesołością, zanosili się rozlegającemi śmiechami, jedni po drugich, i co który ustał, poczynął inny, a reszta mu wtórowała.

Jeźdźcy odjechawszy nieco gościńcem, stanęli, jakby się namyślali, czy mają upomnieć się o zniewagę: słychać było głos mężki gniewny, i drugi duchownego, który hamował i uspokajał. Boleszczycy stali nieulękni, niewzruszeni, brali się tylko do mieczyków, poglądając po sobie; lecz po chwili,